

Henryk Sienkiewicz

NOWELE

ZixO Reader

Spis treści

JANKO MUZYKANT	3
LATARNIK.....	8
I.....	8
II.....	12
III.....	14
LEGENDA ŻEGLARSKA.....	17
SACHEM.....	19
SZKICE WĘGLEM	23
Rozdział I W KTÓRYM ZABIERAMY ZNAJOMOŚĆ Z BOHATERAMI I ZACZYNAMY SIĘ SPODZIEWAĆ, ŻE COS WIĘCEJ NASTĄPI.....	23
Rozdział II NIEKTÓRE INNE OSOBY I PRZYKRE WIDZENIA.....	30
Rozdział III ROZMYŚLANIA I EUREKA	34
Rozdział IV KTÓRY BY MOŻNA ZATYTUŁOWAĆ: ZWIERZ W SIECI.....	35
Rozdział V W KTÓRYM POZNAJEMY CIAŁO PRAWODAWCZE BARANIEJ GŁOWY I GŁÓWNYCH JEGO PRZYWÓDCÓW	41
Rozdział VI IMOGENA	48
Rozdział VII IMOGENA.....	51
Rozdział VIII IMOGENA	54
Rozdział IX IMOGENA	57
Rozdział X ZWYCIĘSTWO GENIUSZU.....	64
Rozdział XI SKOŃCZONA NIEDOLA.....	66
EPILOG	67
Z PAMIĘTNIKA POZNAŃSKIEGO NAUCZYCIELA	68
ZA CHLEBEM	79
I. NA OCEANIE - ROZMYŚLANIE - BURZA - PRZYBYCIE.....	79
II. W NOWYM JORKU.....	91
III. ŻYCIE OSADNICZE	106

JANKO MUZYKANT

Przyszło to na świat wątłe, słabe. Kумы, co się były zebrały przy tapczanie połoźnicy, kręciły głowami i nad matka, i nad dzieckiem. Kowałka Szymonowa, która była najmądrzejsza, poczęła chora pocieszać:

- Dajta - powiada - to zapale nad wami gromnice, juze z was nic nie będzie, moja kumo; juz wam na tamten świat się wybierać i po dobrodzieja by posłać, żeby wam grzechy wasze odpuścił.

- Ba! - powiada druga - a chłopaka to zara trza ochrzcić; on i dobrodzieja nie doczeka, a - powiada - błogo będzie, co choć i strzyga się nie ostanie.

Tak mówiąc zapaliła gromnice, a potem wzięwszy dziecko pokropiła je woda, Aż poczęło oczki mrużyć, i rzekła jeszcze:

- Ja ciebie "krzce" w Imie Ojca i Syna, i Ducha Swietego i daje ci na przezwisko Jan, a teraz ze, duszo "krzescijanska", idź, skądś przyszła. Amen.

Ale dusza chrześcijańska nie miała wcale ochoty iść, skąd przyszła, i opuszczać chuderławego ciała, owszem, poczęła wierzcąc nogami tego ciała, jako mogła, i płakać, chociaż tak słabo i zalosnie, że jak mówiły kумы: "myślałby kto, kocie nie kocie albo co!"

Posłano po księdza; przyjechał, zrobił swoje, odjechał, chorej zrobiło się lepiej. W tydzień wyszła baba do roboty. Chłopak ledwo zipał, ale zipał; aż w czwartym roku oku kala kukulka na wiosnę chorobę, więc się poprawił i w jakim takim zdrowiu doszedł do dziesiątego roku życia.

Chudy był zawsze i opalony, z brzuchem wyдутym, a zapadłymi policzkami; czuprynę miał konopna, białą prawie i spadającą na jasne, wytrzeszczone oczy, patrzące na świat, jakby w jakąś niezmierna dalekość wpatrzone. W zimie siadywał za piecem i popłakiwał cicho z zimna, a czasem i z głodu, gdy matula nie mieli co włożyć ani do pieca, ani do garnka; latem chodził w koszulinie przepasanej krajka i w słomianym "kapalusie", spod którego obdartej kani spoglądał, zadzierając jak ptak głowę do góry. Matka, biedna komornica, żyjąca z dnia na dzień. niby jaskółka pod cudzą strzecha, może go tam i kochała po swojemu, ale bila dość często i zwykle nazywała "odmieńcem". W ósmym roku chodził już jako potrzodka za bydlęm lub, gdy w chałupie nie było co jeść, za bedłkami do boru. Ze go tam kiedy wilk nie zjadł, zmiłowanie Boże.

Był to chłopak nierozgarnięty bardzo i jak wiejskie dzieciaki przy rozmowie z ludźmi palec do gęby wkładający. Nie obiecywali sobie nawet ludzie, że się wychowa, a jeszcze mniej, żeby matka mogła doczekać się z niego pociechy, bo i do roboty był ladaco. Nie wiadomo, skąd się to takie uległo, ale na jedna rzecz był tylko łapczywy, to jest na granie. Wszędzie też je słyszał, a jak tylko trochę podrośł, tak już o niczym innym nie myślał. Pojdzie, bywało, do boru za bydlę albo z dwojakami na jagody, to się wróci bez jagód i mówi szeptem:

- Matulu! tak ci cos w boru "grlalo". Oj! Oj!

A matka na to:

- Zagram ci ja, zagram! nie bój się!

Jakoż czasem sprawiała mu warząchwia muzykę. Chłopak krzyczał, obiecywał, że już nie będzie, a taki myślał, że tam coś w boru grało... Co? Albo on wiedział?... Sosny, buki, brzezina, wilgi, wszystko grało: cały bor, i basta!

Echo też... W polu grała mu bylica, w sadku pod chałupa cwirkotały wróble, aż się wiśnie trzęsły! Wieczorami słuchiwał wszystkich głosów, jakie są na wsi, i pewno myślał sobie, że cała wieś gra. Jak posłali go do roboty, żeby gnój rozrzucił, to mu nawet wiatr grał w widłach.

Zobaczył go tak raz karbowy, stojącego z rozrzuconą czupryną i słuchającego wiatru w drewnianych widłach... zobaczył i odpasawszy rzemyka dał mu dobrą pamiętkę. Ale na co się to zdało! Nazywali go ludzie "Janko Muzykant"!... Wiosną uciekał z domu kręcić fujarki wedle strugi. Nocami, gdy żaby zaczynały rzechotać, derkacze na lakach derkotac, baki po rosie burczyc; gdy koguty piałły po zapłociach, to on spać nie mógł, tylko słuchał i Bóg go jeden wie, jakie on i w tym nawet słyszał granie... Do kościoła matka nie mogła go brać, bo jak, bywało, zahuczą organy lub zaśpiewają słodkim głosem, to dziecku oczy tak mgłą zachodzą, jakby już nie z tego świata patrzyły...

Stojka, co chodził nocą po wsi i aby nie zasnąć, liczył gwiazdy na niebie lub rozmawiał po cichu z psami, widział nieraz białą koszulę Janka, przemykającą się w ciemności ku karczmie. Ale przecież chłopak nie do karczmy chodził, tylko pod karczmę. Tam przyczaiwszy się pod murem, słuchał. Ludzie tańcowali obertasa, czasem jaki parobek pokrzykiwał: "U-ha!" Słuchać było tupanie butów, to znów głosy dziewczyn: "Czegoż?" Skrzypki śpiewały cicho: "Bedziem jedli, bedziem pili, bedziewa się weselili", a basetla grubym głosem wtórowała z powagą: "Jak Bóg da! jak Bóg da!" Okna jarzyły się światłem, a każda belka w karczmie zdawała się drgać, śpiewać i grać także, a Janko słuchał!...

Co by on za to dał, gdyby mógł mieć takie skrzypki grające cienko; "Bedziem jedli, bedziem pili, bedziewa się weselili." Takie deszczulki śpiewające. Ba! ale skąd ich dostać? gdzie takie robią? Żeby mu przynajmniej pozwolili choć raz w rękę wziąć coś takiego!... Gdzie tam! Wolno mu tylko było słuchać, toteż i słuchał zwykle dopóty, dopóki głos Stojki nie ozwał się za nim z ciemności: - Nie pojedziesz ty do domu, utrapieńcze?

Wiec wówczas zmykał na swoich bosych nogach do domu, a za nim biegł w ciemnościach głos skrzypiec: "Bedziem jedli, bedziem pili, bedziewa się weselili", i poważny głos basetli: "Jak Bóg da! Jak Bóg da! Jak Bóg da!"

Gdy tylko mógł słyszeć skrzypki, czy to na dożynkach, czy na weselu jakim, to już dla niego było wielkie święto. Właził potem za piec i nic nie mówił po całych dniach, spoglądając jak kot błyszczącymi oczyma z ciemności. Potem zrobił sobie sam skrzypki z gonta i włosienia końskiego, ale nie chciały grać tak pięknie jak tamte w karczmie: brzęczały cicho, bardzo cichutko, właśnie jak muszki jakie albo komary. Grał jednak na nich od rana do wieczora, choć tyle za to odbierał szturchańców, że w końcu wyglądał jak obite jabłko niedojrzale. Ale taka to już była jego natura. Dzieciaczyna chudł coraz bardziej, brzuch tylko zawsze miał Duży, czuprynę coraz gęstsza i oczy coraz szerzej otwarte, choć najczęściej łzami zalane, ale policzki i piersi wpadały mu coraz głębiej i głębiej...

Wcale nie był jak inne dzieci, był raczej jak jego skrzypki z gonta, które za ledwie brzęczały. Na przednówku przy tym przymierał głodem, bo żył najczęściej surową marchwią i także chęcią posiadania skrzypek.

Ale ta hec nie wyszła mu na dobre.

We dworze miał skrzypce lokaj i grywał czasem na nich szara godzina, aby się podobać pannie służącej. Janko czasem podczołgiwał się między łopuchami, aż pod otwarte drzwi kredensu, żeby im się przypatrzeć. Wisiały właśnie na ścianie naprzeciw drzwi. Wiec tam chłopak dusze swoją całą wysyłał ku nim przez oczy, bo mu się zdawało, że to niedostępna jakąś dla niego świętość, której niegodzien tknąć, że to jakieś jego najdroższe ukochanie. A jednak pożywał ich. Chciałby przynajmniej raz mieć je w reku, przynajmniej przypatrzeć się im bliżej... Biedne małe chłopskie serce drżało na te myśli ze szczęścia.

Pewnej nocy nikogo nie było w kredensie. Państwo od dawna siedzieli za granicą, dom stał pustkami, więc lokaj przesiadywał na drugiej stronie u panny pokojowej. Janko, przyczajony w łopuchach, patrzył już od dawna przez otwarte szerokie drzwi na cel wszystkich swych pożądań. Księżyc właśnie na niebie był pełny i wchodził ukośnie przez okno do kredensu, odbijając je w kształcie wielkiego jasnego kwadratu na przeciwległej ścianie. Ale ten kwadrat zbliżał się powoli do skrzypiec i w końcu oświetlił je zupełnie. Wówczas w ciemnej głębi wydawało się, jakby od nich bila światłość srebrna; szczególnie wypukłe zgięcia oświetlone były tak mocno, że Janek ledwie mógł patrzeć na nie. W ornym blasku widać było wszystko doskonale: wcięte boki, struny i zagięta rączkę. Kołeczki przy niej świeciły jak robaczki świętojańskie, a wzdłuż zwieszał się smyczek na kształt srebrnego pręta...

Ach! wszystko było śliczne i prawie czarodziejskie; Janek też patrzył coraz chciwiej. Przykucnięty w łopuchach, z łokciami opartymi o chude kolana, z otwartymi ustami patrzył i patrzył. To strach zatrzymywał go na miejscu, to jakaś nieprzewyciężona chęć pchała go naprzód. Czy czary jakie, czy co?... Ale te skrzypce w jasności czasem zdawały się przybliżać, jakoby płynąc ku dziecku... Chwilami przygasaly, aby znowu rozpromienić się jeszcze bardziej. Czary, wyraźne czary! Tymczasem wiatr powiał; zaszumiały cicho drzewa, załopotaly łopuchy, a Janek jakoby wyraźnie usłyszał:

- Idź, Janku! w kredensie nie ma nikogo... idź, Janku!...

Noc była widna, jasna. W ogrodzie dworskim nad stawem słowik zaczął śpiewać i pogwizdywać cicho, to głośniej: "Idź! pójdz! weź!" Lelek pocziwy cichym lotem zakręcił się koło głowy dziecka i zawołał: "Janku, nie! nie!" Ale lelek odleciał, a słowik został i łopuchy coraz wyraźniej mruzczały: "Tam nie ma nikogo!" Skrzypce rozpromieniły się znowu...

Biedny, mały, skulony kształt z wolna i ostrożnie posunął się naprzód, a tymczasem słowik cichuteńko pogwizdywał: "Idź! pójdz! weź!"

Biała koszula migotała coraz bliżej drzwi kredensowych. Już nie okrywają jej czarne łopuchy. Na progu kredensowym słyhać szybki oddech chorych piersi dziecka. Chwila jeszcze, biała koszulka znikła, już tylko jedna bosa nóżka wystaje za progiem. Na próżno, lelku, przelatujesz jeszcze raz i wołasz: "Nie! nie!" Janek już w kredensie.

Zarzechotaly zaraz ogromnie żaby w stawie ogrodowym, jak gdyby przestraszone, ale potem ucichły. Słowik przestał pogwizdywać, łopuchy szemrać. Tymczasem Janek czołgał się cicho i ostrożnie, ale zaraz go strach ogarnął. W łopuchach czuł się jakby u siebie, jak dzikie zwierzątko w zaroślach, a teraz był jak dzikie zwierzątko w pułapce. Ruchy jego stały się nagle, oddech krotki i świszczący, przy tym ogarnęła go ciemność. Cicha, letnia błyskawica, przeleciawszy między wschodem i zachodem, oświetliła raz jeszcze wnętrze kredensu i Janka na czworakach przed skrzypcami z głową zadartą do góry. Ale błyskawica zgasła, księżyc przesłoniła chmurka i nic już nie było widać ani słyhać.

Po chwili dopiero z ciemności wyszedł dźwięk cichutki i płaczący, jakby ktoś nieostrożnie strun dotknął - i nagle...

Gruby jakiś, zaspany głos, wychodzący z kata kredensu spytał gniewliwie:

- Kto tam?

Janek zataił dech w piersiach, ale gruby głos spytał powtórnie:

- Kto tam?

Zapałka zaczęła migotać po ścianie, zrobiło się widno, a potem... Eh! Boże! Słysząc klątwy, uderzenia, płacz dziecka, Wolanie: O! dlaboga! szczekanie psów, bieganie światła po szybach, Hałas w całym dworze...

Na drugi dzień, biedny Janek stał już przed sadem u wójta.

Mieli go tam sądzić jako złodzieja?... Pewno. Popatrzyli na niego wójt i ławnicy, jak stał przed nimi z palcem w gębie, z wytrzeszczonymi zalękłymi oczyma, mały, chudy, zamorusany, obity, nie wiedzący, gdzie jest i czego od niego chcą? Jakże tu sądzić taka biedę, co ma lat dziesięć i ledwo na nogach stoi? Do więzienia ja posłać czy jak?... Trzebaż przy tym mieć trochę miłosierdzia nad dziećmi. Niech go tam weźmie stojka, niech mu da różgą, żeby na drugi raz nie kradł, i cała rzecz.

- Bo pewno!

Zawołali Stacha, co był stojka:

- Weź go ta i daj mu na pamiątkę.

Stach kiwnął swoją głupowatą, zwierzęcą głową, wziął Janka pod pachę, jakby jakiego kociaka, i wyniósł ku stodołce. Dziecko, czy nie rozumiało, o co chodzi, czy się zalękło, dość że nie ozwało się ni słowem, patrzyło tylko, jakby patrzył ptak. Albo on wie, co z nim zrobią? Dopiero jak go Stach w stodole wziął garścią, rozciągnął na ziemi i podgiąwszy koszulinę machnął od ucha, dopieroż Janek krzyknął:

- Matulu! - i co go stojka różgą, to on - "Matulu! matulu!!", ale coraz ciszej, słabiej, aż za którymś razem ucichło dziecko i nie wołało już matuli...

Biedne, potrzaskane skrzypki!...

- Ej, głupi, zły Stachu! któż tak dzieci bije? Toż to Male i słabe, i zawsze było ledwie żywe.

Przyszła matka, zabrała chłopaka, ale musiała go zanieść do domu... Na drugi dzień, nie wstał Janek, a trzeciego wieczorem konał już sobie spokojnie na tapczanie pod zgrzebnym kilimkiem.

Jaskółki świegotały w czereśni, co rosła pod przyzba; promień słońca wchodził przez szybę i oblewał jasnością złotą, rozczochrana główkę dziecka i twarz, w której nie zostało kropli krwi. Ów promień był niby gościńcem, po którym mała dusza chłopczyka miała odejść. Dobrze, że choć w chwili śmierci odchodziła szeroka, słoneczną drogą, bo za życia Szła po prawdzie ciernista. Tymczasem wychudłe piersi poruszały się jeszcze oddechem, a twarz dziecka była jakby zasłuchana w te odgłosy wiejskie, które wchodziły przez otwarte okno. Był to wieczór, więc dziewczęta wracające od siana śpiewały: "Oj, na zielonej, na runi!", a od strugi dochodziło granie fujarek. Janek wsłuchiwał się ostatni raz, jak wieś gra... Na kilimku przy nim leżały jego skrzypki z gonta.

Nagle twarz umierającego dziecka rozjaśniła się, a z bielejących warg wyszedł szept:

- Matulu?...

- Co, synku? - ozwała się matka, która dusiły łzy...

- Matulu, Pan Bóg mi da w niebie prawdziwe skrzyпки?

- Da ci, synku, da! - odrzekła matka; ale nie mogła dłużej mówić, bo nagle z jej twardej piersi buchnęła wzbierająca żalność, więc jęknąwszy tylko: "O Jezu! Jezu!", padła twarzą na skrzynie i zaczęła ryczeć, jakby straciła rozum albo jak człowiek, co widzi, że od śmierci nie wydrze swego kochania...

Jakoż nie wydarła go, bo gdy podniósłszy się znowu spojrzała na dziecko, oczy małego grajka były otwarte wprawdzie, ale nieruchome, twarz zaś poważna bardzo, mroczna i stężała. Promień słoneczny odszedł także...

Pokój ci, Janku!

*

Nazajutrz powrócili państwo do dworu z Włoch wraz z panną i kawalerem, co się o nią starał. Kawaler mówił:

- Quel beau pays que l'Italie.

- I co to za lud artystów. On est heureux de chercher la-bas des talents et de les protégé... - dodała panna.

Nad Jankiem szumiały brzozy...

LATARNIK

I

Pewnego razu zdarzyło się, że latarnik w Aspinwall, niedaleko Panamy, przepadł bez wieści. Ponieważ stało się to wśród burzy, przypuszczano, że nieszczęśliwy musiał podejść nad sam brzeg skalistej wysepki, na której stoi latarnia, i został splukany przez bałwan. Przypuszczenie to było tym prawdopodobniejsze, że na drugi dzień nie znaleziono jego łódki, stojącej w skalistym wrębie. Zawakowało tedy miejsce latarnika, które trzeba było jak najprędzej obsadzić, ponieważ latarnia niemałe ma znaczenie tak dla ruchu miejscowego, jak i dla okrętów idących z New Yorku do Panamy. Zatoka Moskitów obfituje w piaszczyste ławice i zasy, między którymi droga nawet w dzień jest trudna, w nocy zaś, zwłaszcza wśród mgieł podnoszących się często na tych ogrzewanych podzwrotnikowym słońcem. wodach, prawie nie podobna. Jedynym wówczas przewodnikiem dla licznych statków bywa światło latarni. Kłopot wynalezienia nowego latarnika spadł na konsula Stanów Zjednoczonych, rezydującego w Panamie, a był to kłopot niemały, raz z tego powodu, że następcę trzeba było znaleźć koniecznie w ciągu dwunastu godzin; po wtóre, następca musiał być nadzwyczaj sumiennym człowiekiem, nie można więc było przyjmować byle kogo; na koniec, w ogóle kandydatów na posadę brakło. Życie na wieży jest nadzwyczaj trudne i bynajmniej nie uśmiecha się rozpróżnionym i lubiącym swobodną włóczęgę ludziom Południa. Latarnik jest niemal więźniem. Z wyjątkiem niedzieli nie może on wcale opuszczać swej skalistej wysepki. Łódź z Aspinwall przywozi mu raz na dzień zapasy żywności i świeżą wodę, po czym przywoźący oddalają się natychmiast, na całej zaś wysepce, mającej morgę rozległości, nie ma nikogo. Latarnik mieszka w latarni, utrzymuje ją w porządku; w dzień daje znaki wywieszaniem różnokolorowych flag, wedle wskazówek barometru, w wieczór zaś zapala światło. Nie byłaby to wielka robota, gdyby nie to, że chcąc się dostać z dołu do ognisk na szczyt wieży, trzeba przejść przeszło czterysta schodów krętych i nader wysokich, latarnik zaś musi odbywać tę podróż czasem i kilka razy dziennie. W ogóle jest to życie klasztorne, a nawet więcej niż klasztorne, bo pustelnicze. Nic też dziwnego, że Mr Izaak Falconbridge był w niemałym kłopotcie, gdzie znajdzie stałego następcę po nieboszczyku, i łatwo zrozumieć jego radość, gdy najniespodzianie następcą zgłosił się jeszcze tegoż samego dnia. Był to człowiek już stary, lat siedmiudziesiąt albo i więcej, ale czerstwy, wyprostowany, mający ruchy i postawę żołnierza. Włosy miał zupełnie białe, płeć spaloną jak u Kreolów, ale sądząc z niebieskich oczu, nie należał do ludzi Południa. Twarz jego była przygnębiona i smutna, ale uczciwa. Na pierwszy rzut oka podobał się Falconbridge'owi. Pozostało go tylko wyegzaminować, wskutek czego wywiązała się następująca rozmowa:

- Skąd jesteście?
- Jestem Polak.
- Coście robili dotąd?
- Tułałem się.
- Latarnik powinien lubić siedzieć na miejscu.
- Potrzebuję odpoczynku.

- Czy służyliście kiedy? Czy macie świadectwa uczciwej służby rządowej?

Stary człowiek wyciągnął z zanadru spłowiały jedwabny szmat, podobny do strzępu starej chorągwi. Rozwinął go i rzekł:

- Oto są świadectwa. Ten krzyż dostałem w roku trzydziestym. Ten drugi jest hiszpański z wojny karlistowskiej; trzeci to legia francuska; czwarty otrzymałem na Węgrzech. Potem biłem się w Stanach przeciw południowcom, ale tam nie dają krzyżów - więc oto papier.

Falconbridge wziął papier i zaczął czytać.

- Hm! Skawiński? To jest wasze nazwisko?... Hm!... Dwie chorągwie zdobyte własnoręcznie w ataku na bagnety... Byliście walecznym żołnierzem!

- Potrafię być i sumiennym latarnikiem.

- Trzeba tam co dzień wchodzić po kilka razy na wieżę. Czy nogi macie zdrowe?

- Przeszedłem piechotą "pleny".

- All right! Czy jesteście obeznani ze służbą morską?

- Trzy lata służyłem na wielorybniku.

- Próbowaliście różnych zawodów?

- Nie zaznałem tylko spokojności.

- Dlaczego?

Stary człowiek ruszył ramionami.

- Taki los...

- Wszelako na latarnika wydajecie mi się za starzy.

- Sir - ozwał się nagle kandydat wzruszonym głosem. - Jestem bardzo znużony i skołatany. Dużo, widzicie, przeszedłem. Miejsce to jest jedno z takich, jakie najgoręcej pragnąłem otrzymać. Jestem stary, potrzebuję spokoju! Potrzebuję sobie powiedzieć: tu już będziesz siedział, to jest twój port. Ach, Sir! to od was tylko zależy. Drugi raz się może taka posada nie zdarzy. Co za szczęście, że byłem w Panamie... Błagam was... Jak mi Bóg miły, jestem jak statek, który jeśli nie wejdzie do portu, to zatonie... Jeśli chcecie uszczęśliwić człowieka starego... Przysięgam, że jestem uczciwy, ale... dość mam tego tułactwa...

Niebieskie oczy starca wyrażały tak gorącą prośbę, że Falconbridge, który miał dobre, proste serce, czuł się wzruszony.

- Well! - rzekł. - Przyjmuję was. Jesteście latarnikiem. Twarz starego zajaśniała niewypowiedzianą radością.

- Dziękuję.

- Czy możecie dziś jechać na wieżę?

- Tak jest.

- Zatem good bye!... Jeszcze słowo: za każde uchybienie w służbie dostaniecie dymisję.

- All right!

Tegoż samego jeszcze wieczora, gdy słońce stoczyło się na drugą stronę międzymorza, a po dniu promiennym nastąpiła noc bez zmierzchu, nowy latarnik widocznie był już na miejscu, bo latarnia rzuciła, jak zwykle, na wody swoje snopy jaskrawego światła. Noc była zupełnie spokojna, cicha, prawdziwie podzwrotnikowa, przesycona jasną mgłą, tworzącą koło księżyca wielki, zabarwiony tęczowo krąg o miękkich, nieujętych brzegach. Morze tylko burzyło się, ponieważ przyływ wzbierał. Skawiński stał na balkonie, tuż koło olbrzymich ognisk, podobny z dołu do małego, czarnego punkciku. Próbował zebrać myśl i objąć swe nowe położenie. Ale myśl jego była nadto pod naciskiem, by mogła snuć się prawidłowo. Czuł on coś takiego, co czuje szczuty zwierz, gdy wreszcie schroni się przed pogonią na jakiejś niedostępnej skale lub w pieczarze. Nadszedł nareszcie dla niego czas spokoju. Poczucie bezpieczeństwa nappełniło jakąś niewysłowioną rozkoszą jego duszę. Oto mógł na tej skale po prostu urągać dawnemu tułactwu, dawnym nieszczęściom i niepowodzeniom. Był on naprawdę jak okręt, któremu burza łamała maszty, rwała liny, żagle, którym rzuciła od chmur na dno morza, w który biła falą, pluła pianą - a który jednak zawinął do portu. Obrazy tej burzy przesuwają się teraz szybko w jego myśli w przeciwstawieniu do cichej przyszłości, jaka miała się rozpocząć. Część swych dziwnych kolei opowiadał sam Falconbridge'owi, nie wspominał jednak o tysiącnych innych przygodach. Miał on nieszczęście, że ilekroć rozbił gdzie namiot i rozniecił ognisko, by się osiedlić na stałe, jakiś wiatr wrywał kołki namiotu, rozwiewał ognisko, a jego samego niósł na stracenie. Spoglądając teraz z wieżowego balkonu na oświecone fale, wspominał o wszystkim, co przeszedł. Oto bił się w czterech częściach świata - i na tułaczce próbował wszystkich niemal zawodów. Pracowity i uczciwy, nieraz dorabiał się grosza i zawsze tracił go wbrew wszelkim przewidywaniom i największej ostrożności. Był kopaczem złota w Australii, poszukiwaczem diamentów w Afryce, strzelcem rządowym w Indiach Wschodnich. Gdy w swoim czasie założył w Kalifornii farmę, zgubiła go susza; próbował handlu z dzikimi plemionami, zamieszkującymi wnętrza Brazylii: tratwa jego rozbiła się na Amazonce, on sam zaś bezbronny i prawie nagi tułał się w lasach przez kilka tygodni, żywiąc się dzikim owocem, narażony co chwila na śmierć w paszczy drapieżnych zwierząt. Założył warsztat kowalski w Helenie, w Arkansas, i - spalił się w wielkim pożarze całego miasta. Następnie w Górach Skalistych dostał się w ręce Indian i cudem tylko został wybawiony przez kanadyjskich strzelców. Służył jako majtek na statku kursującym między Bahią i Bordeaux, potem jako harpunnik na wielorybniku: oba statki rozbiły się. Miał fabrykę cygar w Hawanie - został okradziony przez współnika w chwili, gdy sam leżał chory na "vomito". Wreszcie przybył do Aspinwałł - i tu miał być kres jego niepowodzeń. Cóż go bowiem mogło doścignąć jeszcze na tej skalistej wysepce? Ani woda, ani ogień, ani ludzie. Zresztą od ludzi Skawiński niewiele doznał złego. Częściej spotykał dobrych niż złych.

Zdawało się natomiast, że prześladowają go wszystkie cztery żywioły. Ci, co go znali, mówili, że nie ma szczęścia, i tym objaśniali wszystko. On sam wreszcie stał się trochę maniakiem. Wierzył, że jakaś potężna a mściwa ręka ściga go wszędzie, po wszystkich lądach i wodach. Nie lubił jednak o tym mówić; czasem tylko, gdy go pytano, czyja to miała być ręka, ukazywał tajemniczo na gwiazdę polarną i odpowiadał, że to idzie stamtąd... Rzeczywiście, niepowodzenia jego były tak stałe, że aż dziwne, i łatwo mogły zabić gwózdź w głowie, zwłaszcza temu, kto ich doznawał. Zresztą miał cierpliwość Indianina i wielką spokojną siłę oporu, jaka płynie z prawości serca. W swoim czasie na Węgrzech dostał kilkanaście pchnięć bagnetem, bo nie chciał chwycić za strzemień, które mu ukazywano jako środek ratunku, i krzyżeć: pardon. Tak samo nie poddawał się i nieszczęściu. Łażł

pod górę tak pracowicie jak mrówka. Zepchnięty sto razy, rozpoczynał spokojnie swoją podróż po raz setny pierwszy. Był to w swoim rodzaju szczególniejszy dziwak. Stary ten żołnierz, opalony Bóg wie w jakich ogniach, zahartowany w biedach, bity i kuty, miał serce dziecka. W czasie epidemii na Kubie zapadł na nią dlatego, że oddał chorym wszystką swoją chininę, której miał znaczny zapas, nie zostawiając sobie ani grama.

Było w nim jeszcze i to dziwnego, że po tylu zawodach zawsze był pełen ufności i nie tracił nadziei, że jeszcze wszystko będzie dobrze. W zimie ożywiało się zawsze i przepowiadał jakieś wielkie wypadki. Czekał ich niecierpliwie i myślał o nich żył lata całe... Ale zimy miały jedne za drugimi i Skawiński doczekał się tylko tego, że ubieliły mu głowę. Wreszcie zestarzał się - począł tracić energię. Cierpliwość jego poczynała być coraz podobniejsza do rezygnacji. Dawny spokój zmienił się w skłonność do roztkliwiania się, i ten hartowny żołnierz jął przerażać się w bekę, gotowego załzawić się z lada powodu. Prócz tego od czasu do czasu tłukła go najstraszliwsza nostalgia, którą podniecała lada okoliczność: widok jaskółek, szarych ptaków podobnych do wróbli, śniegi na górach lub zasłyszana jakaś nuta, podobna do słyszanej niegdyś... Na koniec opanowała go tylko jedna myśl: myśl spoczynku. Owładnęła ona starcem zupełnie i wchłonęła w siebie wszelkie inne pragnienia i nadzieje. Wieczny tułacz nie mógł już sobie wymarzyć nic bardziej upragnionego, nic droższego nad jaki spokojny kąs, w którym by mógł odpocząć i czekać cicho kresu. Może właśnie dlatego, że szczególne jakieś dziwactwo losu rzucało nim po wszystkich morzach i krajach tak, że prawie nie mógł tchu złapać, wyobrażał sobie, że największym ludzkim szczęściem jest - tylko nie tułać się. Co prawda, to i należało mu się takie skromne szczęście, ale tak już był zwyczajny zawodów, że myślał o tym, jak w ogóle ludzie marzą o czymś niedoścignionym. Spodziewać się nie śmiał. Tymczasem niespodzianie w ciągu dwunastu godzin dostał posadę, jakby wybraną dla siebie ze wszystkich na świecie. Nic też dziwnego, że gdy wieczorem zapalił swoją latarnię, był jakby odurzony, że pytał sam siebie, czy to prawda, i nie śmiał odpowiedzieć: tak. A tymczasem rzeczywistość przemawiała do niego nieprzemyślnymi dowodami;

więc godziny jedna za drugą spływały mu na balkonie. Patrzył, nasyczał się, przekonywał. Mogłoby się zdawać, że pierwszy raz w życiu widział morze, bo północ wybiła już na aspinwańskich zegarach, a on jeszcze nie opuszczał swojej powietrznej wyżyny - i patrzył. W dole pod jego stopami grało morze. Soczewka latami rzucała w ciemność olbrzymi ostrokrąg światła, poza którym oko starca ginęło w dali czarnej zupełnie, tajemniczej i strasznej. Ale dał owa zdawała się biegnąć ku światłu. Długie wiorstowe fale wytaczały się z ciemności i rycząc szły aż do stóp wysepki, a wówczas widać było spienione ich grzbiety połyskujące różowo w świetle latarni. Przyływ wzmagął się coraz bardziej i zalewał piaszczyste ławice. Tajemnicza mowa oceanu dochodziła z pełni coraz potężniej i głośniej, podobna czasem do huku armat, to do szumu olbrzymich lasów, to do dalekiego, zmaconego gwaru głosów ludzkich. Chwilami cichło. Potem o uszy starca odbijało się kilka wielkich westchnień, potem jakieś łkania - i znów groźne wybuchy. Wreszcie wiatr zwiął mgłę, ale napędził czarnych, poszarpanych chmur, które przysłaniały księżyc. Z zachodu poczynało dąć coraz mocniej. Bałwany skakały z wściekłością na urwisko latarni, oblizując już pianą i podmurowanie. W dali pomrukiwała burza. Na ciemnej, wzburzonej przestrzeni zabłysło kilka zielonych latarek powieszonych do masztów okrętowych. Zielone owe punkciki to wznosiły się wysoko, to zapadały w dół, to chwiały się na prawo i na lewo. Skawiński zeszedł do swej izby. Burza zaczęła wyć. Tam, na dworze, ludzie na owych okrętach walczyli z nocą, z ciemnością, z falą; w izbie zaś spokojnie było i cicho. Nawet odgłosy burzy słabo przedzierały się przez grube mury i tylko miarowe tik-tak! zegara kołysało utrudzonego starca jakby do snu.

II

Zaczęły płynąć godziny, dni i tygodnie... Majtkowie twierdzą, że czasem, gdy morze bardzo jest rozchukane, woła coś na nich wśród nocy i ciemności po nazwisku. Jeżeli nieskończoność morską może tak wołać, to być może, że gdy się człowiek zestarzeje, woła także na niego i inna nieskończoność, jeszcze ciemniejsza i bardziej tajemnicza, a im jest bardziej zmęczony życiem, tym miłsze są mu te nawoływania. Ale by ich słuchać, trzeba ciszy. Prócz tego starość lubi się odosabniać, jakby w przeczuciu grobu. Latarnia była już dla Skawińskiego takim pół-grobem. Nic jednostajniejszego, jak podobne życie na wieży. Młodzi ludzie, jeśli się na nie godzą, to po pewnym czasie opuszczają służbę. Latarnik też bywa zazwyczaj człkiem niemłodym, posępnym i zamkniętym w sobie. Gdy wypadkiem porzuci swoją latarnię i dostanie się między ludzi, chodzi wśród nich jak człowiek zbudzony z głębokiego snu. Na wieży brak wszelkich drobnych wrażeń, które w zwykłym życiu uczą stosować wszystko do siebie. Wszystko, z czym styka się latarnik, jest olbrzymie i pozbawione zwartych, określonych kształtów. Niebo - to jeden ogół, woda - to drugi, a wśród tych nieskończoności samotna dusza ludzka! Jest to życie, w którym myśl jest raczej ciągłym zadumaniem się, a z tego zadumania nie budzi latarnika nic, nawet jego zajęcia. Dzień do dnia staje się podobny jak dwa paciorki w różańcu i chyba zmiany pogody stanowią jedyną rozmaitość. Skawiński jednak czuł się tak szczęśliwym, jak nigdy w życiu nie był. Wstawał świtanem, brał posiłek, czyścił soczewki latarni, a potem siadłszy na balkonie, wpatrywał się w dal morską i oczy jego nie mogły się nigdy nasycić obrazami, które przed sobą widział. Zwykle na olbrzymim, turkusowym tle widać było stada wydętych żagli, świecących w promieniach słońca tak mocno, że aż oczy mrużyły się pod nadmiarem blasku; czasem statki, korzystając z wiatrów, które pasatami zowią, szły wyciągniętym szeregiem jedno za drugim, podobne do łańcucha mew lub albatrosów. Czerwone becзки, wskazujące drogę, kołysały się na fali lekkim, łagodnym ruchem; między żaglami pojawiał się co dnia w południe olbrzymi szarawy pióropusz dymu. To parowiec z New Yorku wiozł podróżnych i towary do Aspinwału, ciągnąc za sobą długi, spieniony szlak piany. Z drugiej strony balkonu widział Skawiński jak na dłoni Aspinwał i jego ruchliwy port, a w nim las masztów, łodzie i łódki; nieco zaś dalej białe domki i wieżyczki miasta. Z wysokości latarni domki były podobne do gniazd mew, łodzie do żuków, a ludzie poruszali się jak małe punkciki na białym, kamiennym bulwarku. Z rana lekki wschodni powiew przynosił zmieszany gwar życia ludzkiego, nad którym górował świst parowców. W południe nadchodziła godzina sjeisty. Ruch w porcie ustawał; mewy kryły się w szczyby skał, fale słabły i stawały się jakies leniwe, a wówczas na lądzie, na morzu i na latarni nastawała chwila niezmaconej niczym ciszy. Żółte piaski, z których odpłynęły fale, lśniły na kształt złotych plam na obszarach wodnych; słup wieżowy odrzynał się twardo w błękit. Potoki promieni słonecznych lały się z nieba na wodę, na piaski i na urwiska. Wówczas i starca ogarniała jakaś niemoc, pełna słodyczy. Czuł, że ten odpoczynek, którego używa, jest wyborny, a gdy pomyślał, że będzie trwał, to mu już niczego nie brakło. Skawiński rozmarzał się własnym szczęściem, ale że człowiek łatwo oswaja się z lepszym losem, stopniowo nabierał wiary i ufności, myślał bowiem, że jeśli ludzie budują domy dla inwalidów, to dlaczegożby Bóg nie miał wreszcie przygarnąć swego inwalidy? Czas upływał i utrwał go w tym przekonaniu. Stary zżył się z wieżą, z latarnią, z urwiskiem, z ławicami piasku i samotnością. Poznał się także i z mewami, które niosły się w załamach skalnych, a wieczorem odprawiały wiece na dachu latarni. Skawiński rzucał im zwykle resztki swego jadła, tak zaś przyswoiły się wkrótce, że gdy to czynił potem, to otaczała go prawdziwa burza białych skrzydeł, stary zaś chodził między ptastwem, jak pastuch między owcami. W czasie odpływu wyprawiał się na niskie, piaszczyste ławice, na których zbierał smaczne ślimaki i piękne perłowe konchy żeglarków, które odpływająca fala osadzała na piasku. W nocy, przy świetle księżycy i latarni, chodził na ryby, którymi roiły się załamy skalne. W końcu pokochał swoją skałę i swoją bezdrzewną wysepkę, porośniętą tylko drobnymi, tłustymi

roślinkami, sączącymi lepka żywicę. Ubóstwo wysepki wynagradzały mu zresztą dalsze widoki. W południowych godzinach, gdy atmosfera stawała się bardzo przezroczystą, widać było całe międzymorze aż do Pacyfiku, pokryte najbujniejszą roślinnością. Skawińskiemu wydawało się wówczas, że widzi jeden olbrzymi ogród. Pęki kokosów i olbrzymich muz układały się jakby w przepyszne czubiaste bukiety, tuż zaraz za domami Aspinwału. Dalej, między Aspinwał a Panamą, widać było ogromny las, nad którym co rano i pod noc zwieszał się czerwonawy opar wyziewów - las prawdziwie podzwrotnikowy, zalany u spodu stojącą wodą, oplątany lianami, szumiący jedną falą olbrzymich storczyków, palm, drzew mlecznych, żelaznych i gumowych.

Przez swą strażniczą lunetę stary mógł dojrzeć nie tylko drzewa, nie tylko rozłożyste liście bananów, ale nawet gromady małp, wielkich marabutów i stada papug wzbijające się czasem jak tęcza nad lasem. Skawiński znał z bliska podobne lasy, gdyż po rozbiciu się na Amazonce, błąkał się całe tygodnie wśród podobnych zielonych sklepień i gąszczów. Wiedział, ile pod cudną, śmiejącą się powierzchnią ukrywa się niebezpieczeństw i śmierci. Wśród nocy, jakie w nich spędził, słyszał z bliska grobowe głosy wyjców i ryki jaguarów, widział olbrzymie węże kołyszające się na kształt lianów na drzewach; znał owe sennie jeziora leśne, przepelnione dręt看ami i rojące się od krokodyli. Wiedział, pod jakim jarzmem żyje człowiek w tych niezgłębionych puszcach, w których pojedyncze liście przenoszą dziesięciokrotnie jego wielkość, w których mrowią się krwiożercze moskity, pijawki drzewne i olbrzymie jadowite pająki. Wszystkiego sam doznał, sam doświadczył, wszystko sam przecierpiał; toteż tym większą mu teraz sprawiało rozkosz patrzeć z wysokości na owe matos, podziwiać ich piękność, a być zasłoniętym od zrad. Jego wieża chroniła go przed wszelkim złem. Opuszczał ją też tylko czasami w niedzielę z rana. Przywdziewał wtedy granatową kapotę strażniczą ze srebrnymi guzami, na piersiach zawieszał swoje krzyże i jego mleczna głowa podnosiła się z pewną dumą, gdy słyszał przy wyjściu z kościoła, jak Kreole mówili między sobą: "Porządnego mamy latarnika." - "I nie heretyk, chociaż Yankee!" Wracał jednak natychmiast po mszy na wyspę i wracał szczęśliwy, bo zawsze jeszcze nie dowierzał stałemu lądowi. W niedzielę także odczytywał sobie hiszpańską gazetę, którą zakupywał w mieście, lub new-yorskiego "Heralda", pożyczanego u Falconbridge'a - i szukał w nich skwapliwie wiadomości z Europy. Biedne stare serce! Na tej wieży strażniczej i na drugiej półkuli biło jeszcze dla kraju... Czasem także, gdy łódź, przywożąca mu co dzień żywność i wodę, przybiła do wysepki, schodził z wieży na gawędę ze strażnikiem Johnsem. Potem jednak widocznie zdziczał. Przestał bywać w mieście, czytywać gazety i schodzić na polityczne rozprawy Johnsa. Upływały całe tygodnie w ten sposób, że nikt jego nie widział ani on nikogo. Jedynym znakiem, że stary żyje, było tylko znikanie żywności pozostawianej na brzegu i światło latarni, zapalane co wieczór z taką regularnością, z jaką słońce wstaje rankiem z wody w tamtych stronach. Widocznie stary zubożał dla świata. Powodem tego nie była nostalgia, ale właśnie to, że przeszła i ona nawet w rezygnację. Cały świat teraz zaczynał się dla starca i kończył się na jego wysepce. Żył się już z myślą, że nie opuści wieży do śmierci, i po prostu zapomniał, że jest jeszcze coś poza nią. Przy tym stał się mistykiem. Łagodne, niebieskie jego oczy poczęły być jak oczy dziecka, zapatrzone wiecznie i jakby utkwione w jakiejś dali. W ciągłym odosobnieniu i wobec otoczenia nadzwyczaj prostego a wielkiego poczał stary tracić poczucie własnej odrębności, przestawał, istnieć jakoby osoba, a zlewał się coraz więcej z tym, co go otaczało. Nie rozumował nad tym, czuł tylko bezwiednie, ale w końcu zdawało mu się, że niebo, woda, jego skała, wieża i złote ławice piasku, i wydęte zagle, i mewy, odpływy i przyływy, to jakaś wielka- jedność i jedna ogromna tajemnicza dusza; on zaś sam pogrąża się w tej tajemnicy i czuje ową duszę, która żyje i koi się. Zatonął, ukołysał się, zapamiętał - i w tym-ograniczeniu własnego, odrębnego bytu, w tym pół-czuwaniu, pół-śnie znalazł spokój tak wielki, że prawie podobny do pół-śmierci.

III

Ale nadeszło przebudzenie.

Pewnego razu, gdy łódź przywiozła wodę i zapasy żywności, Skawiński, zeszedłszy w godzinę później z wieży, spostrzegł, że prócz zwykłego ładunku jest jeszcze jedna paczka więcej. Na wierzchu paczki były marki pocztowe Stanów Zjednoczonych i wyraźny adres "Skawiński Esq.", wypisany na grubym żaglowym płótnie. Rozciekawiony starzec przeciął płótno i ujrzał książki: wziął jedną do ręki, spojrzął i położył na powrót, przy czym ręce poczęły mu drżeć mocno. Przysłonił oczy, jakby im nie wierząc; zdawało mu się, że śni - książka była polska. Co to miało znaczyć?! Kto mu mógł przysłać książkę? W pierwszej chwili zapomniał widocznie, iż jeszcze na początku swej latarnicznej kariery przeczytał pewnego razu w pożyczonym od konsula "Heraldzie" o zawiązaniu polskiego Towarzystwa w New Yorku i że zaraz przesłał Towarzystwu połowę swej miesięcznej pensji, z którą zresztą nie miał co robić na wieży. Towarzystwo, wywdzięczając się, przysyłało książki. Przyszły one drogą naturalną, ale w pierwszej chwili starzec nie mógł pochwycić tych myśli. Polskie książki w Aspinwał, na jego wieży, wśród jego samotności, była to dla niego jakaś nadzwyczajność, jakieś tchnienie dawnych czasów, cud jakiś. Teraz wydało mu się, jak owym żeglarzom wśród nocy, że coś zawołało na niego po imieniu głosem bardzo kochanym, a zapomnianym prawie. Przesiedział chwilę z zamkniętymi oczyma i był prawie pewny, że gdy je otworzy, sen zniknie. Nie! Rozcięta paczka leżała przed nim wyraźnie, oświecona blaskiem popołudniowego słońca, a na niej otwarta już książka. Gdy stary wyciągnął znowu po nią rękę, słyszał wśród ciszy bicie własnego serca. Spojrzął: były to wiersze. Na wierzchu stał wypisany wielkimi literami tytuł, pod spodem zaś imię autora. Imię to nie było Skawińskiemu obce; wiedział, że należy ono do wielkiego poety, którego nawet i utwory czytywał po trzydziestym roku w Paryżu. Potem, wojując w Algerze i w Hiszpanii, słyszał od rodaków o coraz wzrastającej sławie wielkiego wieszczka, ale tak przywykł wówczas do karabina, że i do ręki nie brał książek. W czterdziestym dziewiątym roku wyjechał do Ameryki i w awanturniczym życiu, jakie prowadził, prawie nie spotykał Polaków, a nigdy książek polskich. Z tym większą też skwapliwością i z tym żywiej bijącym sercem przewrócił kartę tytułową. Zdało mu się teraz, że na jego samotnej skale poczyna się dziać coś uroczystego. Jakoż była to chwila wielkiego spokoju i ciszy. Zegary aspinwałskie wybiły piątą po południu. Jasnego nieba nie zaciemniała żadna chmurka, kilka mew tylko pławiło się w błękitach. Ocean był ukołyszany. Nadbrzeżne fale zaledwie bełkotały z cicha, rozpluwając się łagodnie po piaskach. W dali śmiały się białe domy Aspinwału i cudne grupy palm. Naprawdę było jakoś uroczyście a cicho i poważnie. Nagle wśród tego spokoju natury rozległ się drżący głos starego, który czytał głośno, by się samemu lepiej rozumieć:

Litwo, ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie!

Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,

Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie

Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie...

Skawińskiemu zbrakło głosu. Litery poczęły mu skakać do oczu; w piersi coś urwało się i szło na kształt fali od serca wyżej i wyżej, tłumiąc głos, ściskając za gardło... Chwila jeszcze, opanował się i czytał dalej:

Panno Święta, co jasnej bronisz Częstochowy

I w Ostrej świecisz Bramie! Ty, co gród zamkowy
Nowogrodzki ochraniaasz z jego wiernym ludem!
Jak mnie, dziecko, do zdrowia powróciłaś cudem
(Gdy od płaczącej matki pod Twoją opiekę
Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę
I zaraz mogłem pieszo do Twych świątyń progu
Iść, za zwrócone życie podziękować Bogu),
Tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny łono...

Wezbrana fala przerwała tamę woli. Stary ryknął i rzucił się na ziemię; jego mleczone włosy zmieszały się z piaskiem nadmorskim. Oto czterdzieści lat dobiegało, jak nie widział kraju, i Bóg wie ile, jak nie słyszał mowy rodzinnej, a tu tymczasem ta mowa przyszła sama do niego - przepłynęła ocean i znalazła go, samotnika; na drugiej półkuli, taka kochana, taka droga, taka śliczna! We łkaniu, jakie nim wstrząsało, nie było bólu, ale tylko nagle rozbudzona niezmierna miłość, przy której wszystko jest niczym... On po prostu tym wielkim' płaczem przepraszał tę ukochaną, oddaloną za to, że się już tak zestarzał, tak zżył z samotną skałą i tak zapamiętał, iż się w nim i tęsknota poczynała zacierać. A teraz "wracał cudem" - więc się w nim serce rwało. Chwile mijały jedna za drugą: on wciąż leżał. Mewy przyleciały nad latarnię, pokrzykując, jakby niespokojne o swego starego przyjaciela. Nadchodziła godzina, w której je karmił resztkami swej żywności, więc kilka z nich zleciało z wierzchu latarni aż do niego. Potem przybyło ich coraz więcej i zaczęły go dziobać lekko i furkotać skrzydłami nad jego głową. Szumy skrzydeł zbudziły go. Wypłakawszy się, miał teraz w twarzy jakiś spokój i rozpromienienie, a oczy jego były jakby natchnione. Oddał bezwiednie całą swoją żywność ptakom, które rzuciły się na nią z wrzaskiem, a sam wziął znowu książkę. Słońce już było przeszło nad ogrodami i nad dziewiczym lasem Panamy i staczało się zwolna za międzymorze, ku drugiemu oceanowi, ale i Atlantyckie było jeszcze pełen blasku, w powietrzu widno zupełnie, więc czytał dalej:

Tymczasem przenoś duszę moją utęsknioną
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych... .

Zmierzch dopiero zatarł litery na białej karcie, zmierzch krótki jak mgnienie oka. Starzec oparł głowę o skałę i przymknął oczy. A wówczas "Ta, co jasnej broni .Częstochowy", zabrała jego duszę i przeniosła "do tych pól, malowanych zbożem rozmaitym". Na niebie paliły się jeszcze długie szlaki czerwone i złote, a on w tych światłościach leciał ku stronom kochanym. Zaszumiały mu w uszach lasy sosnowe, zabełkotały rzeki rodzinne. Widzi wszystko, jak było. Wszystko go pyta: "Pamiętasz?" On pamięta! a zresztą widzi: pola przestronne, miedze, łąki, lasy i wioski. Noc już! O tej porze już zwykle jego latarnia rozświecała ciemności morskie - ale teraz on jest we wsi rodzinnej. Stara głowa pochyla się na piersi i śni. Obrazy przesuwają się przed jego oczyma szybko i trochę bezładnie. Nie widzi domu rodzinnego, bo starła go wojna, nie widzi ojca ani matki, bo go odumarli dzieckiem; ale zresztą wieś, jakby ją wczoraj opuścił: szereg chałup ze światelkami w oknach, grobla, młyn, dwa stawy, podane ku sobie i brzmiące całą noc chórami żab. Niegdyś w tej swojej wiosce stał nocą na wiedecie, teraz przeszłość ta podstawia się nagle w szeregu widzeń. Oto znowu jest ułanem i stoi na wiedecie: z dala karczma pogląda płonąco oczyma i brzmi, i śpiewa, i huczy wśród ciszy nocnej

topotaniem, głosami skrzypiec i bassetli: "U-ha! U-ha!" To ułany krzeszą ognia podkówkami, a jemu tam nudno samemu na koniu! Godziny wloką się leniwo, wreszcie światła gasną; teraz, jak okiem sięgnąć, mgła i mgła nieprzejrzana: opar widocznie podnosi się z łąk i obejmuje świat cały białawym tumanem. Rzekłbyś: zupełnie ocean. Ale to łąki: rychło czekać, jak derkacz ozwie się w ciemności i bąki zahuczą po trzcinach. Noc jest spokojna i chłodna, prawdziwie polska noc! W oddali bór sosnowy szumi bez wiatru... jak fala morska. Wkrótce świtanie .wschód ubieli: jakoż i kury pieją już w zapłociach. Jeden drugiemu podaje głos z chaty do chaty; wraz i żurawie krzyczą już gdzieś z wysoka. Ułanowi jakoś rześko, zdrowo. Coś fam gadali o jutrzejszej bitwie. Hej! to i pójdzie, jak pójda inni, z krzykiem i furkotaniem chorągiewek. Młoda krew gra jak trąbka, choć powiew nocny ją chłodzi. Ale już świta, świta! Noc blednie: z cienia wychylają się lasy, zarośla, szereg chałup, młyn, topole. Studnie skrzypią, jakby blaszana chorągiewka na wieży. Jaka ta ziemia kochana, słiczna w różowych blaskach jutrzni! Oj jedyna, jedyna!

Cicho! Czujna wideta słyszy, że się ktoś zbliża. Zapewne idą zluzować warty.

Nagle jakiś głos rozlega się nad Skawińskim:

- Hej, stary! wstawajcie. Co to wam? Stary otwiera oczy i patrzy ze zdziwieniem na stojącego przed sobą człowieka. Resztki snu widzeń walczą w jego głowie z rzeczywistością. Wreszcie widzenia bledną i nikną. Przed nim stoi Johns, strażnik portowy.

- Co to? - pyta Johns - chórzyście?

- Nie.

- Nie zapaliliście latarni. Pójdziecie precz ze służby. Łódź z San-Geromo rozbiła się na mieliźnie, szczęściem, nikt nie utonął; inaczej, poszlibyście pod sąd. Siadajcie ze mną, resztę usłyszycie w konsulacie. Stary pobladł: istotnie nie zapalił tej nocy latarni. W kilka dni później widziano Skawińskiego na pokładzie statku idącego z Aspinwał do New Yorku. Biedak stracił posadę. Otwierały się przed nim nowe drogi tułactwa; wiatr porywał znowu ten liść, by nim rzucić po ładach i morzach, by się nad nim znęcać do woli. Toteż stary przez te kilka dni posunął się bardzo i pochylił; oczy miał tylko błyszczące. Na nowe zaś drogi życia miał także na piersiach swoją książkę, którą od czasu do czasu przyciskał ręką, jakby w obawie, by mu i ona nie zginęła...

LEGENDA ŻEGLARSKA

Był okręt, który zwał się "Purpura", tak wielki i silny, że się nie bał wichrów ani bałwanów, choćby najstraszniejszych.

I płynął ciągle z rozpiętymi żaglami, wspinał się na spiętrzone wały, kruszył potężną piersią podwodne haki, na których rozbijały się inne statki - i płynął w dal, z żaglami w słońcu, tak szybko, że aż piana warczała

mu po bokach, a za nim ciągnęła się szeroka i długa droga świetlista.

- To pyszny statek! - mówili żeglarze z innych okrętów. - Rzekłbyś: lewiatan fale porze! A czasem pytali załogę "Purpury":

- Hej, ludzie! dokąd jedziecie?

- Dokąd wiatr żenie! - odpowiadali majtkowie. - Ostrożnie! tam wiry i skały!

W odpowiedzi na przestrożę wiatr tylko odnosił słowa pieśni tak szumnej jak burza sama:

Wesoło płynmy, wesoło!

Szczęśliwe było życie załogi na tym statku. Majtkowie, zaufani w jego wielkość i dzielność, drwili z niebezpieczeństw. Sroga panowała karność na innych okrętach, ale na "Purpurze" każdy robił, co chciał.

Życie tam było ustawicznym świętem. Szczęśliwie przebyte burze i pokruszone skały zwiększyły jeszcze zaufanie. Nie ma (mówiono) takich raf ni takich burz, które by "Purpurę" rozbić mogły. Niech huragan przewraca morze - "Purpura" popłynie dalej.

I "Purpura" płynęła istotnie, dumna, wspaniała. Przechodziły lata całe - a ona nie tylko sama zdawała się być niezłomną, ale ratowała jeszcze inne statki i przygarniała rozbitków na swój pokład.

Ślepa wiara w jej siłę zwiększała się z dniem każdym w sercach załogi. Żeglarze zleniwili w szczęściu i zapomnieli sztuki żeglarskiej. - "Purpura" sama popłynie - mówili. - Po co pracować, po co baczyć na statek, pilnować steru, masztów, żagli, lin? po co żyć w trudzie i pocie czoła, gdy statek, jak bóstwo - nieśmiertelny?

Wesoło płynmy, wesoło!

I płynęli jeszcze długie lata. Aż wreszcie upływem czasu załoga zniewieściała zupełnie, zaniedbała obowiązków i nikt nie wiedział, że statek począł się psować. Słona woda przeżarła belki, potężne wiązania rozluźniły się, fale poobdzierały burty, maszty popróchniały, a żagle zetliły się na powietrzu.

Wszelako głosy rozsądku poczęły się podnosić:

- Strzeżcie się! - mówili niektórzy majtkowie.

- Nic to! płyniemy z falą! - odpowiadała większość marynarzy.

Tymczasem, pewnego razu, wybuchła taka burza, jakiej dotychczas nie bywało na morzu. Wichry zmieszały ocean z chmurami w jeden piekielny zamęt. Wstały słupy wodne i leciały z hukiem na

"Purpurę", straszne, spienione, wrzące. Dopadłszy statku wbiły go aż na dno morza, potem rzuciły ku chmurom, potem zwały znów na dno. Pękły zwałale wiązania statku i nagle krzyk straszny rozległ się na pokładzie.

- "Purpura" tonie!

I "Purpura" tonęła naprawdę, a załoga, odwykła od trudów i żeglugi, nie wiedziała, jak ją ratować!

Lecz po pierwszej chwili przerażenia wściekłość zawrzała w sercach, bo kochali jednak swój statek ci marynarze.

Więc zerwali się wszyscy i poczęli bić z dział do wichrów i fal spienionych, a potem chwyciwszy, co kto miał pod ręką, poczęli chłostać morze, które chciało zatopić "Purpurę".

Wspaniała była walka tej rozpaczki ludzkiej z tym żywiołem. Lecz fale były silniejsze od żeglarzy. Działa zalane umilkły. Olbrzymie wiry porwały wielu walczących i uniosły w odmęt wodny. Załoga zmniejszała się z każdą chwilą - ale walczyła jeszcze. Zalani, na wpół oślepli, pokryci górą pian, żeglarze walczyli do upadłego.

Chwilami sił im brakło, ale po krótkim spoczynku znów zrywali się do walki.

Na koniec ręce im opadły. Poczuli, że śmierć nadchodzi.

I nastąpiła chwila głuchej rozpaczki. I poglądali na się ci żeglarze jak obłąkani.

Wtem te same głosy, które poprzednio ostrzegały już o niebezpieczeństwie, podniosły się znowu, silniejsze, tak silne, że ryk fal nie mógł ich zagłuszyć.

Głosy te mówiły:

- O, zaślepieni! Nie z dział wam bić do burzy, nie fale chłostać, ale statek naprawiać! Zstąpcie na dno. Tam pracujcie. "Purpura" jeszcze nie zginęła.

Na owe słowa drgnęli ci na wpół umarli i rzucili się wszyscy na spód, i rozpoczęli pracę od spodu.

I pracowali od rana do nocy, w trudzie i pocie czoła, chcąc dawną bezczynność i zaślepienie wynagrodzić...

SACHEM

W mieście Antylopie, położonym nad rzeką tegoż nazwiska, w stanie Teksas, spieszył kto żyw na przedstawienie cyrkowe. Zajęcie mieszkańców było tym większe, że od czasu założenia miasta pierwszy raz zjechał do niego cyrk tancerek, minstrel i linochodów. Miasto było niedawne. Piętnaście lat temu nie tylko nie stał tu ani jeden dom, ale w całej bliższej okolicy nie było białych. Natomiast w widłach rzeki, na tym samym miejscu, na którym stoi Antylopa, wznosiła się osada indyjska zwana Chiavatta. Była to stolica Czarnych Wężów, którzy w swoim czasie dali się tak we znaki granicznym osadom niemieckim, Berlinowi, Grundenau i Harmonii, że osadnicy dłużej nie mogli wytrzymać. Indianie bronili wprawdzie tylko swego "terytorium", które rząd stanowy Teksasu przyznał im na wieczne czasy najuroczystszyimi traktatami; ale cóż to mogło obchodzić kolonistów z Berlina, Grundenau i Harmonii? Pewnym jest, że odbierali oni Czarnym Wężom ziemię, wodę i powietrze, ale natomiast wnosili cywilizację; czerwonoskórzy zaś okazywali im wdzięczność na swój sposób, to jest zdzierając im skalpy z głów. Taki stan rzeczy nie mógł trwać. Osadnicy więc z Berlina, Grundenau i Harmonii zebrali się pewnej nocy księżycowej w liczbie czterechset i wezwawszy na pomoc Meksykanów z La Ora, napadli na uśpioną Chiavattę. Tryumf dobrej sprawy był zupełny. Chiavatta została spalona, a mieszkańcy bez różnicy wieku i płci w pień wycięci. Ocalały tylko małe oddziały wojowników, które w tym czasie wyszły na łowy. Z samego miasta nie ocalał się nikt, głównie dlatego że miasto leżało w widłach rzeki, która, jak zwykle na wiosnę, rozlawszy otoczyła osadę nieprzebytą tonią wód. Ale toż samo widlaste położenie, które zgubiło Indian, podobało się Niemcom. Z wideł źle uciekać, ale dobrze się w nich bronić. Dzięki tej myśli zaraz z Berlina, Grundenau i Harmonii rozpoczęła się emigracja do wideł, w których też w mgnieniu oka, na miejscu dzikiej Chiavatty, powstała ucywilizowana Antylopa. W pięć lat liczyła ona dwa tysiące mieszkańców.

Szóstego roku znaleziono z drugiej strony wideł kopalnię żywego srebra, którego eksploatacja podwoiła liczbę mieszkańców. W siódmym roku, z mocy prawa lynch powieszono na placu miejskim dziewiętnastu ostatnich wojowników z pokolenia Czarnych Wężów, schwytanych w pobliskim Lesie Umarłych - i odtąd nic nie stało na zawadzie rozwojowi Antylopy. W mieście wychodziły dwa "Tagblatty" i jedna "Montagsrevue". Kolej żelazna łączyła je z Rio del Norte i San Antonio; na Opuncia-Gasse wznosiły się trzy szkoły, z tych jedna wyższa. Na placu, na którym powieszono ostatnich Czarnych Wężów, zbudowano zakład filantropijny; pastorowie w kościołach uczyli co niedziela miłości bliźniego, poszanowania cudzej własności i innych cnót, potrzebnych ucywilizowanemu społeczeństwu; pewien przejezdny prelegent miał nawet raz na Kapitolu odczyt O prawach narodów.

Bogatsi mieszkańcy przebąkiwali o potrzebie założenia uniwersytetu, do czego i rząd stanowy musiałby się przyczynić. Mieszkańcom dobrze się działo. Handel żywym srebrem, pomarańczami, jęczmieniem i winem przynosił im znakomite zyski. Byli uczciwi, rządni, pracowici, systematyczni, otyli. Kto by w późniejszych czasach odwiedził już kilkunastotysięczną Antylopę, ten by w bogatych kupcach miejscowych nie poznał tych niemiłosiernych wojowników, którzy piętnaście lat temu spalili Chiavattę. Dzień schodził im po sklepach, warsztatach, biurach; wieczory spędzali w piwiarni "Pod Żłotym Słońcem" przy ulicy Grzechotników. Słuchając tych głosów trochę powolnych i gardłowych, tych: Mahlzeit! Mahlzeit!, tych flegmatycznych: Nun ja wissen Sie, Herr Muller, is des aber moglich?, tych dźwięków kufli, szumu piwa, tych plusków przelanej piany na podłogę, widząc ten spokój, powolność, patrząc na te filisterskie, zalane tłuszczem twarze, na te rybie oczy, można by mniemać, iż się jest w jakiej piwiarni w Berlinie lub Monachium, nie zaś na zgliszcach Chiavatty. Ale w mieście wszystko już było ganz gemutlich i o zgliszcach nikt nie myślał. Tego wieczora ludność spieszyła oto

do cyrku, raz dlatego, że po twardej pracy rozrywka jest rzeczą równie godziwą jak przyjemną, po wtóre, że mieszkańcy dumni byli z jego przyjazdu. Wiadomo, że cyrki nie zjeżdżają do lada miłośnicy, przybycie więc trupy Hon. M. Deana stwierdzało poniekąd wielkość i znaczenie Antylopy. Była jednak i trzecia, a może najważniejsza przyczyna ogólnej ciekawości.

Oto Nr 2 programu mówił, co następuje: "Spacer na drucie zawieszonym na piętnaście stóp nad ziemią (z towarzyszeniem muzyki) wykona słynny gimnastyk Czerwony Sęp, sachem (wódz) Czarnych Węzów, ostatni potomek królów pokolenia i ostatni z pokolenia: 1) Spacer. 2) Skoki Antylopy. 3) Taniec i pieśń śmierci." Jeżeli gdzie, to w Antylopie ten sachem mógł obudzić najwyższe zajęcie. Hon. M. Dean opowiadał "Pod Żółtym Słońcem", iż przed piętnastu laty, w przejeździe do Santa Fe, znalazł na Planos de Tornado umierającego starego Indianina z dziesięcioletnim chłopakiem. Stary umarł istotnie z ran i wycieńczenia, przed śmiercią jednak opowiedział, iż młody chłopiec był synem zabitego "sachema" Czarnych Węzów i następcą jego godności.

Trupa przygarnęła sierotę, który z czasem stał się pierwszym jej akrobatą. Zresztą Hon. M. Dean dopiero "Pod Żółtym Słońcem" dowiedział się, że Antylopa była niegdyś Chiavattą - i że słynny linochód będzie się popisywał na grobach ojców. Wiadomość ta wprowadziła dyrektora w doskonały humor, mógł bowiem teraz na pewno liczyć na great attraction, byle umiał tylko dobrze efekt wyzyskać. Rozumie się, że filistry z Antylopy cisnęli się do cyrku, aby importowanym z Niemiec żonom i synom, którzy ani razu w życiu nie widzieli Indianina, pokazać ostatniego z Czarnych Węzów i powiedzieć: "Patrzenie, oto takich w pień wyróżniliśmy przed laty piętnastu." Ach, Herr Jeh! - Miło jest usłyszeć taki wykrzyk podziwu zarówno z ust Amalchen, jak i małego Fryca. W całym też mieście powtarzano bez ustanku: Sachem, sachem!

Dzieci od rana zaglądały przez szpary w deskach, z twarzami rozciekawionymi i przerażonymi zarazem, starsi zaś chłopcy, ożywieni już bardziej wojowniczym duchem, wracając ze szkoły maszerowali groźnie, sami nie wiedząc, dlaczego to robią. Godzina ósma wieczór. Noc cudna, pogodna, gwiazdzista. Powiew zza miasta przynosi zapachy gajów pomarańczowych, które w mieście mieszają się z zapachem słoju. W cyrku bije luna światła. Ogromne smolne pochodnie, zatknięte przed główną bramą, palą się i kopcą. Powiew chwieje pióropuszcami dymu i jaskrawego płomienia, który oświeca ciemne kontury budowli. Jest to świeżo wzniesiona szopa drewniana, okrągła, ze śpiczastym dachem i z gwiazdzistą amerykańską chorągwią na szczycie. Przed bramą tłumy, które nie mogły się dostać lub nie miały za co kupić biletów, przypatrują się wozom trupy, a głównie płóciennej zasłonie wielkich drzwi wchodowych, na których wymalowana jest bitwa białych z czerwonoskórzymi. W chwilach, w których zasłona się uchyla, widać oświecone wnętrza bufetu z setkami kufli szklanych na stole. Ale oto ściągają zasłonę na dobre, i tłum wchodzi. Puste przejścia między ławkami poczynają tętnić krokami ludzkimi, i wkrótce ciemna, ruchliwa masa pokrywa wszystkie przejścia od góry do dołu. W cyrku widno jak w dzień, bo chociaż nie zdołano przeprowadzić do niego rur gazowych, to natomiast olbrzymi żyrandol, złożony z pięćdziesięciu lamp naftowych, oblewa arenę i widzów potokami światła. W tych blaskach widać opasłe, przechylone w tył dla folgi podbródkom głowy piwoszków, młode twarze kobiece i śliczne, zdziwione buzie dziecinne, których oczy niemal nie wychodzą na wierzch z ciekawości. Zresztą wszyscy widzowie mają miny ciekawe, zadowolone i głupie, jak zwykle publiczność cyrkowa. Wśród szmeru rozmów, przerywanych okrzykami: Frisch Wasser! frisch Bier! - wszyscy z niecierpliwością oczekują zaczęcia. Na koniec dzwonek się odzywa, ukazuje się sześcioro masztalerzy w palonych butach i staje w dwóch szeregach przy wejściu z areny do stajen. Przez te szeregi wpada rozshukany koń bez uzdy i siodła, a na nim jakby obłok muślinu, wstążek i tiulu. Jest to tancerka Lina. Rozpoczynają się harce przy odgłosie muzyki. Lina jest tak piękna, że młoda Mathilde, córka piwowara z Opuncia-Gasse, zaniepokojona jej widokiem, pochyła

się do ucha młodego grocernika Flossa z tejże ulicy i pyta z cicha: czy ją kocha jeszcze? Tymczasem koń galopuje i oddycha jak lokomotywa, bicze klaskają, błazny, których kilku wpadło za tancerką, wrzeszczą i biją się po twarzach, tancerka miga jak błyskawica; brawa się syją. Co za przepyszne Przedstawienie! Ale Nr 1 mija prędko. Nadchodzi Nr 2.

Wyraz: sachem! sachem! przebiega z ust do ust między widzami. Na błaznów, bijących się ciągle po twarzach, nikt już nie zważa. Wśród ich małych ruchów masztalerze wnoszą wysokie na kilkanaście stóp drewniane kozły i stawiają po dwóch stronach areny. Muzyka przestaje grać Yankee Doodle, a gra posępną arię Komandora z Don Juana, zaciągają drut między kozłami. Nagle snop czerwonego bengalskiego światła pada od strony wejścia i oblewa krwawym blaskiem całą arenę. W tym to blasku ukazuje się straszliwy sachem, ostatni z Czarnych Węzów. Ale cóż to?... Wchodzi nie sachem, jeno sam dyrektor trupy, Hon. M. Dean. Kłania się publiczności i zabiera głos. Ma on zaszczyt prosić "łaskawych i szanownych gentlemanów oraz piękne i niemniej szanowne ladies o nadzwyczaj spokojne zachowywanie się, niedawanie brawa i zupełną ciszę, albowiem wódz jest nadzwyczaj rozdrażniony i dzikszy niż zwykle". Słowa te sprawiają niemałe wrażenie - i dziwna rzecz, ci sami honoratiores Antylopy, którzy przed piętnastu laty wycięli Chiavattę, doznają teraz jakiegoś nader niemiłego uczucia. Przed chwilą, gdy piękna Lina wykonywała swe skoki na koniu, cieszyli się, że siedzą tak blisko, tuż koło parapetu, skąd tak dobrze można wszystko widzieć, a teraz spoglądają z pewnym utęsknieniem na górne sfery cyrkowe i wbrew prawom fizyki znajdują, że im niżej, tym duszniej.

Ale ten sachem czyżby jeszcze pamiętał? Przecież wychował się od młodych lat w trupie Hon. M. Deana, złożonej przeważnie z Niemców. Czyżby jeszcze nie zapomniał? Wydawało się to nieprawdopodobnym. Otoczenie i piętnaście lat zawodu cyrkowego, pokazywania sztuk, zbierania oklasków musiały wyrzeć swój wpływ.

Chiavatta, Chiavatta! A toż oni, Niemcy, także są nie na swojej ziemi, daleko od ojczyzny, i nie myślą o niej więcej niż na to business pozwala. Przede wszystkim trzeba jeść i pić. O tej prawdzie musi pamiętać tak dobrze każdy filister, jak i ostatni z Czarnych Węzów.

Rozmyślenia te przerywa nagle jakiś dziki świst w stajniach - i na arenie ukazuje się oczekiwany niespokojnie sachem. Słysząc krótki pomruk ciżby: "To on! to on!" - i potem cisza. Syczy tylko bengalski ogień, który przy wejściu pali ciągle. Wszystkie spojrzenia kierują się na postać wodza, który oto ma wystąpić w cyrku na grobach ojców. Indianin zasługuje rzeczywiście, by nań patrzono. Wydaje się dumny jak król. Płaszcz z białych gronostajów - oznaka wodza - pokrywa jego wyniosłą postać i tak dziką, że przypomina źle oswojonego jaguara. Twarz ma jakby wykutą z miedzi, podobną do głowy orła, a w tej twarzy świecą zimnym blaskiem oczy prawdziwie indyjskie, spokojne, niby obojętne - a złowrogie. Wodzi on nimi po zgromadzeniu, jakby chciał sobie upatrzeć ofiarę. Bo zresztą uzbrojony jest od stóp do głów. Na głowie jego chwieją się pióra, za pasem ma topór i nóż do skalpowania, w rękę tylko zamiast łuku trzyma długi drąg, który służy do chwytania równowagi podczas chodzenia po drucie. Zatrzymawszy się na środku sceny, nagle wydaje okrzyk wojenny. Herr Gott! to okrzyk Czarnych Węzów. Ci, którzy wycinali Chiavattę, pamiętają dobrze to straszne wycie - i co dziwniejsza, ci, którzy przed piętnastu laty nie ulekli się tysiąca tak wyjących wojowników, poca się teraz przed jednym. Ale oto dyrektor zbliża się do wodza i mówi do niego, jakby chciał go ułagodzić i uspokoić. Dziki zwierz uczył munsztuk - namowa skutkuje, bo po chwili sachem kołysze się już na drucie. Zapatrzone w zyrandol naftowy, postępuje naprzód. Drut ugina się silnie; chwilami nie widać go wcale, a wtedy Indianin zdaje się wisieć w powietrzu. Idzie jakby pod górę; jeszcze postępuje naprzód, cofa się i znów idzie chwytając równowagę. Wyciągnięte jego ręce, pokryte płaszczem, wyglądają jak olbrzymie skrzydła. Chwieje się!... pada! - nie! Krótkie, urwane brawo

zrywa się jak wichur i milknie. Twarz wodza staje się coraz groźniejsza. W jego wzroku utkwionym w lampy naftowe błyszczy jakieś straszne światło. W cyrku niepokój, ale ciszy nikt nie przerywa. Tymczasem sachem zbliża się do drugiego końca drutu - staje - i niespodzianie z ust jego wyrywa się pieśń wojenna.

Szczególina rzecz! Wódz śpiewa po niemiecku. Ale łatwo to zrozumieć. Pewno zapomniał języka Czarnych Wężów. Zresztą nikt na to nie zważa. Wszyscy słuchają pieśni, która wzmacnia się i potężnieje. Jest to pół śpiew, pół jakieś wołanie niezmiernie żałobne, dzikie i chrapliwe, pełne drapieżnych akcentów.

Słysząc słowa następujące: "Po wielkich deszczach, co rok pięciuset wojowników wychodziło z Chiavatty na ścieżki wojny lub na wielkie łowy wiosenne. Gdy wracali z wojny, zdobyli ich skalpy; gdy wracali z łowów, przywozili mięso i skóry bawole, a żony witały ich z radością i tańczyły na cześć Wielkiego Ducha.

Chiavatta była szczęśliwa! Niewiasty pracowały w wigwamach, dzieci wyrastały na piękne dziewczęta i dzielnych wojowników. Wojownicy umierali na polu sławy i szli polować z duchami ojców do Srebrnych Gór. Topory ich nie broczyły się nigdy w krwi niewiast i dzieci, bo wojownicy Chiavatty byli szlachetnymi mężczyznami. Chiavatta była potężna. Aż przyszły blade twarze zza mórz dalekich i wrzuciły ogień do Chiavatty. Błazi wojownicy nie pokonali Czarnych Wężów w boju, ale zakradli się nocą jak szakale i noże ich zboczyły się w piersiach uspiomych mężczyzn, niewiast i dzieci.

I oto nie ma Chiavatty, bo na ich miejsce biali wzniesli swoje kamienne wigwamy. Wymordowane pokolenie i zniszczona Chiavatta wołają o zemstę."

Głos wodza stał się chrapliwy. Teraz, kołyszając się na

tym drucie, wydawał się jak jakiś czerwony archanioł zemsty, unoszący się nad głowami ciżby ludzkiej. Sam dyrektor widocznie był zaniepokojony. W cyrku zrobiła się śmiertelna cisza. Wódz wył dalej:

"Z całego pokolenia zostało jedno dziecko. Było ono małe i słabe, ale przysięgło duchowi ziemi, że się zemści. Że ujrzy trupy białych mężczyzn, niewiast, dzieci - pożogę, krew..." Ostatnie słowa zmieniły się w ryk wściekłości. Po cyrku poczęły się zrywać szmery podobne do nagłych powiewów wichru. Tysiące pytań bez odpowiedzi cisnęło się do głów. Co zrobi ten wściekły tygrys? co zapowiada? jak dokona zemsty? - on? - sam jeden? - zostać czy uciekać? czy się bronić - i jak? - Was ist das? was ist das? - rozległy się wystraszone głosy kobiece.

Nagle nieludzkie wycie wyrwało się z piersi wodza, zakłócił się silniej, wskoczył na drewniany kozioł, stojący pod żyrandolem, i wznosił dźwięk. Straszna myśl przeleciała jak błyskawica przez głowy: rozbija świecznik i zaleje cyrk potokami płonącej nafty. Z piersi widzów wyrwał się jeden okrzyk. Ale cóż to? Z areny wołają: stój! stój!... Wódz nie ma! zeskoczył, znikł w wyjściu. Nie spalił cyrku? Gdzie się podział? Oto wychodzi, wychodzi znowu, zziębnięty, zmęczony, straszny. W ręku niesie blaszaną miskę i wyciągając ją ku widzom, mówi błagalnym głosem: Was gefällig für den letzten der Schwarzen Schlangen!... Kamień spada z piersi widzów. Więc to wszystko było w programie, więc to była sztuka dyrektora? efekt? Sypią się półdolary i dolary. Jakże odmówić ostatniemu z Czarnych Wężów - w Antylopie, na zgłiszczach Chiavatty! Ludzie mają serce.

Po przedstawieniu sachem pił piwo i jadł knedle "Pod Żółtym Słońcem". Otoczenie wpływ widocznie wywarło. Zyskał wielką popularność w Antylopie, zwłaszcza u kobiet. Robiono nawet plotki...

SZKICE WĘGLEM

Rozdział I W KTÓRYM ZABIERAMY ZNAJOMOŚĆ Z BOHATERAMI I ZACZYNAJEMY SIĘ SPODZIEWAĆ, ŻE COS WIĘCEJ NASTĄPI

We wsi Barania Głowa w kancelarii wójta gminy cicho było jak makiem siał. Wójt gminy, niemłody już włościanin nazwiskiem Franciszek Burak, siedział przy stole i z natężoną uwagą gryzmołił coś na papierze; pisarz zaś gminny, młody i pełen nadziei pan Zołzikiewicz, stał pod oknem i opędział się od much.

Much było w kancelarii jak w oborze. Wszystkie ściany popstrzone od nich straciły swój dawny kolor. Również popstrzone było szkło na obrazie wiszącym nad stołem, papier, pieczęcie, krucyfiks i urzędowe księgi wójtowskie.

Muchy łąziły i po wójcie, tak jakby po jakim zwyczajnym sobie ławniku, ale szczególniej nęciła je wy-pomadowana, woniejąca goździkami głowa pana Zołzikiewicza... Nad tą głową unosił się ich cały rój; siadały na rozdziale włosów, tworząc żywe, ruchome, czarne plamy. Pan Zołzikiewicz podnosił od czasu do czasu ostrożnie rękę, a potem spuszczał ją nagle: da-wał się słyszeć płask dłoni o głowę, rój wzbijał się brzęcząc w powietrze, a pan Zołzikiewicz schyliwszy czuprynę wybierał palcami trupy z włosów i rzucał je na ziemię.

Godzina była czwarta po południu, w całej wiosce panowała cisza, bo ludzie wyszli na robotę; za oknem tylko, kancelarii czochała się o ścianę krowa i od czasu do czasu ukazywała przez okno sapiące nozdrza, ze śliną wiszącą u pyska.

Czasem zarzucała ciężki łeb na grzbiet, broniąc się także od much, przy czym rogiem zawadzała o ścianę. Wówczas pan Zołzikiewicz wyglądał przez okno i wołał:

- A hej! A żeby cię...

Potem przeglądał się w lusterku wiszącym tuż koło okna i poprawiał włosy.

Na koniec przerwał milczenie wójt.

- Panie Zołzikiewicz - rzekł z mazurska - niech ino pan napisze ten "rapurt", bo mię jakoś nieskładne. Przecie pan je pisarz.

Ale pan Zołzikiewicz był w złym humorze, a jak tylko był w złym humorze, wójt musiał sam wszystko robić.

- To i cóż, żem pisarz? - odparł z lekceważeniem. - Pisarz jest od tego, żeby pisywał do naczelnika i do komisarza; a do wójta, takiego jak wy, to wy sobie sami piszcie.

Potem dodał z majestatyczną pogardą:

- Albo to dla mnie wójt to co? Chłop, i basta! Zrób chłopą, czym chcesz... a chłop zawsze będzie chłopem.

Potem poprawił włosy i znów spojrział w lusterko. Wójt jednak czuł się dotknięty i odrzekł:

- Patrzcie no się! A niby ja to z "koniusarzem" nie piłem arbaty? "
- Wielka mi rzecz herbata! - odparł niedbale Zołzikiewicz. - A może jeszcze bez araku?
- A nieprawda, bo z barakiem.
- To niech będzie z arakiem, a ja dlatego raportu nie będę pisał.

Wójt ozwał się gniewliwie:

- Kiejś pan taki delikatny fizyk, to czemu było prosić się na pisarza?
- A was się kto prosił? Ja tylko po znajomości z naczelnikiem...
- Wielga znajomość, a jak tu przyjadzie, to pan ani pary z gęby...
- Burak! Burak! ostrzegam, że wy jakoś nadto roz-puszczacie język. Mnie już wasze chłopcy kością w gardle stoją, razem z waszym pisarstwem. Człowiek z edukacją tylko między wami ordynarnieje. Jak się rozniewam, tak rzucę pisarstwo i was do diabła.

- Ba! i cóż pan będzie robił?

- Co? Albo to mi krokwie gryźć bez pisarstwa? Człowiek z edukacją da sobie rady. Już wy się o człowieka z edukacją nie bójcie. Jeszcze wczoraj rewizor Stołbicki do mnie powiada: "Ej ty, Zołzikiewicz! z ciebie byłby czort, nie podrewizor, bo ty wiesz, jak trawa rośnie." Powiedzcie głupiemu. Mnie plunąć na wasze pisarstwo. Człowiek z edukacją...

- O wa! to się jeszcze świat nie skończy.

- Świat się nie skończy, ale wy będziecie kwacza w maźnicy maczać i kwaczem w księgach pisać. Będzie wam ciepło, aż przez aksamit drąg poczujecie.

Wójt począł się drapać w głowę.

- Kiej bo pan to zara na zadnie nogi.
- A to nie rozpuszczajcie gęby...
- Juści, bo juści.

I znowu nastąpiła cisza, tylko pióro wójtowskie z wolna skrzypiało po papierze.

Na koniec wójt wyprostował się, obtarł pióro o sukmanę i rzekł:

- Ano! z pomocą bożą skończyłem.
- Przeczytajcież, coście nagwazdali.
- Co miałem ta gwazdać. Wypisałem akuratnie wszyćko, co potrzeba.
- Przeczytajcie, mówię.

Wójt wziął papier w obie ręce i zaczął czytać:

"Do wójta gminy Wrzeczadza. W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen. Naczelnik kozoł, żeby spisy wojskowe były dycht po Matce Bożkiej, a tu u waju mentryki w parafii u dobrodzieja i też nasze chłopaki chodzą do waju na bandosę, rozumita, żeby były wypisane i bandośniki też przysłać przed Matką Bożką, jak skończone ośmnaście lat, bo jak tego nie uczyniła, to dostanieta po łbie, czego sobie i wam życzę. Amen."

Pocziwy wójt co niedziela słyssał, jak proboszcz kończył w ten sposób kazanie, zakończenie więc takie zdawało mu się równie koniecznym, jak i odpowiadającym wszelkim wymaganiom przyzwoitego stylu, a tymczasem Zołzikiewicz zaczął się śmiać...

- To tak? - spytał.

- A to niech pan napisze lepiej.

- Pewno, że napiszę, bo mi wstyd za całą Baranią Głową.

To rzekłszy, Zołzikiewicz siadł, wziął pióro w rękę, zatoczył nim kilka kół jakby dla nabrania rozpędu i począł szybko pisać.

Wkrótce zawiadomienie było gotowe; wówczas autor poprawił włosy i czytał, co następuje:

"Wójt gminy Barania Głowa do wójta gminy Wrzeczadza!

Tak jak spisy wojskowe, z polecenia władzy wyższej, mają być gotowe na dzień ten i ten, roku tego a tego, tak zawiadamia się wójta gminy Wrzeczadza, ażeby metryki włościan baraniogłowskich, nachodzące się w kancelarii parafialnej, z takowej kancelarii wyjął i do gminy Barania Głowa w samym skorym czasie nadesłał. Włościan zaś gminy Barania Głowa, znajdujących się na robociznie we Wrzeczadzy, na tenże dzień przystawić."

Wójt chciwym uchem łowił te dźwięki, a twarz jego wyrażała przejęcie się i niemal religijne skupienie ducha. Jakże to wszystko wydało, mu się pięknym, uroczystym, jak na wskroś urzędowym. Oto, na przykład, choćby ten początek: "Tak jak spisy wojskowe" etc. Wójt uwielbiał to: "Tak jak", ale się go wyuczyć nigdy nie mógł, a raczej zacząć wprawdzie umiał, ale dalej ani rusz! A u Zołzikiewicza płynęło to jak woda, że na-wet i w kancelarii w powiecie lepiej nie pisali. Potem tylko ukopić pieczętkę, kropnąć nią o papier, ażeby stół trzasnął, i ot co!

- No, juści, co głowa, to głowa - rzekł wójt.

- Ba - rzekł udobruchany Zołzikiewicz - przecież pisarz to jest ten, co książki pisze.

- A to pan i książki pisze?

- Pytacie, jakbyście nie wiedzieli, a księgi kancelaryjne któż pisze?

- Prawda - rzekł wójt. I po chwili dodał:

- Spisy pójdą piorunem.

- Wy o to patrzcie, żeby się pozbyć ze wsi ladaców

- Bogać ich się tam pozbędzie!

- A ja wam mówię, że naczelnik skarżył się, że w Baraniej Głowie lud niedobry. Wciąż, powiada, piją. Burak, powiada, ludzi nie pilnuje, więc się też na nim skrupi.

- Ba! dyć ja wiem - odrzekł wójt - że się wszywko na mnie krupi. Jak Rozalka Kowałicha zległa, sąd kazał jej dać dwadzieścia pięć dlatego tylko, żeby na drugi raz pamiętała, że to, powiada, dziewce nieładne. Kto kazał? Ja? Nie ja, jeno sąd. A mnie do tego co? Niechta sobie i wszystkie zlegną. Sąd kazał, a potem na mnie.

W tym miejscu krowa z łoskotem uderzyła o ścianę, że aż się kancelaria zatrzęsła. Wójt zawołał głosem pełnym goryczy:

- A hej, żeby cię wciornaści! Pisarz, który przez ten czas siadł na stole, począł znów przeglądać się w lusterku.

- Dobrze wam tak - rzekł - czemu się nie pilnujecie. Z tym piciem będzie tak samo. Jedna parszywa owca wszystkim dowodzi i ludzi ciąga do karczmy.

- Pewnikiem, że nie wiadomo, a co do picia: jenszy się też potrzebuje napić, jak się napracuje w polu.

- A ja wam mówię tylko to, jednego Rzepy się po-zbyć i wszystko będzie dobrze.

- Cóż mu ta łeb urwę?

- Łba mu nie urwiecie, ale teraz spisy wojskowe. Ot zapisać by go w listę, niechby pociągnął los, i basta.

- Toczę on żeniaty i chłopaka ma już rocznego.

- A kto by tam wiedział. On by na skargę nie poszedł, a poszedłby, to by go i nie chcieli słuchać, W czasie branki nikt nie ma czasu.

- Oj panie pisarzu! panie pisarzu! musi panu nie o pijaństwo chodzi, ino o Rzepową, a to tyło obraza boska.

- A wam co do tego. Wy patrzcie ot, że i wasz syn ma dziewiętnaście lat i że takóž musi losować.

- Wiem ci ja o tym, ale ja go nie dam. Jak nie będzie można inaczej, to i wykupię.

- O! kiedyście taki bogacz...

- Ma tam Pan Bóg u mnie trochę koprowiny, nie-wiele tego jest, ale może i wstrzyma.

- Ośmset rubli koprowiną będziecie płacić.

- A kiej powiadam, że zapłacę, to choć i koprowiną zapłacę, a potem, byle Pan Bóg pozwolił zostać wójtem, to przy Jego najwyższej pomocy, może mi się to ta w jakie dwa roki powrócić.

- Powróci się albo i nie powróci. Ja też potrzebuję i wszystkiego wam nie oddam. Człowiek z edukacją zawsze ma większe wydatki niż drugi prosty; a jak-byśmy Rzepę zapisali na miejsce waszego syna, to i dla was byłaby oszczędność... ośmset rubli na drodze nie znaleźć.

Wójt pomyślał chwilę. Nadzieja zaoszczędzenia tak znacznej sumy poczęła go łechtać i uśmiechać mu się przyjemnie.

- Ba! - rzekł w końcu - zawdyk to nieprzeznaczona rzecz.
- Już to nie na waszej głowie.
- Tego to ja się i boję, że pańską głową się zrobi, a na mojej się skrupi.
- Jak sobie chcecie, to płąćcie ósmset rubli...
- Nie powiadam, żeby mi ta nie było żal...
- A! skoro myślicie, że się wam wróci, to czegoż żałować? Ale wy na swoje wójtostwo to tak bardzo nie liczcie. Jeszcze na was wszystkiego nie wiedzą, ale że-by tylko wiedzieli to, co ja wiem...
- Dyc pan kancelaryjnego więcej bierze jak ja.
- Nie o kancelaryjnym też mówię, ale trochę o dawniejszych czasach...
- A nie boję się! Co mi kazali, tom robił.
- No! będziecie się tłumaczyć gdzie indziej. To rzekłszy, pan pisarz wziął za zieloną kortową w kraty czapkę i wyszedł z kancelarii. Słońce już było bardzo nisko; ludzie wracali z pola. Więc naprzód pan pisarz spotkał pięciu kosiarzy z kosami na plecach, którzy pokłonili mu się mówiąc: "pochwałony"; ale pan pisarz kiwnął im tylko wypomadowaną głową, a zasię: "na wieki" nie odpowiedział, bo sądził, że człowiekowi z edukacją to nie wypada. Że pan Zołzikiewicz miał edukację, to o tym wiedzieli wszyscy, a wątpić mogli chyba ludzie złośliwi i w ogóle źle myślący, którym każda osobistość, wyrastająca głową nad zwykły poziom, zaraz solą w oku siedzi i spać spokojnie nie daje.

Gdybyśmy mieli, jak się należy, biografie wszystkich naszych znakomitych ludzi, w biografii tego niepospolitego człowieka czytaliibyśmy, że pierwsze nauki pobierał w Osłowicach, stołecznym mieście powiatu osłowickiego, w którym to powiecie leżała i Barania Głowa. W siedmnastym roku życia doszedł już młodociany Zołzikiewicz do klasy drugiej, a byłby również wcześniej doszedł i wyżej, gdyby nie to, że nagle nastąpiły burzliwe czasy, które raz na zawsze przerwały jego ściśle naukową karierę. Uniesiony zwykłym młodości zapałem, pan Zołzikiewicz, którego zresztą jeszcze poprzednio prześladowała niesprawiedliwość profesorów, stanął na czele żywiej czujących kolegów, wyprawił kocią muzykę swym prześladowcom, podarł książki, połamał li-nie, pióra i porzuciwszy Minerwę wstąpił na nową drogę. Idąc po tej nowej drodze doszedł aż do pisarstwa gminnego, a jak to już słyszeliśmy, marzył nawet o podrewizorstwie.

Jednakże i na pisarstwie wiodło mu się nieźle.

Gruntowna wiedza zawsze potrafi obudzić dla siebie szacunek, że zaś, jak wspomniałem, sympatyczny mój bohater wiedział coś o każdym prawie z mieszkańców powiatu osłowickiego, wszyscy więc byli dlań z szacunkiem, pomieszanym z pewną ostrożnością, ażeby się w czymś tak niepospolitej osobistości nie narazić. Kłaniały mu się więc i osoby z inteligencji, kłaniali się i chłopci, zdejmując już z daleka czapki i mówiąc "pochwałony!". Tu widzę jednak, że muszę jaśniej czytelnikowi wytłumaczyć, dlaczego pan Zołzikiewicz nie odpowiadał na "pochwałony" zwykłym: "na wieki wieków".

Wspomniałem już, że sądził, iż człowiekowi z edukacją to nie wypada; ale były jeszcze i inne przyczyny. Umysły na wskroś samodzielne bywają zwykle śmiałe i radykalne. Otóż p. Zołzikiewicz doszedł do przekonania, że "dusza to para, i basta". Przy tym pan pisarz czytał teraz właśnie

wydawnictwo warszawskiego księgarza pana Breslaucra, pod tytułem: Izabela hiszpańska, czyli tajemnice dworu madryckiego. Znakomity ten pod każdym względem romans tak mu się podobał i przejmował go tak dalece, że w swoim czasie zamierzał nawet rzucić wszystko i jechać do Hiszpanii: "Udało się Marforemu, myślał sobie, dlaczegoż i mnie nie miałyby się udać?" Byłby może na-wet i pojechał, bo zresztą był teraz zdania, że "w tym głupim kraju tylko się człowiek marnuje", ale wstrzymywały go, na szczęście, inne okoliczności, o których ta epopeja później mówić będzie.

Owóż skutkiem czytania owej Izabeli hiszpańskiej, wydawanej periodycznie, ku większej chwale naszej literatury, przez pana Breslauera, pan" Zołzikiewicz zapatrywał się bardzo sceptycznie na duchowieństwo, a zatem i na wszystko, co pośrednio lub bezpośrednio z duchowieństwem związane. Nie odpowiedział więc kosiarzom, jako zwykle, "na wieki wieków", tylko szedł dalej... Idzie, idzie, aż tu spotyka i dziewczki z sierpami na ramionach, wracające od żniwa. Przechodziły właśnie koło wielkiej kałuży, więc szły jedna za drugą gęsiego, podejmując z tyłu kiecki i pokazując burakowe nogi. Dopiero pan Zołzikiewicz powiada:

"Jak się macie sikory!", i zatrzymał się na tej samej steczce, a co która dziewczyna przechodzi, to on ją wpół i całusa, a potem ją w kałużę, ale to tylko tak, przez dowcip. Dziewki też krzyczały oj! oj! śmiejąc się, aż im zęby trzonowe było widać. A potem, kiedy już przeszły, pan pisarz nie bez pewnej przyjemności usłyszał, jak mówiły jedna do drugiej: "A już to piękny kawałir, ten nasz pisarz!" "I czerwony kiej jabłuszeczko." Trzecia zaś mówi: "A głowa to mu się tak puszy, kieby róża; jak cię złapi wpół, to aż cię zamgli!" Pan pisarz poszedł dalej, pełen dobrych myśli. Ale dalej znów, koło chałupy, usłyszał rozmowę o sobie i zatrzymał się za płotem. Za płotem, z drugiej strony, był gęsty wiśniowy sad, w sadzie ule, a niedaleko ulów stały dwie baby rozmawiając. Jedna miała kartofle w podółku i obierała je cygankiem, druga zaś mówiła:

- Oj! moja Stachowa, tak się boję, żeby mi mego Franka w żołnierze nie wzieni, że aż mi skóra cierpnie.

A Stachowa na to:

- Do pisarza by wam, do pisarza. Jak on nie zaradzi, to nikt nie zaradzi.

- Aż czymże, moja Stachowa, ja do niego pójde. Do niego z gołymi rękami nie można. Wójt je lepszy, przyniesiesz mu. czy białych raków, czy masła, czy lnu pod pachą, czy kurę, to wszystko weźmie nie wybredzając. A pisarz ani spojrzy. O! on strasznie ambitny. Jemu to tyło chuścinę rozwiąż i zara rubla.

- Niedoczekanie wasze! - mruknął do siebie pisarz - żebym ja od was jaja albo kury brał. Cóż to ja łapownik jestem czy co? A idź z twoją kurą do wójta.

To pomyślawszy rozsunął gałęzie wiśniowe i już było chciał na kobiety zawołać, gdy nagle rozległ się z tyłu turkot bryczki. Pan pisarz odwrócił się i spojrział. Na bryczce siedział młody akademik w czapce na bakier, z papierosem w zębach, powoził zaś ów Franek, o którym baby rozmawiały przed chwilą.

Akademik wychylił się z bryki, dojrzał pana Zołzikiewicza, kiwnął ręką i zawołał:

- Jak się masz, panie Zołzikiewicz? Co tam słyszać? Cóż, zawsze pomadujesz się na dwa cale?

- Sługa pana dobrodzieja! - ozwał, kłaniając się nisko, Zołzikiewicz, ale gdy bryka mignęła dalej, za-wołał w ślad za nią z cicha:

- Żebyś kark skręcił, nim dojedziesz.

Tego akademika pan pisarz nie cierpiał. Był to kuzyn państwa Skorabiewskich; który przyjeżdżał zawsze do nich na lato. Zołzikiewicz nie tylko go nie cierpiał, ale bał się go jak ognia, bo to był drwiarz, frant wielki, a z pana Zołzikiewicza kpił jak gdyby umyślnie, i on jeden w okolicy, co sobie z niego nic nie robił. Raz nawet wpadł na posiedzenie gminne i powiedział wyraźnie Zołzikiewiczowi, że głupi; chłopom zaś, że nie mają potrzeby go słuchać. Byłby się na nim pan Zołzikiewicz chętnie pomścił, ale... cóż mu mógł zrobić? O innych to choć coś wiedział, a o nim nawet nic nie wiedział.

Przyjazd tego akademika był mu nie na rękę, dla-tego poszedł dalej z zachmurzonym czołem i nie zatrzymał się aż dopiero przed jedną chałupą, stojącą trochę opodal od-drogi. Gdy ją jednak ujrzał, czoło jego wyjaśniło się znowu. Była to chałupa może biedniejsza jeszcze od innych, ale wyglądała porządnie. Umieciono było przed nią czysto, a podwórko przytrąsnięte tatarakiem. Pod płotem leżały szczapy drzewa, a w jednej z nich wspartej na pieńku sterczała siekiera. Nieco dalej widać było stodołę z otwartymi wierzejami, obok niej szope, która była chlewkiem i oborą zarazem; dalej jeszcze ogrodzenie, w którym koń szczypał trawę, przestępując z nogi na nogę. Przed chlewem świeciła wielka gnojówka, w której leżały dwie świni. Kaczki brodziły koło gnojówki. Blisko szczap, między wiórami, kogut rozgrzebywał ziemię, a znalazłszy ziarno lub czerwia, poczynął krzyżeć: "kocz! kocz! kocz!" Kury zlatywały się na to hasło na wyścigi i dziobały specjał, odbierając go sobie wzajemnie.

Przed drzwiami chałupy kobieta tłukła w mędlicy konopie, śpiewając: "oj ta dada! oj ta dada! da-da-na!" Koło niej leżał z wyciągniętymi przednimi nogami pies, kłapiąc pyskiem za muchami, które mu siadały na rozerwanym uchu.

Kobieta była młoda, może dwudziestoletnia i dziwnie urodziwa. Na głowie miała czepek zwyczajny babski, na sobie białą koszulę ściągniętą czerwoną tasiemką. Kobieta zdrowa była jak rydz, szeroka w plecach i w biodrach, smukła w stanie, gibka, słowem: łania.

Ale rysy miała drobne, głowę niewielką i płeć może nawet i bladawą, tylko trochę ozłoconą promieniami słońca; oczy duże, czarne, brwi jakby napisane, mały, cienki nosek i usta jak wiśnia. Śliczne ciemne włosy wymykały się jej spod czepca.

Gdy pan pisarz się zbliżył, pies leżący koło mędlicy wstał, schował ogon pod siebie i począł warczeć, błyskając od czasu do czasu kłami, jakby się uśmiechał.

- Kruczek - zawołała dźwięcznym cienkim głosem kobieta - nie będziesz ty leżał! żeby cię robole!...

- Dobry wieczór, Rzepowa! - zaczął pisarz.

- Dobry wieczór panu pisarzoju! - odrzekła kobieta nie przestając mędlić.

- Wasz w domu?

- Na robocie w lesie.

- A to szkoda. Jest do niego interes z gminy. Interes z gminy to dla prostych ludzi zawsze znaczy coś niedobrego. Rzepowa przestała mędlić i spojrzawszy trwożnie, spytała niespokojnie:

- No? cóże to takiego?

Pan pisarz tymczasem przeszedł wrota i stanął koło niej.

- A dacie się pocałować? to wam powiem.

- Obędzie się! - odparła kobieta.

Ale pan pisarz już zdołał ją objąć w pół i przygarnąć do siebie.

- Panie! będę krzyceć - wołała Rzepowa wyrrywając się silnie.

- Moja śliczna, Rzepowa... Marysiu!

- Paanie! toć to obraza boska! Panie! To mówiąc wydzierała się coraz silniej, ale pan Zołzikiewicz był także mocny i nie puszczał.

W tej chwili Kruczek przyszedł jej na pomoc. Zjeżył sierść na karku i z wściekłym szczekaniem rzucił się na pana pisarza, a ponieważ pan pisarz ubrany był w krótką marynarkę, Kruczek więc schwycił za nieosłonięty marynarką kort, przejął kort, chwycił za nankin, przejął nankin, schwycił za skórę, przejął skórę i dopiero poczuwszy pełno w pysku, począł potrząsać wściekle łbem i targać.

- Jezus! Maria! - krzyczał pan pisarz, zapominając o tym, że należał do esprits forts.

Ale Kruczek pana pisarza nie puszczał, dopiero gdy ten schwyciwszy polano zaczął nim zadawać w tył ślepe razy, Kruczek, otrzymawszy uderzenie w krzyż, odskoczył skomląc żałośnie.

Po chwili jednak znów zaczął doskakiwać.

- Weźcie tego psa! weźcie tego diabła! - krzyczał pan pisarz machając rozpaczliwie polanem.

Kobieta zawołała na psa i odpędziła go za wrota. Potem oboje z pisarzem spoglądali na siebie w milczeniu.

- Oj dola moja! Coże se pan do mnie upatrzył? - zawołała na koniec Rzepowa, przestraszona tak krwawym obrotem sprawy.

- Pomsta na was! - krzyknął pan pisarz. - Pomsta na was! Czekaście! pójdzie Rzepa w żołdacy. Chciałem bronić... ale teraz... Przyjdziecie wy jeszcze do mnie... Pomsta na was!...

Kobiecina aż pobladła, jakby ją kto obuchem w głowę uderzył, rozłożyła ręce, otworzyła usta, jakby chciała coś mówić. Ale tymczasem pan pisarz, podniósłszy z ziemi kortową czapkę w zielone kraty, oddalił się szybko, machając jedną ręką polanem, a drugą podtrzymując rozdarte szpetnie korty i nankiny.

Rozdział II NIEKTÓRE INNE OSOBY I PRZYKRE WIDZENIA

W godzinę potem może przyjechał Rzepa z lasu z cieślą Łukaszem, na dworskim wozie. Rzepa chłopisko był rosty jak topola, tęgi: prawdziwie od topora.

Jeździł on teraz codziennie do lasu, bo pan wszystek las, na którym nie było serwitutów, sprzedał Żydom, szedł więc wyrąb sosen. Rzepa zarobek miał dobry, bo I do roboty był dobry. Jak, bywało,

plunie w garście, s chwyci za topór, a machnie, a stęknie, a uderzy: to aż sosna zadrży, a wiór na pół łokcia się od niej oderwie. W ładowaniu drzewa na fury także był pierwszy. Żydy, co chodziły po lesie z miarą w rękę i spoglądały na wierzchołki sosen, jakby szukając gniazd wronich, dziwowały się jego sile. Bogaty kupiec z Osłowic, Dryśła, mawiał do niego:

- No, ty Rzepa! niech ciebie diabeł weźmie. Na! sieć groszy na wódkę... nie, czekaj; na! pięć groszy na wódkę...

A Rzepa nic. Machał tylko toporem, aż grzmiało, a czasem, ot dla uciechy, puszczał głos po lesie:

- Hop! hop!

Głos leciał między pnie, a potem wracał echem.

I znowu nie było nic słyhać, prócz huku Rzepowego toporu; a czasem także sosny zagadały między gałęziami szumem, zwyczajnie jak w lesie.

Czasem znów drwale śpiewali, ale i do tego Rzepa był pierwszy. Trzeba było słyseć, jak huczał z drwałami pieśń, której ich sam nauczył:

Coś tam w boru hukneno!

Buuuu! I okrutnie stukneno

Buuuu! A to komar z dęba spadł

Buuuu! I stukł sobie w plecach gnat

Buuuu! A tu mucha poćciwa

Buuuu!

Leci ledwie co żywa

Buuuu! I pyta się komara

Buuuu! Czy nie trzeba doktóra

Buuuu! Oj! nie trzeba doktóra

Buuuu! Ani żadnej apteki

Buuuu! Jeno rydla, motyki

Buuuu!

W karczmie też Rzepa pierwszy był do wszystkiego, tylko że siwuchę lubił, a skory był do bitki, jak podpiał. Raz Damazemu, parobkowi dworskiemu, zrobił taką dziurę we łbie, że Józkowa, gospodyni folwarczna, zaklinała się, że mu duszę było przez nią widać. Innym razem, ale to ledwie miał wtedy siedemnaście lat, pobił się w karczmie z urlopnikami. Pan Skorabiewski, który wtedy jeszcze był wójtem, sprowadził go do kancelarii, dał mu raz i drugi w łeb, ale tylko dla pozorów, a potem, udobruchawszy się zaraz, pytał:

- Rzepa, bój się Boga! jakżeś ty z nimi poradził, przecie ich było siedmiu? A Rzepa na to:

- A cóż, jasnie dziedzicu! nożyska mają masierunkiem zerwane, to tylko com się którego tknon, to on zaraz o ziem.

Pan Skorabiewski zatarł sprawę. On dawniej był dziwnie łaskaw na Rzepę. Baby gadały nawet jedna drugiej do ucha, że Rzepa to jego syn: "Toć znać zaraz, dodawały, że fantazyją ma psiajucha ślachecką."

Ale to nie była prawda, choć matkę Rzepy znali wszyscy, a ojca nikt. Sam Rzepa siedział komornym na chałupie i na trzech morgach, na których go też i uwłaszczenie zastało. Potem zaczął gospodarować na swoim, a że chłop był gospodarny, więc szło mu jako tako. Ożenił się, dostał żonę taką, że lepszej i ze świecą szukać; więc byłoby się pewno i bardzo dobrze wiodło, żeby nie to, że wódkę trochę zanadto lubił.

Ale cóż było na to poradzić. Jak ktoś do niego z wymówką, tak zaraz odpowiadał:

- Piję, to za swoje, a wam zasię!

Nikogo się we wsi nie bał, przed jednym pisarzem mores znał. Gdy zobaczył z daleka zieloną czapkę, zadarty nos i kozią bródkę, idące na wysokich nogach zwolna po drodze, to się za czapkę brał. Na Rzepę pisarz też wiedział jakieś sprawki. Kazali Rzepie wozić w czasie zawieruchy jakieś papiery, to i woził. A jemu to co? Zresztą on wtedy miał piętnaście lat i jeszcze za gęsiami a za świńmi chodził. Ale potem pomyślał, że jednakże za owo wożenie papierów może być odpowiedzialność, więc się pisarza bał.

Taki to był Rzepa.

Gdy wrócił tego dnia z boru do chałupy, wypadła do niego kobieta z płaczem wielkim i dalejże wołać:

- Już ciebie, niebożę, niedługo moje oczy będą oglądały; już ja ci nie będę ni chustów prała, ni jeść gotowała. Pójdiesz ty, nieboraku, na kraj świata.

A Rzepa się zdziwił.

- Czyś ty się, kobieto - rzeknie - blekotu najadła, czy cię ta giez ukąsił?

- Ni ja się blekotu najadłam, ni mnie giez ukąsił, jeno pisarz tu był i mówił, że tobie już nijak od wojska się nie wykręcić... Oj! pójdiesz, pójdiesz na kraj świata!

Dopiero on ją wypytywać: jak, co, a ona mu opowiedziała wszystko, tylko o bałamuctwie pisarza zataiła, bo się bała, żeby Rzepa głupstwa pisarzowi nie powiedział albo czego Boże broń! na niego się nie porwał i tym sprawy swojej nie pogorszył.

- Ty głupia! - powiedział w końcu Rzepa - czego płaczesz? Mnie do wojska nie wezmą, bom wyszedł z lat; przy tym chałupę mam, grunt mam, ciebie, głupia, mam, a i tego raka utrapionego także.

To mówiąc pokazał na kołyskę, w której rak utrapiony, tj. tęgi roczny chłopak, wierzgał nogami i wrzeszczał, że aż uszy pękały.

Kobieta poczęła obcierać oczy fartuchem i rzekła:

- Co ta wszystko znaczy! Albo to on nie wie o papierach, coś je woził z boru do boru? Teraz Rzepa podrapał się w głowę.

- Jużci bo wie. Po chwili zaś dodał:

- Pójdę ja z nim pogadać. Może to nic straszego.

- Idź, idź! - rzekła kobieta - a weź ze sobą rubla. Do niego bez rubla nie przystępuj.

Rzepa wydobył ze skrzyni rubla i poszedł do pana pisarza.

Pisarz był kawaler, nie miał więc osobnego domu, ale mieszkał w czworakach stojących nad stawem, czyli w tak zwanym murowanym. Tam w osobnej sieni miał dwie izby na swój użytek.

W pierwszej izbie nie było nic, tylko trochę słomy, para kamaszów, druga była zarazem salonem i sypialnią. Stało tam łóżko niezaścielane prawie nigdy, na łóżku dwie poduszki bez poszewek, z których sypały się pierze; obok stół, na nim kałamarz, pióra, książki kancelaryjne, kilkanaście zeszytów Izabeli hiszpańskiej wydawnictwa pana Breslauera; dwa brudne kołnierzyki angielskie, słoik pomady, gilzy do papierosów i wreszcie świeca w blaszanym lichtarzu, z rudym knotem i muchami potopionymi w łożu koło knota.

Przy oknie wisiało spore lustro, naprzeciw zaś okna mieściła się komoda, obejmująca nader wykwinną toaletę pana pisarza: różnych odcieniów majtki, kamizelki bajecznych kolorów, krawaty, rękawiczki, lakierki, a nawet i cylinder, którego pan pisarz używał wtedy, gdy wypadło mu jechać do powiatowego miasta Osłowiec.

Oprócz tego, w chwili, o której mowa, na krześle przy łóżku, spoczywały korty i nankiny pana pisarza, sam zaś pan pisarz leżał w pościeli i czytał zeszyt Izabeli hiszpańskiej, wydawnictwa pana Breslauera.

Położenie jego, to jest nie pana Breslauera, ale pana pisarza, było okropne, tak nawet okropne, że trzeba by mieć chyba styl Wiktóra Hugo, żeby je opisać, jak było okropne.

Przede wszystkim w ranie czuł wściekły ból. Owo czytanie Izabeli, które było dlań zawsze najmiłszą pociechą i rozrywką, teraz powiększało jeszcze nie tylko ból, ale i gorycz, jaka go trapiła po owym wypadku z Kruczkim.

Miał trochę gorączki i ledwo mógł zebrać się z myślami. Czasem nawiedzały go straszne marzenia. Czytał właśnie, jak młody Serrano przybywa do Eskurialu, pokryty ranami po świetnym zwycięstwie nad Karlistami. Młoda Izabela przyjmuje go wzruszona i blada. Muślin faluje żywo na jej piersiach.

- Generale! tyś ranny? - pyta Serrana ze drżeniem w głosie.

Tu nieszczęśliwemu Zołzikiewiczowi zdaje się, że istotnie jest Serranem.

- Oj! oj! jestem ranny! - powtarza przygnębionym głosem. - Królowo, przebacz! A żeby to najjaśniejsze!...

- Spocznij, generale! Siadaj. Siadaj! Opowiedz mi swoje bohaterskie czyny.

- Opowiedzieć mogę, ale usiąść żadną miarą - woła zdesperowany Serrano. - Oj! Wybacz, królowo. Ten przeklęty Kruczek!... chciałem powiedzieć: Don Jose,.. Aj! aj! aj!

Tu ból rozprasza marzenie. Serrano rozgląda się; świeca pali się na stole i pryska, bo właśnie zaczęła się palić nasiąknięta łożem mucha; inne muchy łążą po ścianach... A? Więc to czworaki, nie

Eskurial? Królowej Izabeli nie ma? Tu pan Zołzikiewicz przychodzi całkowicie do przytomności, podnosi się na łóżku, macza chustkę w dzbanku z wodą, stojącym pod łóżkiem, i zmienia okład.

Po czym zwraca się do ściany, zasypia, a raczej rozmarza się w półśnie, w półjawie, i oczywiście jedzie znowu jakby ekstrapocztą do Eskurialu.

- Miły Serrano! kochanku mój! sama opatrzę twe rany - szepcze królowa.

Serranowi włosy na głowie powstają. Czuje całą okropność swej. pozycji. Jak tu nie posłuchać królowej, a jak tu zarazem poddać się interesującemu opatrunkowi? Zimny pot występuje mu na czoło, gdy nagle...

Nagle królowa znika, drzwi otwierają się z trzaskiem i stają w nich ni mniej, ni więcej jak tylko Don Jose, zacięty wróg Serrana.

- Czego tu chcesz? Ktoś ty? - woła Serrano.

- To ja, Rzepa! - odpowiada ponuro Don Jose. Zołzikiewicz budzi się po raz drugi; Eskurial staje się znów murowańcem; świeca się pali, mucha przy knocie trzeszczy - i pryska błękitnymi kropelkami; we drzwiach stoi Rzepa, a za nim... pióro wypada mi z ręki... przez pół odchyłone drzwi wsadza łeb i kark Kruczek.

Potwór trzyma oczy utkwione w pana Zołzikiewicza i zdaje się uśmiechać.

Zimny pot naprawdę występuje na skronie pana Zołzikiewicza, a przez głowę przelatuje mu myśl: Rzepa przyszedł połamać mi kości, a Kruczek z drugiej strony...

- Czego tu obaj chcecie? - woła wystraszonym głosem.

Ale Rzepa kładzie rubla na stół i odzywa się pokornie:

- Jelemożny pisarzu! a to ja przyszedłem wedle... tej branki.

- Won! won! won! - krzyknie na to Zołzikiewicz, w którego nagle duch wstąpił.

I wpadłszy w wściekłość, zrywa się do Rzepy, ale w tej chwili w karlistowskiej ranie zabolalo go srodze, pada więc znowu na poduszki, wydając tylko przygłuszone jęki:

- Oj, jej!

Rozdział III ROZMYŚLANIA I EUREKA

Rana ogniła się.

Widzę, jak piękne czytelniczki poczynają lzy ronić nad moim bohaterem, a zatem, nim która z nich zemdleje, pośpieszam dodać, że jednak bohater nie umarł z tej rany. Przeznaczonym, mu było żyć jeszcze długo. Zresztą gdyby umarł, złamałbym pióro i skończył powieść, ale że nie umarł, ciągnę więc dalej.

Owóz więc rana ogniła się, ale nadspodziewanie wyszła na korzyść kanclerzowi z Baraniej Głowy, a stało się to bardzo prostym sposobem: ściągnęła mu humory z głowy, więc zaczął myśleć jaśniej i zaraz po-znał, że robił dotychczas same głupstwa. Bo tylko proszę posłuchać: kanclerz zagiął sobie, jak mówią w Warszawie, parol na Rzepową i nie dziwić się mu, bo też to była kobieta, jakiej drugiej nie znaleźć w całym powiecie osłowickim, chciał się więc pozbyć Rzepę. Gdyby raz Rzepę wzięli do wojska, kanclerz mógłby sobie powiedzieć: "hulaj dusza bez kontusza". Ale nie tak łatwo było zamiast wójtowego syna podsunąć Rzepę. Pisarz jest potęgą: Zołzikiewicz był potęgą między pisarzami, to jednak nieszczęście, że w sprawie poboru nie był ostatnią instancją. Tu przychodziło mieć do czynienia ze strażą ziemską, z komisją wojskową, z naczelnikiem powiatu, z naczelnikiem straży, które to wszystkie osobistości bynajmniej nie były Interesowne, żeby zamiast Buraka obdarzyć armię i państwo Rzepą. "Umieścić go w spisie wojskowym? i cóż dalej?" - pytał siebie mój sympatyczny bohater. Spisy sprawdzają, a że metryki muszą być załączone i że Rzepie trudno także zakneblować usta, dadzą więc nosa, zrzucą może jeszcze z pisarstwa, i skończyło się.

Najwięksi ludzie pod wpływem namiętności robili głupstwa, ale w tym właśnie ich wielkość, że poznawali się na tym dość wcześnie. Zołzikiewicz powiedział sobie, że obiecawszy Burakowi zaciągnąć Rzepę na listę popisowych, uczynił pierwsze głupstwo; poszedłszy do Rzepowej i napadłszy ją przy mędlicy, uczynił drugie głupstwo; przestraszywszy ją i męża poborem, uczynił trzecie głupstwo. O, chwilo szczytna! w której mąż prawdziwie wielki mówi sobie: jestem osłem! nadeszłaś wówczas i dla Baraniej Głowy, zleciałaś jakoby na skrzydłach z tej krainy, gdzie wzniosłe wspiera się na szczytnym, bo Zołzikiewicz powiedział sobie wyraźnie: jestem osłem!

Czyż jednak miał porzucić plan teraz, kiedy oblał go już krwią własnych... (w zapale powiedział: własnych piersi), miałżeby porzucić plan, gdy uświęcił go nowiutką parą kortowych, za którą nie zapłacił jeszcze Srulowi, i parą nankinowych, którą sam nie wiedział, czy dwa razy miał na sobie.

Nie i nigdy!

Przeciwnie, teraz gdy do projektów na Rzepową przyłączyła się jeszcze chęć zemsty nad obojgiem i nad Kruczkim z nimi razem, Zołzikiewicz przysiągł sobie, że kpmem będzie, jeżeli Rzepie sadła za skórę nie zaleje.

Myślał więc nad sposobami pierwszego dnia, zmieniając okłady, myślał drugiego, zmieniając okłady, myślał trzeciego, zmieniając okłady, i czy wiecie, co wymyślił? Oto nic nie wymyślił!

Na czwarty dzień przywiózł mu stójka z osłowickiej apteki diachylum; Zołzikiewicz rozsmarował na płatek, przyłożył i - co za cudowne skutki tego medicamentum! - prawie jednocześnie wykrzyknął: "Znalazłem!" Istotnie coś znalazł.

Rozdział IV KTÓRY BY MOŻNA ZATYTUŁOWAĆ: ZWIERZ W SIECI

W kilka dni potem, nie wiem dobrze, czy w pięć, czy w sześć, w alkierzu karczmy baraniogłowskiej siedział wójt Burak, - ławnik Gomuła i młody Rzepa. Wójt wziął za szklanke.

- Przestalibyście się o to swarzyć, kiedy nie mata o co! - rzekł wójt.

- A ja powiadam, że Francuz nie da się Prusakowi - mówi Gomuła uderzając pięścią o stół.

- Prusak, psia j ucha, chytry! - odparł Rzepa.
 - To co, że chytry? Turek pomoże Francuzowi, a Turek je namocniejszy.
 - Co wy wieta. Namocniejszy jest Harubanda (Garibaldi)!
 - Musiśta wstali do góry... plecami. A wyśta skąd wyrwali Harubandę?
 - Co go miałem wrywać? A bo to ludzie nie gadali, że pływał po Wiśle ze statkami i z mocą wielgą? Ino mu się piwo w Warsiawie nie spodobało, bo zwyczajny doma lepszego, to się i wrócił.
 - Nie bluźnilibyście po próznicy, Kuźden śwab to je Żyd.
 - Przecie Harubanda nie śwab.
 - Ino co?
 - Ba? co? musi: cysarz, i basta!
 - Oj, strażnieście mądrzy!
 - Wyśta też nie mądrzejsi.
 - A kiejsza tacy mądrzy, to powidzta, jak ta było na przezwisko pierwszemu rodzicowi?
 - Jak? juści: - Jadam.
 - No! to na krzestme imię, ale na przezwisko?
 - Czy ja wiem.
 - A widzita? A ja wiem. Na przezwisko było mu: "Skruszyła"
 - Chybaście pypcia dostali.
 - Nie wierzyła, to posłuchaj ta:
- Gwiazdo morza, któraś
Pana Mlekiem swoim wykarmiła!
Tyś śmierci szczep, który wszczepił
Pierwszy rodzic, skruszyła.
- A co, czy nie Skruszyła?
 - No juści prawda.
 - Napilibyśta się lepiej - rzekł wójt.
 - Zdrowie wasze, kumie!
 - Zdrowie wasze!
 - Haim!

- Siulim!

- Daj Panie Boże szczęście!

Wypili wszyscy trzej, ale że to było w czasie francusko-pruskiej wojny, ławnik więc Gomuła znowu wrócił do polityki.

- No! napijwa się jeszcze - rzekł po chwili Burak.

- Daj Panie Boże szczęście!

- Panie Boże zapłać!

- No, za wasze zdrowie!

Napili się znowu, a że pili arak, Rzepa więc uderzył wypróżnioną szklanką o stół i odrzekł:

- Ej! dobroć też to, dobroć!

- Ano jeszcze? - rzekł Burak.

- Nalej ta!

Rzepa stawał się coraz czerwiejszy, Burak dolewał mu ciągle.

- A wy - rzekł wreszcie do Rzepy - to choć korzec grochu zarzucita na plecy jedną ręką, a balibyśta się pójść na wojnę?

- Co bym się miał bać? Kiej się bić, to się bić. Gomuła na to rzekł:

- Jwszy jest mały, a odważny, jwszy wielgi i mocny, i bojący.

- A nieprawda! - rzekł Rzepa - ja ta nie jestem bojący.

Gomuła zaś na to:

- Kto was tam wie?

- A ja powiadam - odparł Rzepa, pokazując pięść jak bochenek chleba - że ino bym was zajechał w pacierze tą pięścią, to rozlecielibyście się jak stara beczka.

- A może i nie.

- Chceta spróbować?

- Dajta spokój - wtrącił wójt. - Bedzieta się bili czy co? Ot napijwa się jeszcze.

Napili się znowu, ale Burak i Gomuła tylko że umoczyli usta, Rzepa zaś wypił całą szklankę araku, aż mu oko zbiałało.

- Pocałujta się teraz - rzekł wójt.

Rzepa aż się rozplakał przy uściskach i pocałunkach, co było znakiem, że już podpił dobrze; po czym zaczął wyrzekać, gorzko wspominając graniaste ciele, które dwa tygodnie temu zdechło mu w nocy w oborze.

- Oj! jakiego to cielaka Pan Bóg zabrał ode mnie! - wołał żałośnie.

- No, nie smućta się! - rzekł Burak. - Do pisarza z urzędu przyszło pisanie, że pono dworski las pójdzie na gospodarzy.

Rzepa odpowiedział na to:

- I po sprawiedliwości! Albo to pan las siał? Ale potem zaraz znów zaczął zawodzić:

- Oj! co cielak był, to cielak; jak ta krowę huknął łbem przy ssaniu, to aż zadem pod belkę poleciała.

- Pisarz mówił...

- Co mi ta pisarz! - przerwał gniewnie Rzepa. - Pisarz dla mnie:

Tyle znaczy,

Co Ignacy...

- Nie pomstowalibyście! Napijwa się! Napili się jeszcze raz. Rzepa jakoś się pocieszył i siadł spokojnie na zydlu, a wtem drzwi się otworzyły i ukazały się w nich: zielona czapka, zadarty nos i kozia bródka pisarza.

Rzepa, który czapkę miał nasuniętą na tył głowy, zrzucił ją zaraz na ziemię, powstał i wybełkotał:

- Pochwałony.

- Jest tu wójt? - spytał pisarz.

- Jest! - odpowiedziały trzy głosy.

Pisarz zbliżył się, zaraz też podleciał i Szmul arendarz z kieliszkiem araku. Zołzikiewicz powąchał, skrzywił się i siadł przy stole.

Chwilę panowało milczenie. Na koniec Gomuła zaczął:

- Panie pisarzu?

- Czego?

- Czy to prawda wedle tego boru?

- Prawda. Musicie tylko podpisać prośbę całą gromadą.

- Ja tam nie będę podpisywał - ozwał się Rzepa, który miał wstręt wspólny wszystkim chłopom do podpisywania swego nazwiska.

- Ciebie się też nikt nie będzie prosił. Nie podpisiesz, to nic nie dostaniesz. Twoja wola.

Rzepa zaczął się drapać w głowę, pisarz zaś, zwróciwszy się do wójta i do ławnika, rzekł tonem urzędowym:

- O lesie prawda, ale każdy musi ogrodzić swoją część płotem, żeby nie było sporów.

- To-ta płot będzie więcej kosztował, niż las wart - wtrącił Rzepa.

Pisarz nie zwracał na niego uwagi.

- Na kosztą płotu - mówił do wójta i ławnika - rząd przysła pieniądze. Jeszcze każdy na tym zarobi, bo wypada po pięćdziesiąt rubli na głowę.

Rzepie aż się oczy zaiskrzyły po pijanemu.

- A, jak tak, to podpiszę. A pieniądze gdzie są?

- Są u mnie - rzekł pisarz. - A to dokument.

To rzekłszy, wydobył złożony we czworo papier i odczytał coś, czego chłopci wprawdzie nie rozumieli, ale radowali się bardzo; gdyby jednak Rzepa był trzeźwiejszy, dojrzałby, jak wójt mrugał na ławnika.

Potem, o dziwo! pisarz wydobywszy pieniądze rzekł.

- No! który pierwszy?

Podpisywali kolejno, gdy zasię Rzepa wziął się do pióra, Zołzikiewicz usunął dokument i rzekł:

- A może nie chcesz? To wszystko dobrowolnie.

- Co nie mam chcieć? A pisarz na to:

- Szmul!

Szmul ukazał się we drzwiach.

- Ny? co pan pisarz chce?

- Chodź i ty za świadka, że tu wszystko dobrowolnie.

A potem znów powiada do Rzepy:

- Może nie chcesz?

Ale Rzepa już podpisał i żyda usadził nie gorszego od Szmula, potem wziął pieniądze od pisarza, całych pięćdziesiąt rubli, i schowawszy je za pazuchę, zawołał:

- A dajta no jeszcze haraku!

Szmul przyniósł: wypili raz i drugi. Następnie Rzepa wsparł pięści na kolanach i począł drzemać.

Kiwnął się raz, kiwnął się drugi raz, na koniec zwałił się z zydła, mruknąwszy: "Boże! bądź miłościw mnie grzesznemu!", i usnął.

Rzepowa nie przyszła po niego, bo wiedziała, że jeśli się upił, to może się jej co oberwać. Tak i bywało. Na drugi dzień Rzepa przeproszał żonę, całował ją po rękach. Po trzeźwemu nie dał jej nigdy złego słowa, ale po pijanemu czasem jej się co obrywało.

Przespał więc Rzepa w karczmie całą noc. Nazajutrz rozbudził się o wschodzie słońca. Patrzy, wylupia oczy, aż to nie jego chałupa, ale karczma, i nie alkierz, w którym siedział wczoraj, ale - ogólna izba z szynkwasem.

- Imię Ojca i Syna, i Ducha.

Patrzy jeszcze lepiej, słońce już wschodzi i zagląda przez ubarwione szyby za szynkwasa, a w oknie stoi Szmul, ubrany w śmiertelną koszulę i w cycełe na głowie; stoi w oknie i kiwa się, i modli się głośno.

- Szmul! psiawiaro! - zawołał Rzepa. Ale Szmul nic. Kiwnął się naprzód, kiwnął w tył i modlił się dalej.

Więc Rzepa zaczął się macać, jak robi każdy chłop przespawszy noc w karczmie. Namacał pieniądze.

- Jezus Maryja! a to co?

Tymczasem Szmul przestał się modlić i zdjawszy śmiertelną koszulę i cycełe poszedł je schować do alkierza, a potem wrócił wolnym, krokiem poważny i spokojny.

- Szmul!

- Ny, czego chcesz?

- Co to ja mam za pieniądze?

- Co, głupi, nie wiesz? Toć się wczoraj z wójtem zgodziłeś, że za jego syna będziesz losował, i pieniądze wzięłeś, i kontrakt podpisałeś.

Dopiero chłop zbladł jak ściana: rzucił czapkę o ziemię, potem sam grzotnął się o nią i jak nie ryknie, aż się szyby w karczmie zatrzęsły.

- No, pasioł won, ty sałdat! - rzekł flegmatycznie Szmul.

W pół godziny potem Rzepa zbliżał się do chałupy.

Rzepowa, która właśnie gotowała strawę, usłyszawszy go, jak skrzypiał wrotami, prosto od komina pobiegła na jego spotkanie gniewna bardzo.

- Ty pijaku! - zaczęła.

Ale spojrzawszy na niego, aż się sama przeraziła, bo ledwo go poznała!

- A tobie co jest?

Rzepa wszedł do chaty i z początku ani słowa nie mógł przemówić, tylko siadł na ławie i patrzył w ziemię. Ale kobieta zaczęła pytać i dopytała wreszcie wszystkiego. "Zaprzędali mnie" - rzekł w końcu. Wówczas ona z kolei uderzyła w lament wielki; on za nią; dzieciak w kołysce zaczął wrzeszczeć; Kruczek we drzwiach wył tak żałośnie, że aż z innych chałup powylatywały baby z łyżkami w ręku, pytając jedna drugiej:

- Co się tam u Rzepów stało?

- Musiał ją bić czy co?

A tymczasem Rzepowa lamentowała jeszcze bardziej niż Rzepa, bo miłowała ona jego, nieboga, nad wszystko w świecie.

Rozdział V W KTÓRYM POZNAJEMY CIAŁO PRAWODAWCZE BARANIEJ GŁOWY I GŁÓWNYCH JEGO PRZYWÓDCÓW

Nazajutrz było posiedzenie sądu gminnego. Ławnicy poschodzili się z całej gminy, z wyjątkiem panów, alias szlachty, z której jakkolwiek kilku w powiecie było ławnikami, ale tych kilku, nie chcąc różnić się od ogółu, trzymało się polityki angielskiej, to jest zasady nieinterwencji, tak zachwałanej przez znakomitego męża stanu Johna Bright. Nie wyłączało to jednak pośredniego wpływu "inteligencji" na losy gminne. Jeśli bowiem ktoś z "inteligencji" miał sprawę, wówczas w wigilię posiedzenia zapraszał pana Zołzikiewicza do siebie; przynoszono następnie do pokoju przedstawiciela inteligencji wódeczkę, podawano cygara i wtedy obgadywała się rzecz z łatwością. Potem następował obiad, na który zapraszano pana Zołzikiewicza uprzejmymi słowami: "Ano siadaj, panie Zołzikiewicz! siadaj!"

Pan Zołzikiewicz też siadał, a na drugi dzień mawiał niedbale do wójta: "Byłem wczoraj na obiedzie u Miedziszewskich, Skorabiewskich lub Ościerzyńskich. Hm! córka w domu jest: rozumiem, co to znaczy!" Przy obiedzie zaś pan Zołzikiewicz starał się zachowywać dobre maniery, jeść rozmaite zagadkowe potrawy, tak jak uważał, że inni jedzą, i nie okazywać przy tym, jakoby ta poufałość z dworem miała go zbyt cieszyć.

Był to człowiek pełen taktu, który wszędzie umiał się znaleźć; dlatego też nie tylko nie tracił w takich razach śmiałości, ale wtrącał się do rozmowy, wspominając przy tym "tego poczciwego komisarza" lub "tego wybornego sobie naczelnika", z którymi wczoraj lub onegdaj machnął maleńką pulkę po kopiejce punkt. Słowem, starał się okazać, że jest za pan brat z pierwszymi powagami w osłowickim powiecie. Uważał wprawdzie, że w czasie jego opowiadań panie dziwnie jakoś patrzyły w talerze, ale sądził, że to taka moda. Po obiedzie dziwiło go także nieraz, że szlachcic, nie czekając, aż on się żegnać zacznie, klepał go w łopatkę i mówił: "No to bywaj zdrów, panie Zołzikiewicz!", ale znów sądził, że to w dobrych towarzystwach przyjęte. Przy tym ściskając na pożegnanie rękę gospodarza domu, uczuwał w niej zawsze coś szeleszczącego. Wówczas zginał palce i drapiąc szlachcica w dłoń, wygarniał z niej to "coś szeleszczącego", nie zapominając nigdy dodać: "A, panie dobrodzieju! między nami to niepotrzebne! a co do sprawy, może pan dobrodziej być spokojny!"

Przy tak sprężystym zarządzie i przy wrodzonych talentach pana Zołzikiewicza, sprawy gminne szłyby zapewne jak najlepiej, gdyby nie jedno nieszczęście, a mianowicie, że pan Zołzikiewicz w niektórych tylko sprawach zabierał głos i tłumaczył sądowi, jak należy ze stanowiska prawnego na rzecz się zapatrywać; resztę zaś spraw, zwłaszcza nie poprzedzonych niczym szeleszczącym, pozostawiał samodzielnemu uznaniu sądu i podczas przebiegu ich spokojnie siedział, ku wielkiemu zaniepokojeniu ławników, którzy wówczas czuli się po prostu bez głowy.

Ze szlachty, a wyrażając się ściślej, z panów, jeden, tylko pan Floss, dzierżawca Małych Postępowic, bywał początkowo, jako ławnik, na sądach gminnych i twierdził, że inteligencja powinna w nich brać udział. Ale miano mu to powszechnie za złe. Szlachta twierdziła bowiem, że pan Floss musi być "czerwony", czego zresztą i samo nazwisko jego: Floss, dowodziło; chłopci zaś w demokratycznym poczuciu własnej odrębności utrzymywali, że nie wypada siadać panu na jednej ławie z chłopami, czego najlepszym dowodem jest, że "jensze panowie tego nie robią". W ogóle chłopci mieli do zarzucenia panu Flossowi to, że nie jest panem z panów, że zaś nie lubił go i pan

Zołzikiewicz, bo pan Floss nie starał się niczym szeleszczącym zasłużyć na jego przyjaźń, a raz na posiedzeniu, jako ławnik, nakazał mu nawet milczenie, niechęć więc ku niemu była powszechna; skutkiem czego usłyszał pewnego pięknego poranku, wobec całej gminy, z ust siedzącego obok ławnika, co następuje: - "Albo to wielmożny pan - to pan? Pan Ościeszyński - to jest pan, pan Skorabiewski - to jest pan, a wielmożny pan - to nie pan, ino dorobiec." Usłyszawszy to pan Floss, który właśnie także kupił był jakoś w owym czasie Kruchą Wolę, plunął na wszystko i gminę pozostawił gminie, lak jak w swoim czasie miasto pozostawiono miastu. Szlachta zaś mówiła: "doigrał się", przy czym na obronę zasady nieinterwencji przytaczano jedno z przysłów, stanowiących mądrość narodów, które miało dowodzić, że chłopa ulepszyć nie można.

Gmina tedy, nie zakłócona udziałem "inteligencji", radziła o własnych sprawach bez pomocy powyższego pierwiastku, a za pośrednictwem tylko baraniogłowskiego rozumu, który przecież dla Baraniej Głowy powinien był wystarczać, na mocy tejsze zasady, na mocy której paryski rozum wystarcza dla Paryża. Zresztą pewną jest rzeczą, że praktyczny rozsądek albo inaczej tak zwany: "zdrowy chłopski rozum" więcej jest wart od każdej obcożywiolowej inteligencji, że zaś mieszkańcy kraju z urodzenia już ów "zdrowy rozum" na świat przynoszą, to - zdaje mi się - nie potrzebuje być dowodzonym.

Okazało się to także zaraz w Baraniej Głowie, gdy na posiedzeniu, o którym mowa, odczytano zapytanie z urzędu, czy gmina nie zechce własnym kosztem, na przestrzeni swych gruntów, naprawić gościńca wiodącego do Osłowic. Projekt ten w ogóle nadzwyczaj nie podobał się zgromadzonym potres conscripti, jeden zaś z miejscowych senatorów wyraził światły pogląd, że gościńca nie ma potrzeby naprawiać, bo można jeździć przez łąkę pana Skorabiewskiego. Gdyby pan Skorabiewski był obecny na posiedzeniu, byłby zapewne znalazł coś do nadmienienia przeciwko temu pro publico bono, ale pana Skorabiewskiego nie było i on bowiem trzymał się zasady nieinterwencji. Projekt więc byłby przeszedł niezawodnie unanimitate, gdyby nie to, że pan Zołzikiewicz był poprzedniego dnia na obiedzie, podczas którego opowiadał panie Jadwidze scenę uduszenia dwóch generałów hiszpańskich w Madrycie, wyczytaną w Izabeli hiszpańskiej wydawnictwa pana Breslauera, po obiedzie zaś, przy uściśnięciu dłoni pana Skorabiewskiego, poczuł w ręku coś szeleszczącego. Pan pisarz tedy, zamiast zapisać poprawkę, położył pióro, co oznaczało zawsze, że pragnie głos zabrać.

- Pan pisarz chce cosik powiedzieć - rozległy się głosy w zgromadzeniu.

- Ja chcę powiedzieć, żeście durnie - odpowiedział z flegmą pan pisarz.

Potęga prawdziwej parlamentarnej wymowy, choćby w najtreściwszej zawarta formie, tak jest wielka, że po powyższym orędziu, oznaczającym protest przeciw poprawce i w ogóle przeciw administracyjnej polityce ciała baraniogłowskiego, ciało wymienione poczęło spoglądać po sobie z niepokojem i drapać się w szlachetne organa myślenia, co u tego ciała było niezawodną oznaką głębszego w rzecz wnikania. Wreszcie po długiej chwili milczenia, jeden z jego reprezentantów ozwał się tonem zapytania:

- Abo co?

- Boście durnie!

- Musi tak być! - ozwał się jeden głos.

- Łąka łąką - dodał drugi.

- A na wiosnę, to nawet bez nią nie przejechać - zakończył trzeci.

Skutkiem tego poprawka, zalecająca łękę pana Skorabiewskiego, upadła, przyjęto projekt urzędowy i zaczął się rozkład kosztów naprawy gościńca wedle nadesłanego kosztorysu. Sprawiedliwość do tego stopnia była już wkorzeniona w umyśle ciała prawodawczego baraniogłowskiego, że nie udało się nikomu wykręcić, z wyjątkiem samego wójta i ławnika Gomuły, którzy natomiast wzięli na siebie ciężar przypilnowania, ażeby wszystko szło jak najprędzej.

Należy jednak wyznać, że tak bezinteresowne po-święcenie się ze strony wójta i ławnika, jak każda cnota wychodząca poza obręb społeczności, obudziło pewną zazdrość w innych ławnikach, a nawet wywołało jeden głos protestacji, który ozwał się gniewliwie:

- A wy to dlaczego nie będzieta płacić?

- A cóże my to będziem darmo pieniądze dawać, kiej tego, co wy zapłaciła, wystarczy - powiedział na to Gomuła.

Był to argument, na który - spodziewam się - nie tylko zdrowy rozsądek baraniogłowski, ale i żaden inny nie znalazłby odpowiedzi; głos zatem protestującego umilkł na chwilę, a po chwili odrzekł tonem przekonania:

- A prawda!

Sprawa była całkowicie ukończona i przystąpiono by zapewne bezzwłocznie do roztrząsania innych, gdyby nie nagłe a niespodziewane w targnięcie do izby prawodawczej dwóch prosiąt, które, wpadłszy jak szalone przez nie domknięte drzwi, zaczęły bez żadnej rozumnej przyczyny latać po izbie, kręcić się pod nogami i kwiczeć wniebogłose. Oczywiście, obrady zostały przerwane, ciało prawodawcze zaś rzuciło się w pogoń za intruzami i przez pewien czas deputowani z rzadką jednomyślnością powtarzali: "a syk! a ciu! ażeby was paralus!" i tym podobne. Prosięta tymczasem zabiły się pod nogi pana Zołzihiewicza i splamiły mu jakąś zielonością drugą parę kortowych koloru piaskowego, a która to zieloność wyprać się nie dała, choć pan Zołzikiewicz zmywał ją glicerynowym mydłem i tarł własną szczoteczką od zębów.

Dzięki jednak stanowczości i energii, która jak nigdy tak i w tym wypadku nie opuściła przedstawicieli gminy baraniogłowskiej, prosięta zostały pochwycone za zadnie nogi i mimo najusilniejszych protestacyj wyrzucone za drzwi, po czym już można było przejść do porządku dziennego. Na porządku tym znajdowała się obecnie sprawa włościanina imieniem Środa ze wzmiankowanym wyżej panem Flosssem. Zdarzyło się, że woły Środy, najadłszy się w nocy koniczyny pana Flossa, nad ranem opuściły ten padół łez i nędzy, przeniósłszy się do lepszego - wołowego świata. Zrozpaczony Środa przedstawił całą tę smutną sprawę sądowi prosząc o poratowanie i sprawiedliwość.

Sąd, wniknąwszy w głąb rzeczy, z właściwą sobie bystrością doszedł do przekonania, że choć Środa puścił umyślnie woły na pole Flossa, jednakże gdyby na tym polu rósł np. owies alba pszenica, nie ta zaś "gadzina" koniczyna, woły cieszyłoby się dotychczas najlepszym i najpożądniejszym zdrowiem i z pewnością nie doznałyby tych smutnych przypadłości rozděcia. których padły ofiarą. Wychodząc z tej premisy większej i przechodząc drogą równie logiczną, jak ściśle prawną, do mniejszej, sąd wniósł, że przyczyną śmierci wołów w każdym razie nie był Środa, ale pan Floss; zatem pan Floss powinien Środzie za woły zapłacić, tytułem zaś przestrogi na przyszłość wnieść do kasy gminnej na kancelarię rs. 5. Suma powyższa, na wypadek gdyby obwiniony wypłaty jej odmówił, miała być ściągniętą z jego pachciarza Icka Zwejnos.

Następnie sądzono jeszcze wiele spraw natury cywilnej, wszystkie zaś one, o ile dotyczyły bliżej lub dalej genialnego Zołzikiewicza, były sądzone zupełnie samodzielnie, a przy tym na wagach czystej sprawiedliwości, zawieszonych na zdrowym baraniogłowskim rozumie. Dzięki przy tym angielskiej zasadzie nieinterwencji, jakiej trzymała się wspomniana już wyżej "inteligencja", powszechna zgoda i jednomyślność rzadko tylko bywały zakłócone ubocznymi wzmiankami o paraliżu, przegnicciu wątroby i morowej -zarazie, wypowiedzanymi sobie mimochodem w kształcie życzeń, tak przez strony sporne, jak i przez samych sędziów.

Sądzę, że również dzięki tej nieocenionej zasadzie nieinterwencji, wszystkie sprawy mogły być rozstrzygane w ten sposób, że tak strona wygrywająca, jak i przegrywająca wносиły zawsze pewne kwoty, stosunkowo dość znaczne, "na kancelarię". Zapewniało to ubocznie tak pożądaną w instytucjach gminnych niezależność wójta i pisarza, a wprost mogło oduczyć ludzi pieniactwa i podnieść moralność gminy Barania Głowa do stanu, o jakim na próżno marzyli filozofowie XVIII stulecia. Godnym było uwagi także i to, o czym zresztą wstrzymujemy się od wypowiedzenia pochwalnego lub nagannego zdania, że pan Zołzikiewicz zapisywał do ksiąg zawsze tylko połowę kwot przeznaczonych na kancelarię, druga zaś połowa przeznaczona była na "nieprzewidziane wypadki", w jakich znaleźć się mogli pisarz, wójt i ławnik Gomuła.

Na koniec przystąpiono do sądenia spraw kryminalnych, skutkiem czego wydano rozkaz stójce przyprowadzenia więźniów i stawienia ich przed oblicze sądu. Nie potrzebuję dodawać, że w gminie Barania Głowa przyjęty był najnowszy i najbardziej zgodny z wymaganiami cywilizacji system więzienia celularnego, czyli komórkowego. Nie może to być podawanym przez złe języki w żadną wątpliwość. Jeszcze dziś każdy może się przekonać, że w wójtowskim. chlewku w Baraniej Głowie znajdują się aż cztery przegrody. Więźniowie siedzieli w nich samotnie, w towarzystwie zwierząt, o których pewna Zoologia dla użytku młodzieży mówi: "Świnia, zwierzę słusznie tak nazwane dla swojej niechłujności" etc., a którym natura bezwarunkowo odmówiła rogów, co może także służyć za dowód jej celowości. Otóż więźniowie, siedzieli w komórkach tylko w takim towarzystwie, co jak wiadomo nie mogło im przeszkadzać w oddawaniu się refleksji, rozmyśleniom nad złem popełnionym i przedsięwzięciu poprawy życia.

Stójka tedy udał się bezzwłocznie do owego celkowego więzienia i z celek jego przyprowadził przed oblicze sądu nie dwóch, ale wyraźnie dwoje przestępców, z czego czytelnik może wnieść łatwo, jak delikatnej natury i jak głęboko psychologicznie zawikłane sprawy przychodziło czasem baraniogłowskiemu sądowi rozstrzygać. Jakoż istotnie, sprawa była arcydelikatna. Pewien Romeo, inaczej zwany Wach Rechnio, i pewna Julia, inaczej zwana Baśka Żabianka, służyli razem u pewnego gospodarza: on za parobka, ona za dziewczkę. I co tu ukrywać, kochali się, nie mogąc żyć bez siebie, tak jak Newazendech bez Bezewendecha. Wkrótce jednak zazdrość wkradła się między Romea i Julię, ponieważ ta ostatnia ujrzała raz Romea, zabawiającego się przydługu z Jagną ze dworu. Odtąd nieszczęśliwa Julia czekała tylko okazji. Jakoż pewnego dnia, gdy Romeo, wedle zapatrywania się Julii, za wcześniej przyszedł z pola i natarczywie domagał się jeść, przyszło do wybuchu i zobopólnych wyjaśnień, przy czym zamieniono wzajemnie kilka tuzinów uderzeń pięścią i warząchwią. Oczywiście ślady tych uderzeń widne były w sińcach na idealnej twarzy Julii, również jak i na rozciętym czole pełnego męskiej dumy oblicza Romea. Sądowi pozostawało te-raz zawyrokować, po czyjej stronie była słuszność i kto komu miał wręczyć tytułem wynagrodzenia, tak za zawód miłosny, jak i za skutki wybuchu, złotych pięć, czyli, wyrażając się poprawniej, kop. sr. siedemdziesiąt pięć.

Zdrowej duchowej treści sądu nie zdołał jeszcze owionąć przegniły powiew Zachodu; dlatego brzydząc się do głębi duszy emancypacją kobiet, jako rzeczą wprost przeciwną więcej sielankowym

usposobieniom słowiańskim, sąd dał pierwszy głos Romeowi, który, trzymając się za rozcięty łeb, tak mówić począł:

- Jelemożny sądzie! A to ta psiajucha już dawno spokoju mi nie daje. Przyszedłem, jak kto dobry, na podwieczerek, a ona do mnie: "Ty psie, kasztanie, powiada, to gospodarz jeszcze w polu, a ty, pada, przychodzisz już do domu? Za piecem, pada, się układasz i będziesz na mnie mrygał?" A ja ta nigdy na mią nie mrygałem, ino co mnie widziała z Jagną ze dwora, com jej pomógł wiader ze studni wyciągać, to od tego czasu na mnie zła. Huknęła .mi misą o stół, mało mi strawa nie wyleciała, a potem i pożreć nie dalia, tylko tak mi wymyślała: "Ty pogański synu, pada, ty odmieńcze, ty omętro, ty sufraganie!" Dopiero, jak mi powiedziała: "sufraganie", tak ja ją w pysk, ale ino tak, przez złości, a ona mnie warzáchwią w łeb...

Tu idealna Julia nie mogła już wytrzymać, ale złożywszy pięść i podsunąwszy ją pod nos Romea, krzyknęła przeraźliwym głosem:

- A nieprawda! nieprawda! nieprawda! Szczekasz jak pies!

Potem rozpląkała się całym wezbranym sercem i zwróciwszy się do sądu, zaczęła wołać:

- Jelemożny sądzie! O! ja nieszczęśliwa sierota, o dla Boga rety! Nie przy studni ja jego z Jagną widziałam, żeby ich olśnęło! Rozpuśniku! powiadam, małoś ty razy "gadoł" do mnie, co mnie tak kochasz, żebyś ino zaraz chciał mnie pięścią pod zióbro! A żeby on skapiał, żeby jemu język kołem stanął! Nie warzáchwią by jego po łbie, oj! dołóż moja! ino kłonicą. Słońce jeszcze wysoko, a on już z pola schodzi i zreć woła! Mówię mu, jak kemu dobremu, grzecznie: ty złodziejski potrecie, to gospodarz jeszcze w polu, a ty już do dom? Ale "sufraganie" mu nie mówiłam, tak mi Panie Boże dopomóż. A żeby jego...

W tym miejscu wójt przywołał do porządku obwinioną, uczyniwszy jej uwagę w kształcie zapytania:

- Nie stuliszże ty mordy, utrapiona? Nastąpiła chwilowa cisza; sąd począł się namyślać nad wyrokiem i - co za delikatne poczucie sytuacji! - pięciu złotych nie przysądził żadnej Stronie, ale tylko tak dla zachowania swej powagi, jak i dla przestrogi wszystkim zakochanym parom w całej Baraniej Głowie, skazał skarżących się na odsiedzenie jeszcze dwudziestu czterech godzin w celkowym więzieniu i na zapłacenie na kancelarię po rubli srebrem jeden.

"Od Wacha Rechnia i Baški Żabianki na kancelarię po kopiejek srebrem pięćdziesiąt", zapisał pan Zolzikiewicz.

Po czym posiedzenie było skończone. Pan Zolziikiewicz wstał i pociągnął swoje kortowe koloru piaskowego w górę, a fioletową kamizelkę na dół. Ławnicy, w zamiarze rozejścia się, już brali za czapki i bicze, gdy nagle drzwi zamknięte po napadzie prosiąt rozwarły się na oścież i ukazał się w nich Rzepa chmurny jak noc, a za nim Rzepowa i Kruczek.

Rzepowa była bledziusiańka jak płótno; jej śliczne delikatne rysy wyrażały smutek i pokorę, a w wielkich czarnych .oczach ukazywały się łzy, ściekające następnie po policzkach.

Rzepa wszedł było hardy, z głową zadartą, ale jak zobaczył cały sąd, tak zaraz stracił minę i dość cichym głosem ozwał się:

- Niech będzie pochwalony!

- Na wieki wieków! - odpowiedzieli chórem ławnicy.

- A wy tu czego chceta? - spytał groźnie wójt, który zrazu zmieszał się, ale już przyszedł do siebie. - Sprawę jaką mata? Pobilišta się czy co?

Nadspodziewanie pan pisarz wtrącił:

- Dajcie im mówić. Rzepa zaczął:

- Jelemożny sędzie... A niech to najjaśniejsze...

- Cichaj! Cichaj! - przerwała prędko kobieta i - dajże mnie mówić, a ty cicho siedź.

To rzekłszy, obtarła fartuchem łzy i nos i głosem drgającym poczęła opowiadać całą sprawę. Ach! ale gdzież to ona przyszła? Oto przyszła na skargę na wójta i na pisarza przed... wójta i pisarza. "Wzięli go, mówiła, obiecowali mu las, był podpisał, to i podpisał. Dali mu pięćdziesiąt rubli, a on był pijany i nie wiedział, że zaprzedał dolę swoją i moją, i dzieciaka. Pijany był, wielmożny sędzie, pijany, jak nieboskie stworzenie! - mówiła dalej już z płaczem. - Toć pijany nie wie, co robi, toć i w sędzie, jak kto po pijanemu przeszkrobie, to mu folgują, bo powiadają: nie wiedział, co robił. Na miłosierdzie Boże! a toć trzeźwy człowiek nie sprzedałby za pięćdziesiąt rubli doli swojej! Oj, ulitujta wy się nade mną i nad nim, i nad dzieckiem niewinnym! W co ja się obrócę nieszczęśliwa sama, samiusieńka na świecie bez niego, bez nieboracyska mojego! Oj, Bóg wam za to da "szczęście i zapłaci wam za biedaków!"

Tu łkanie przerwało jej dalsze słowa. Rzepa także płakał i wycierał co chwila nos w palec. Ławnicy posowieli i spoglądali jeden na drugiego, to znów na pisarza i wójta, nie wiedząc, co czynić.

Aż Rzepowa znowu zebrała się z głosem i tak mówić poczęła:

- Chłopsko chodzi jak struty. Ciebie, powiada, zabiję, dzieciaka zgładzę, chałupę spalę, a powiada, nie pójdę i nie pójdę. A cóżem ja winna, nieboga? albo i dzieciak? On już ani do gospodarstwa, ani do kosy, ani do siekaery, ino siedzi w izbie i wzdycha, i wzdycha, ale ja sądu czekałam; toć wy ludzie macie Boga w sercu i na naszą krzywdę nie pozwolicie. Jezusie Nazareński, o Matko Boska Częstochowska! przyczyn-że Ty się, przyczyn za nami.

Przez chwilę słyhać znów było tylko szlochanie Rzepowej, na koniec stary jeden ławnik mruknął:

- A, dyć to nieładne człeka upoić i zaprzedać.

- Bo i nieładne! - odpowiedzieli inni.

- Niech was Bóg i Przenajświętsza Jego Rodzicielka błogosławi - zawołała klękając w progu Rzepowa.

Wójt zasromał się, niemniej markotny był i ławnik Gomuła; obaj zaś spoglądali na pisarza, który milczał, ale gdy Rzepowa skończyła, rzekł do mruczających ławników:

- Jesteście durnie!

Nastala cisza, jak makiem siał, pisarz mówił dalej:

- Wyrażnie stoi napisane, że kto się będzie wtrącał do dobrowolnego kontraktu, będzie sądzony morskim sądem, a czy wiecie, durnie, co to jest morski sąd? Wy tego, durnie, nie. wiecie, morski sąd

to jest... Tu wydobyl chustkę i utarł nos, potem głosem zimnym i urzędowym tak dalej swoją rzecz prowadził:

- Który, kpie jeden z drugim, me wiesz, co jest morski sąd, to wsadź tylko nos w taką sprawę, a poznasz, co jest morski sąd, aż cne siódma skóra zaboli. Jak się ochotnik znajdzie za popisowego, to tobie jednemu z drugim wtrącać się do nich wara. Ugoda podpisana, świadkowie są, i szabas! To się rozumie w jurysprudencji, a nie wierzysz, to patrz w procedurze i w zsyłkach. A jeśli i piją przy tym, to i cóż? Albo to wy nie pijecie, durnie, zawsze i wszędzie?

Gdyby sama sprawiedliwość z wagą w jednym, a gołym mieczem w drugim ręku wylazła z za wójtowskiego pieca i stanęła nagle między ławnikami, nie byłaby ich więcej przestraszyła jak ten morski sąd, procedury i zsyłki. Przez chwilę panowało głuche milczenie i dopiero po jakimś czasie ozwał się Gomuła cichym głosem, na który obejrżeli się wszyscy, jakby zdziwieni jego śmiałością:

- Dyc prawda! konia sprzedasz, napijesz się, wołu sprzedasz, też; świnię, też. To już taki obyczaj.

- Toćwa napiliśmy się i wtedy ino wedle obyczaju - wtrącił wójt.

A potem ławnicy śmielej zwrócili się do Rzepy.

- Cóż, kiejś sobie piwa nawarzył, to go pij.

- Albo to tobie sześć lat? Albo ty nie wiesz, co robisz?

- Łba ci przecięć nie urwą.

- A jak pójdziesz do wojska, to se do dom możesz parobka nająć: on cię ta zastąpi i przy chałupie, i przy kobiecie.

Wesołość poczęła ogarniać z wolna zgromadzenie. Nagle pisarz znowu otworzył usta: uciszyło się wszystko.

- Ale wy nie wiecie - mówił - w co wam się wtrącać, a czego nie tykać. W to, że Rzepa groził żonie i dzieciakowi, w to, że obiecywał spalić własną chałupę, w to wy się wtrącać możecie i takiej rzeczy płazem nie puścić. Kiedy Rzepowa przysłała na skargę, niechże od sądu bez sprawiedliwości nie odchodzi.

- Nieprawda! nieprawda! - zawołała z rozpaczą Rzepowa - ja się nie skarżyłam, ja ta nigdy żadny krzywdy od mego nie doznałam. O! Jezusie, o rany słodkie Boga żywego, chyba się świat już skończył!

Ale sąd się zagaił i bezpośrednim jego rezultatem było, że Rzepowie nie tylko nic nie wskórali, ale jeszcze sąd, w słusznej troskliwości o całość Rzepowej, postanowił ją ubezpieczyć przez zamknięcie Rzepy w chlewku na dwa dni. Żeby zaś na przyszłość podobne myśli nie przychodziły mu do głowy, postanowionym było przy tym, żeby ma kancelarię zapłacił rubli srebrem dwa, kopiejek pięćdziesiąt.

Ale Rzepa rzucił się jak wściekły i krzyknął, że do chlewka nie pójdzie; co zaś do kancelaryjnego, to nie dwa, ale pięćdziesiąt rubli wziętych od wójta rzucili na ziemię, wołając: "Niech je se ta bierze, kto chce!" Zaczął się rozgardiasz straszny. Stójka wpadł i dalej Rzepę ciągnąć; Rzepa go pięścią, on Rzepę za łeb; Rzepowa w krzyk, aż jeden z ławników wziął ją za kark i wyrzucił za drzwi, dawszy pięścią w krzyż na drogę, inni zaś pomogli stójce zaciągnąć Rzepę za kołtuny do chlewka.

Pisarz tymczasem zapisał: "Od Wawrzona Rzepy rs. 1 kop. 25 na kancelarię."

Rzepowa szła do pustej chałupy prawie bez przytomności. Nie widziała nic przed sobą i co kamień, to się o niego potknęła, a ręce łamała nad głową, a zawodziła:

- Oo! oo! oo!

Wójt, że to miał serce dobre, więc idąc zwolna z Gomułą ku karczmie, rzekł:

- Mnie ta cosik tej baby żal. Albo im dołożę jeszcze ćwiartczynę grochu, albo co?

Rozdział VI IMOGENA

Tu spodziewam się, że czytelnik dostatecznie zrozumiał już i ocenił genialny plan mego sympatycznego bohatera. Dał pan Zołzikiewicz, co się nazywa, szach mat Rzepowej i Rzepie. Zapisać Rzepę na listę to do niczego nie wiodło. Ale upoić go, sprawić, żeby sam ugodę podpisał, pieniądze wziął, to trochę wikłało sprawę i było zręcznością dowodzącą, że przy zbiegu okoliczności pan Zołzikiewicz mógłby odegrać znakomitą rolę. Wójt, który był gotów syna za ośmset rubli, to jest zapewne całą swoją "koprowiną", wykupić, zgodził się ma ten plan z radością, tym bardziej że Zołzikiewicz, równie umiarkowany, jak genialny, wziął dla siebie tylko dwadzieścia pięć rubli za sprawę. Ale on i te pieniądze wziął nie z chciwości, tak jak również nie z chciwości dzielił się kancelaryjnym z Burakiem. Mamże wyznać, że pan Zołzikiewicz był w ciągłych długach u Srula, krawca z Osłowic, który całą okolicę zaopatrywał w "cisto paryską" garderobę.

Ale teraz, gdym już raz wszedł .na drogę wyznań, nie będę ukrywał, dlaczego pan Zołzikiewicz ubierał się tak starannie. Płynęło to. zapewne z estetycznego poczucia, ale był i inny powód. Oto pan Zołzikiewicz się koohał. Nie myślcie jednak, żeby w Rzepowej. Na Rzepową miał, jak się kiedyś wyraził sam, "apetycik", i basta. Ale oprócz tego, pan Zołzikiewicz zdolny był i do uczuć wyżej sięgających i bardziej złożonych. Czytelniczki, jeżeli nie czytelnicy, domyślają się już zapewne, że przedmiotem tychh ostatnich uczuć nie mógł być przecie kto inny jak panna Jadwiga Skorabiewska. Nieraz, kiedy na niebie wschodził srebrny księżyc, pan Zołzikiewicz brał harmonijkę, na którym ta instrumencie grywał biegle, siadał na ławce przed czworakami i spoglądając w stronę dworu, przy melancholicznych, a czasem i sapiących dźwiękach, nucił:

A od samego prawie świtania

Do późnej nocy lzy leję;

W nocy oddycham, przez ciężkie wzdychania

Straciłem wszelką nadzieję.

Głos biegł w stronę dworu, wśród poetycznej ciszy nocy letnich, a pan Zołzikiewicz dodawał jeszcze po chwili:

O ludzie, ludzie, ludzie nieczuli,

Coście młodziemca życie zatruli.

Kto by jednak chciał posądzać pana Zołzikiewicza o sentymentalizm, temu wręcz powiem, że się myli. Nadto trzeźwy był umysł tego wielkiego człowieka, aby być sentymentalnym; w marzeniach też jego zwykle panna Jadwiga podstawiła się za Izabelę on za Serrana lub Marforego. Ze jednak rzeczywistość nie odpowiadała marzeniom, więc ten żelazny człowiek raz jeden zdradził się ze swoim uczuciem, a mianowicie wtedy, kiedy pewnego wieczora spostrzegł na sznurze koło drwałni suszące się spódnice i po znakach J. S., wraz z koroną przy rąbku, poznał, że należą do panny Jadwigi. Wówczas, powiedz pan dobrodziej, któż by wytrzymał? Więc i on nie wytrzymał; zbliżył się i począł gorąco całować jedną z tych spódnic, co zobaczywszy dworska dziewczka Małgośka poleciała zaraz do dworu z językiem i doniesieniem, że "pain pisarz nos se w panienki spódnice wyciero". Na szczęście jednak nie uwierzono temu, i tak uczucie pana pisarza pozostało nie znanym nikomu.

Czy jednak miał jaką nadzieję? Nie bierzcie mu, państwo dobrodziejstwo, tego za złe: miał! Ile razy szedł do dworu, jakiś głos wewnętrzny, słaby wprawdzie, ale nie ustający, szeptał mu do ucha: "A nuż dziś panna Jadwiga w czasie obiadu przydepnie ci nogę pod stołem?..."

- Hm! mniejsza by i o lakierki - dodawał z ową wielkością duszy, właściwą prawdziwie zakochanym.

Czytanie wydawnictw pana Breslauera dawało mu wiarę w możliwość rozmaitych przydeptywań. Ale panna Jadwiga nie tylko mu nic nie przydeptywała, ale - któż zrozumie kobietę?! - patrzyła na niego tak, jakby patrzyła na płot, na kota, na talerz lub coś podobnego. Co on się biedak nie namęczył, żeby zwrócić jej uwagę na siebie. Nieraz, zawiązując niesłychanego koloru krawat lub kładąc jakieś nowe korty z bajecznymi lampasami, myślał sobie: "No, teraz przecie zauważy!" Sam Srul odnosząc mu nowe ubranie mawiał: "Ny! w takich spodniach to choćby z psiepriosieniem do hrabianki można iść." Gdzie tam! Przyszedł, było, na obiad; wchodzi panna Jadwiga, dumna, niepokalana i czysta, jakby jaka królowa; zaszeleści suknią, fałdami i fałdeczkami; potem siada, bierze w cienkie paluszki łyżkę i ani spojry.

"Czy ona tego nie rozumie, że to i kosztuje!" - myślał z rozpaczą Zołzikiewicz.

Jednak nadziei nie tracił. "Gdyby tak zostać podrewizorem! - myślał - człowiek by ani nogą ze dworu. Z podrewizora do rewizora niedaleko! człowiek by miał najtyczankę, parę koni, a to choćby już wtedy przynajmniej rękę uściśnieła pod stołem..." Pan Zołzikiewicz zapuszczał się jeszcze w niezmiernie dalekie konsekwencje tego uściśnienia ręki, ale myśli tych, jako zbyt tajemnie-serdecznych, zdradzać już nie będziemy.

Jaka to jednak była natura bogata ten pan Zołzikiewicz, dowodzi tego łatwość, z jaką obok idealnego uczucia dla panny Jadwigi, które zresztą odpowiadało arystokratycznym usposobieniom tego młodzieńca, mieściło się w nim równoznacznie z "apetycikiem" uczucie do Rzepowej. Prawda, że Rzepowa była śliczna kobieta, co się nazywa; nie byłby jednak zapewne ów baraniogłowski Don Juan tyle jej zachodów poświęcał, gdyby nie dziwna i zasługująca na ukaranie oporność tej kobiety. Oporność w prostej kobiecie - i komu? - jemu, wydawała się panu Zołzikiewiczowi czymś tak zuchwałym, a zarazem niesłychanym, że mię tylko Rzepowa nabrała zairaz w jego oczach uroku zakazanego owocu, ale postanowił przy tym dać jej naukę, na jaką zasługiwała. Zajście z Kruczkim ustaliło go jeszcze w przedsięwzięciu. Wiedział jednak, że ofiara będzie się bronić, dlatego wymyślił ową dobrowolną ugodę Rzepy z wójtem, która oddawała, pozornie przynajmniej, na jego łaskę i niełaskę tak samo Rzepę, jak i całą jego rodzinę.

Ale Rzepowa po owym zajściu w sądzie nie dawała jeszcze za wygraną. Nazajutrz była niedziela, postanowiła więc pójść jak zwykle na sumę do Wrzeciądzy, a zarazem poradzić się księdza. Księży

było dwóch: jeden proboszcz kanonik Ulajnowski, ale tak już stary, że aż mu oczy ze starości na wierzch wylażyły jak rybie, a głowa kręciła się na obie strony; nie do niego postanowiła więc udać się Rzepowa, ale do wikarego, księdza Czyżyka, który był człowiek bardzo świątobliwy i rozumny, mógł więc dobrą radę dać i pocieszyć. Chciała była Rzepowa pójść wcześniej i jeszcze przed sumą się z księdzem Czyżykiem rozmówić, ale że to musiała i za siebie, i za męża robić, bo mąż siedział w chlewku, mim więc posprzątnęła chałupę, nim dała jeść koniowi, świniom i krowie, nim ugotowała śniadanie i zaniosiła je w dwojakach Rzepie do chlewa, słońce było już wysoko i wymiarkowała że przed sumą nie zdąży.

Jakoż gdy przyszła, nabożeństwo już się zaczęło. Kobiety, poubierane w zielone przyjaciółki, siedziały na cmentarzu i duchem kładły trzewiki, które ze sobą w rękach przyniosły. Uczyniła tak i Rzepowa i zaraz do kościoła. Ksiądz Czyżyk właśnie miał kazanie, a kanonik siedział w birecie na krześle wedle ołtarza i wytrzeszczał oczy, trzęsąc głową swoim zwyczajem. Było już po ewangelii, teraz zaś, nie wiem już zresztą z jakiego powodu, ksiądz Czyżyk mówił o średniowiecznej herezji katarów i tłumaczył swoim parafianom, w jaki jedynie sposób mają zapatrywać się tak na ową herezję, jak i na bullę Ex stercore przeciw niej wymierzoną. Potem bardzo wymownie i z wielkim przejęciem się ostrzegał swoje owieczki, aby jako prostaczkowie, ubodzy niby owi ptakowie niebiescy, a zatem mili Bogu, nie słuchali rozmaitych fałszywych mędrców i w ogóle ludzi, zaślepionych pychą szatańską, którzy kąkol sieją zamiast pszenicy, a łzy i grzech, zbierać będą. Tu mimochodem wspomniał o Condillacu, Voltairze, Rousseau i Ochorowiczu, nie czyniąc zresztą między tymi mężami różnicy, a w końcu przeszedł do szczegółowego opisywania rozmaitych nieprzyjemności, na jakie potępieńcy będą na tamym świecie narażeni. A w Rzepową od razu jakby inny duch wstąpił, bo choć i nie rozumiała tego, co ksiądz Czyżyk mówił, ale pomyślała sobie, że juści musi pięknie mówić, kiej tak krzyczy, że aż cały w potach stanął, a ludziska to tak wzdychają, jakby już ostatnią parę mieli puścić. Potem kazanie się skończyło, a zaczęła się suma. Oj! modliła się też Rzepową, nieboga, modliła, jak nigdy w życiu, ale też czuła, że jej coraz lżej na sercu.

Aż wreszcie nadeszła uroczysta chwila. Bielusieńki jak gołąb dziekan wy dobył Przenajświętszy Sakrament z cyborium, a potem odwrócił się do ludzi i trzymając w drżących rękach monstrancję jak słońce tuż koło twarzy, stał tak przez czas jakiś z przymkniętymi oczyma i schyloną głową, jakby zbierając się z duchem, aż wreszcie zaintonował: "Przed tak wielkim Sakramentem!"

A ludzie we sto głosów huknęli mu zaraz w odpowiedź:

Upadajmy na twarze,

Niech ustąpią z testamentem

Nowym prawom już starzy;

Wiara będzie suplementem,

Co się zmysłom nie zdarzy...

Pieśń brzmiała, aż się szyby zatrzęsły; zahuczał organ, zabrzęczały dzwonki i dzwony; przed kościołem grzmiał bęben, z trybularzy wzniosły się dymy błękitne, a słońce weszło przez okno i oświeciło, jakoby tęczą, owe zwoje. Wśród tego gwaru dymów, promieni, głosów, błyskał tylko czasem wysoko Przenajświętszy Sakrament, który ksiądz to zniżał, to podnosił, i wydawał się wówczas ów biały staruszek z monstrancją jak jakieś zjawisko niebieskie, na wpół mgłą dymów przesłonione a promienne, od którego biła błogość i otucha, zlewając się na wszystkie serca i na wszystkie dusze pobożne. Owo ta błogość i uspokojenie wszelkie wzięły pod skrzydła boże i strapioną

duszę Rzepowej: "Jezusie w Przenajświętszym Sakramencie utajony! Jezusie! - wołała nieszczęśliwa kobieta - nie opuszczajże mnie niebogę!" I z oczu płynęły jej łzy, ale już nie te łzy, którymi płakała u wójta, ale dobre jakieś, choć duże jak kałakuckie perły, a no słodkie przy tym i spokojne. Padła Rzepową przed majestatem bożym twarzą na podłogę, a potem to już i sama nie wiedziała, co się z nią stało. Zdawało się jej, że anieli niebiescy podjęli ją z ziemi jako liść marny aż do nieba, w wiekiustą szczęśliwość, gdzie nie było ani pana Zołzikiewicza, ani wójta, ani spisów wojskowych, tylko jakby jedna zorza, a w onej zorzy tron boski, koło tronu zasię światłość taka, że trzeba było oczy mrużyć, i całe chmary aniołków niby ptaszków z białymi skrzydełkami.

Rzepową leżała tak długo. Gdy się podniosła, już było po mszy; kościół opustoszał; dymy poszły pod sufit; ostatni ludzie wychodzili przeze drzwi, a na ołtarzu diad gasił świece, więc Rzepową się podniosła i poszła na parafię rozmówić się z księdzem wikarym.

Ksiądz Czyżyk jadł właśnie obiad, ale wyszedł zaraz, jak mu tylko dali znać, że jakaś zapłakana kobieta chce się z nim widzieć. Był to młody jeszcze ksiądz, z twarzą bladą, ale pogodną; czoło miał białe, wysokie i łagodny uśmiech na twarzy.

- A czego to chcecie, moja kobieto? - spytał cichym, ale dźwięcznym głosem.

Rzepowa podjęła go pod nogi i nuż mu opowiadać całą sprawę, i popłakiwać przy tym, i całować go po rękę, aż wreszcie, podnosząc nań pokornie swoje czarne oczy, rzecze:

- Oj! porady, dobrodzieju, porady przyszłam od was szukać.

- I nie omyliliście się, moja kobieto - odpowiedział łagodnie ksiądz Czyżyk. - Ale ja mam tylko jedną poradę. Oto ofiarujcie Bogu wszystkie swoje strapienia. Bóg doświadcza swoich wiernych: doświadcza ich nawet i srodze, jak Hioba, któremu psy własne lizały rany bolące, lub jako Azariasza, na którego zesłał ślepotę. Ale Bóg wie, co robi, i wiernych swoich potrafi za to wynagrodzić. Nieszczęście, jakie przytrafiło się waszemu mężowi, uważajcie jako karę bożą za ciężki jego grzech pijaństwa i dziękujcie Bogu, że karząc go za życia, może odpuści mu po śmierci!

Rzepowa popatrzyła na księdza swymi czarnymi oczyma, podjęła go pod nogi i odeszła cicho, nie rzekłszy ani słowa.

Ale przez drogę czuła, jakby ją coś dusiło za gardło.

Chciała płakać i nie mogła.

Rozdział VII IMOGENA

Po południu, koło godziny piątej, na głównej drodze między chałupami błyszcząca, w dali błękitna parasolka; żółty, ryżowy kapelusik z błękitnymi wstążkami i migdałowa sukienka garniowana także błękitno: to panna Jadwiga szła na spacer po obiedzie, obok niej zaś kuzyn, pan Wiktór.

Parana Jadwiga była to ładna panna, co się nazywa; włosy miała czarne, oczy niebieskie, pleć jak mleko, a przy tym ubranie dziwnie starowne, schludne i wykwiłtne, że aż promienie były od niego, dodawało jej jeszcze uroku. Jej śliczna dziewicza kibić rysowała się wdzięcznie, jakoby płynąc w

powietrzu. Jedną ręką podtrzymywała panna Jadwiga parasolkę, a drugą zaś suknię, spod której widać było brzeżek karbowany białej spódniczki i śliczne małe nóżki obute w buciki węgierskie.

Pan, Wiktór, który koło niej siedł, choć miał ogromną, kręconą, jaśniejszej barwy czuprynę i broda tylko co mu się puszczała, wyglądał także jak malowanie.

Biło od tej pary zdrowiem, młodością, wesołością, szczęściem; a przy tym znać było po obojgu owo życie wyższe, świąteczne; życie skrzydlatych polotów nie tylko w świat zewnętrzny, ale w świat myśli, szerszych pragnień, równie szerokich idei, a czasem w złote i promienne szlaki marzeń.

Wśród tych chałup, obok dzieci wiejskich, chłopów i całego prostackiego otoczenia, wyglądali oboje jakby jakieś istoty z innej planety. Aż miło było pomyśleć, że nie istniał żaden związek między tą pyszną, rozwiniętą i poetyczną parą, a prozaicznym, pełnym szarej rzeczywistości i na wpół zwierzęcym bytem wioski. Nie istniał żaden związek, przynajmniej duchowy. Szli oto oboje obok siebie i rozmawiali o poezji, literaturze, jako zwyczajnie dworny kawałeczek i dworna panna. Ci ludzie w parciańskiej odzieży, ci chłopcy i te baby nie rozumieliby nawet ich słów i języka. Aż miło pomyśleć! Przynajmniej mi to, acaństwo dobrodziejstwo!

W rozmowie tej pysznej pary nie było nic, czego by się nie słyszało ze sto razy. Z książki na książkę przeskakiwali jak motyl z kwiatu na kwiat. Ale nie wtedy taka rozmowa wydaje się cczą i pospolitą, kiedy się rozmawia z lubą duszą duszyczką, kiedy rozmowa jest tylko osnową, na której ona duszka złote kwiaty własnych uczuć i myśli dzierzga, i kiedy, od czasu do czasu, rozchyła swe wnętrze, jakoby splonione wnętrze białej róży. A przy tym taka rozmowa wlatuje, bądź do bądź, jak ptak do góry, w sfery błękitne, czepia się świata duchowego i pnie się w górę jakoby wijąca się roślina po tyczce. Tam w karczynie ludziska pili i w prostackich słowach o prostackich prawili rzeczach, owa para płynęła w inną krainę i na okęcie, który miał, jak mówi piosnka Gounoda:

Maszty z kości słoniowej,

Flagą jedwab różowy

I szczerozłoty ster.

Obok tego należy jeszcze dodać, że parana Jadwiga zawracała dla wprawy głowę kuzynkowi. W tych warunkach najczęściej mówi się o poezji.

- Czytała pani ostatnie wydanie Elego? - pytał kawałeczek.

- Wie pan, panie Wiktórze - odrzekła panna Jadwiga - że ja przepadam za Elim. Gdy go czytam, zdaje mi się, że słyszę jakąś muzykę i mimowolnie stosuję do siebie ów wiersz Ujejskiego:

Leżę na obłoku,

Roztopiony w ciszę;

Łzę mam senną w oku,

Oddechu nie słyszę.

Fiołkowej woni

Otacza mnie morze;

Dłoń złożony w dłoni,

Lecę... płynę...

- Ach! - przerwała nagle - gdybym go znała, jestem pewna, że byłabym w nim zakochana. Zrozumielibyśmy się z pewnością.

- Na szczęście jest żonaty! - odparł sucho pan Wiktór.

Panna Jadwiga schyliła trochę główkę, ścisnęła półśmiechem usta, aż jej się dołki ukazały na policzkach, i spoglądając z ukosa na pana Wiktóra, spytała:

- Dlaczego pan mówi: na szczęście?

- Na szczęście dla tych wszystkich, dla których by życie nie miało wówczas żadnego powabu. To mówiąc pan Wiktór był bardzo tragiczny.

- O! pan za dużo mi przypisuje. Pan Wiktór przeszedł w lirykę.

- Pani jesteś aniołem...

- No... to dobrze... to mówmy o czym innym. Więc pan nie lubi Elego?

- Zacząłem go nienawidzić przed chwilą.

- Brzydki grymaśnik z pana. Proszę się rozchmurzyć i wymówić mi swego ulubionego poetę.

- Sowiński... - mruknął ponuro pan Wiktór.

- A ja się go po prostu boję. Ironia, krew, pożar... dzikie wybuchy!

- Takie rzeczy nie przestraszają mnie wcale. To rzekłszy pan Wiktór spojrział tak waleczmie przed siebie, że aż pies, który wybiegł z jednej chałupy, schowawszy ogon pod brzuch cofnął się przerażony.

Tymczasem doszli do czworaków, w oknie których mignęły im: kozia, bródka, zadarty nos i jasnozielony krawat, a potem zatrzymali się przed ładnym domkiem, pokrytym dzikim winem i patrzącym tylnymi oknami na staw.

- Widzi pan, jaki to ładny domek: to jest jedyne poetyczne miejsce w Baraniej Głowie.

- Cóż to za dom?

- To była dawniej ochrona. Tu dzieci wiejskie uczyły się czytać, gdy rodzice byli w polu. Papa naumyślnie kazał wybudować ten dom.

- A teraz cóż w nim jest?

- Teraz, tam stoją beczki z okowitą.

Ale nie dokończyła myśli, bo doszli do wielkiej kałuży, w której leżało kilka świń "słusznie tak nazwanych dla swego; niechlujstwa". Żeby tę kałużę obejść, potrzeba było przejść koło chałupy Rzepowej; poszli więc tamtędy.

Przed wrotami siedziała na pieńku Rzepowa, z łokciami opartymi na kolanach i z twarzą podpartą na rękę. Twarz ta była blada i jakoby skamieniała, oczy czerwone, wejrzenie mętne i utkwione w dal bez myśli.

Rzepowa nie słyszała nawet przechodzących, ale panienka spostrzegła ją zaraz i rzekła:

- Dobry wieczór, Rzepowa!

Rzepowa wstała i zbliżywszy się podjęła pod nogi pannę Jadwigę i pana Wiktóra, przy czym rozpląkała się cicho.

- Co to wam, Rzepowa? - spytała panna,

- O! jagódka moja złota, o zorzo moja rumiana! Może mi Bóg ciebie zesłał! Przyczyńże ty się za mną, pociecho nasza!

Tu Rzepowa zaczęła opowiadać rzecz całą, przepłatając opowiadanie całowaniem panienki po rękę, a raczej po rękawiczkach, które przy tym łzami plamiła; panienka zmieszała się bardzo: widać było wyraźnie kłopot na jej ładnej, poważnej twarzyczce, i sama nie wiedziała, co począć, na koniec jednak rzekła z wahaniem:

- Cóż ja wam poradzę, moja Rzepowo! Mnie was żal bardzo. Doprawdy... cóż ja mogę wam poradzić. Idźcie zresztą do papy... może papa... No, bądźcie zdrowi, Rzepowo...

To rzekłszy parana Jadwiga podniosła jeszcze wyżej migdałową sukienkę, aż nad trzewikiem błyszczała biała, w błękitne paski pończoszka, potem zaś panna Jadwiga poszła dalej z panem Wiktorem.

- Niech cię Bóg błogosławi, kwiateczku najpiękniejszy! - zawołała za nią Rzepowa.

Panna Jadwiga posmutniała jednak, a panu Wiktórowi zdawało się nawet, że widzi łezkę w jej oku: więc żeby odgonić smutek, zagadał o Kraszewskim i o innych mniejszych już rybach literackiego morza; jakoż w rozmowie, która ożywiała sśa stopniowo, zapomnieli wkrótce oboje o tej "niemiłej sprawie".

- Do dworu? - mówiła sobie tymczasem Rzepowa. - A toć mnie tam najpierwej trzeba było iść. Oj! głupia też ze mnie kobieta!

Rozdział VIII IMOGENA

We dworze był ganek obrośnięty winem, z widokiem na dziedziniec i na topolową drogę. W tym ganku państwo pijali latem kawę po obiedzie. Siedzieli też tam i teraz, a z nimi razem ksiądz dziekan Ulanowski, ksiądz Czyżyk i rewizor gorzelany Stołbicki. Pan Skorabiewski, człowiek dość otyły i dość czerwony, z wielkimi wąsami, siedział na krześle paląc fajkę; pani Skorabiewska nalewała herbatę, rewizor zaś, który był sceptyk, podrwiwał ze starego dziekana.

- Ot! niech no nam ksiądz dobrodziej opowie o tej sławnej bitwie - mówił rewizor.

A dziekan przyłożył rękę do ucha i pyta:

- He?

- O bitwie! - powtórzył rewizor głośniej.

- A? O bitwie? - rzekł dziekan i jakby zamyśliwszy się, począł coś szeptać do siebie i patrzeć w górę, niby sobie coś przypominając; rewizor nastawił już minę do śmiechu, wszyscy czekali na opowiadanie, choć je już ze sto razy słyszeli, bo zawsze na nie wyciągali staruszka.

- Co? - zaczął ksiądz dziekan - ja jeszcze wtedy byłem wikariuszem, a proboszczem był ksiądz Gładysz... dobrze mówię: ksiądz Gładysz. To on, co zakrystię przebudował... A światłość wiekiusia!... Więc zaraz po sumie powiadam: Księżo proboszczu? A on pyta: co? Mnie się zdaje, że to coś z tego będzie, powiadam. A on mówi: I mnie się zdaje, że to coś z tego będzie. Patrzmy: aż tu zza wiatraka wyjeżdżają to na koniach, to piechotą, a tam chorągwie, a armaty. Tak ja zaraz pomyślałem sobie: O! Aż tu z drugiej strony, owce? myślę; a to nie owce, tylko kawaleria. Jak tylko tych zobaczyli, tak: stój! a tamci także: stój! A tu z lasu jak nie wypadnie kawaleria, dopiero ci w prawo, tamci w lewo, ci w lewo, tamci za nimi. Dopiero widzą: trudno! Więc także na nich. Jak nie zaczną strzelać, a za górą znowu coś błysnęło. Czy proboszcz widzi? powiadam, a proboszcz mówi: widzę, a tam już wałą z armat, z karabinów: tamci do rzeki, ci nie puszczają; ten tego, ten owego!... co ci przez jakiś czas górą, to znowu tamci. Huku! dymu! a potem na bagnety! Ale zaraz mi się zdało, że ci już słabną. Księżo proboszczu, mówię, tamci górą! a on mówi: I mnie się zdaje, że górą. Ledwiem domówił, ci w nogi! tamci za nimi; dopiero ich topić, zabijać, brać w niewolę i myślę, skończy się... ale gdzie tam! tego... powiadam, właśnie, no!

Tu staruszek machnął ręką i osadziwszy się głęboko, wpadł jakby w zadumę, tylko głowa trzęsła mu się mocniej jak zwykle, a oczy bardziej jeszcze na wierzch wyłaziły.

Rewizor aż się zapłakał od śmiechu.

- Księżo dobrodzieju! - zapytał - któż się z kim bił, gdzie i kiedy? A kanonik rękę do ucha i mówi:

- He?

- Ot! prosto nie mogę od śmiechu - rzekł do pana Skorabiewskiego rewizor.

- A może cygarko?

- A może kawy?

- Nie - nie mogę od śmiechu.

Śmieli się i państwo Skorabiewscy przez grzeczność dla rewizora, choć tego opowiadania musieli słuchać, jak zapisał, co niedziela; wesołość była więc ogólna, gdy nagle przerwał ją cichy, lękliwy głos z zewnątrz ganku, który rzekł:

- Niech będzie pochwalony! Pan Skorabiewski zaraz podniósł się, wyszedł przed ganek i spytał:

- A kto tam?

- To ja, Rzepowa.

- Czego?

- Rzepowa schyliła się, o ile jej na to dzieciak pozwalał, podjęła go pod nogi.

- Po ratunek, jasnie dziedzicu, i po zmiłowanie.

- Moja Rzepowa, dajcie mi też choć w niedzielę pokój! - przerwał pan Skorabiewski z taką dobrą wiarą, jakoby Rzepowa nachodziła go w każdy dzień powszedni. - Widzicie przecie, że teraz mam gości. Toć ich dla was nie zostawię.

- Ja zaczekam...

- No, to czekajcież. Ja się przecie na dwoje nie rozerwę...

To rzekłszy pan Skorabiewski wsunął na powrót swe obszary w ganek, a Rzepowa cofnęła się aż do krtek ogrodowych i stanęła przy nich pokornie. Ale przyszło jej czekać dość długo. Państwo się tam zabawiali rozmową, a uszu jej dolatywały wesołe śmiechy, które dziwnie brały ją za serce, bo nie do śmiechu jej było niebodze. Potem wrócili pan Wiktór z panną Jadwigą, a następnie poszli wszyscy na pokoje. Powoli słońce miało się ku zachodowi. Na ganek wyszedł lokajczuk Jasiek, którego pan Skorabiewski nazywał zawsze: "jeden z drugim", i zaczął nakrywać do herbaty. Zmienił obrus, postawił filiżanki i począł wpuszczać w nie z brzękiem łyżeczki. Rzepowa czekała i czekała. Przychodziło jej do głowy, czyby nie wrócić do chałupy a przyjść później, ale bała się, że potem będzie za późno, przysiadła więc tylko na trawie pod płotem i dała dziecku piersi. Dziecko nassało się i usnęło, ale niezdrowym snem, bo już od rana było jakieś słabe. Rzepowa także czuła, że to gorąco, to zimno przebiega ją od stóp do głowy. Czasem także brały ją cięgoty, ale nie zważała na to, tylko czekała cierpliwie. Powoli zmroczyło się i księżyc wszedł na sklepienie niebieskie. Do herbaty było już zastawione; w ganku paliły się lampy, ale państwo nie przychodzili, bo panna grała na fortepianie. Rzepowa zaczęła sobie mówić pod sztachetami Anioł pański, a potem rozmyślała, jak też to ją poratuje pan Skorabiewski.

Dobrze ona nie wiedziała jak? ale rozumiała, że pan, jako pan, to i z komisarzem ma znajomość, i z naczelnikiem; byle tylko słowo rzekł, jak wszystko się stało, a to i da Pan Bóg, że się złe odmieni. A przy tym myślała, że niechby się Zołzikiewicz albo wójt sprzeciwił, to pan wiedziałby, gdzie pójść po sprawiedliwość: "Panosko zawdyk dobry był i dla ludzi miłosierny, myślała sobie, toć mnie tak nie ostawi." I nie myliła się, bo pan Skorabiewski istotnie był człowiek ludzki. Dalej przypomniła sobie, że i na Rzepę zawsze był łaskaw; dalej, że jej nieboszczka matka wykarmiła pannę Jadwigę, więc i otucha wstąpiła w jej serce. To, że czekała już parę godzin, wydało jej się tak naturalne, że nawet nie zastanawiała się nad tym. Tymczasem państwo wrócili na ganek. Rzepowa widziała przez liście winne, jak panienka nalewała ze srebrnego imbryka "arbatę", czyli jak mawiała nieboszczka matka Rzepowej, "taką wodę pachnącą, co ci od niej w calusieńkiej gębie puszy". Potem pili ją wszyscy, rozmawiali i śmieli się wesoło. Dopiero wtedy przyszło Rzepowej do głowy, że w pańskim stanie to zawsze jest więcej szczęścia niż w prostym, i sama nie wiedziała, czemu łzy znowu popłynęły jej po twarzy. Ale te łzy ustąpiły wkrótce innemu wrażeniu, bo oto na ganek "jeden z drugim" wniósł dymiące półmiski; wtedy przypomniła sobie Rzepowa, że jest głodna, bo obiadu nie mogła wziąć w usta, a rano tylko się trochę mleka napiła.

"Oj! żeby mi też choć kosteczki dali ogryźć!" - pomyślała sobie - i wiedziała, że daliby z pewnością nie tylko kosteczki, ale nie śmiała prosić, by się nie naprzykrzać i w oczy nie leźć przy gościach, za co by się może pan i rozgniewał.

Nareszcie skończyła się i kolacja; rewizor odjechał zaraz, a w pół godziny potem i obaj księża siadali już na dworską brykę. Rzepowa widziała, jak pan podsadzał dziekana, więc osądziła, że chwila nadeszła, i zbliżała się ku gankowi.

Bryka ruszyła; pan krzyknął na drogę furmanowi:

"A przewróć tam na grobli, to ja ci przewrócę!", potem spojrzął na niebo chcąc widać wymiarkować, jaka będzie jutro pogoda, nareszcie dojrzał w ciemności bielejącą koszulę Rzepowej.

- A kto tam?

- Rzepowa.

- A, to wy! Gadajcie prędzej, czego chcecie, bo późno.

Rzepowa powtórzyła mu znowu wszystko; pan słuchał i tylko pykał z fajki przez cały czas, a potem rzekł:

- Moi kochani! ja pomógłbym wam chętnie, gdybym mógł, ale dałem sobie słowo, że się w sprawy gminne nie będę wtrącał.

- Dyc ja wiem, jaśnie dziedzicu - rzekła drżącym głosem Rzepowa - ale pomyślałam sobie, że może jaśnie dziedzic ulituje się nade mną...

Głos jej urwał się nagle.

- Wszystko to bardzo dobrze - rzekł pan Skorabiewski - ale co ja mogę zrobić? Ja swojego słowa dla was łamać nie mogę, a do naczelnika za wami nie będę jeździł, bo on już i tak powiada, że nachodzę go ciągle własnymi sprawami... Wy macie swoją gminę, a jak gmina wam nie poradzi, to do naczelnika znacie drogę tak jak i ja. Cóżem chciał mówić? moja Rzepowa. No! idźcie z Bogiem.

- Panie Boże zapłać - ozwała się głucho kobieta, podjąwszy dziedzica pod nogi.

Rozdział IX IMOGENA

Rzepa po wyjściu z chlewka poszedł prosto nie do chałupy, ale do karczmy. Wiadomo, że chłop w utrapieniu pije. Z karczmy, powodowany też samą myślą co i Rzepowa, poszedł do pana Skorabiewskiego i głupstwo zrobił.

Człowiek nietrzeźwy nie wie, co gada. Otóż Rzepa był natarczywy, a gdy usłyszał toż samo co i Rzepowa o zasadzie nieinterwencji, nie tylko że wskutek przyrodzonej prostakom tępości umysłowej, tej wysoce dyplomatycznej zasady nie pojął, ale z gburowatością, właściwą również prostakom, ozwał się i został wyrzucony za drzwi.

Gdy przyszedł nazad do chałupy, sam powiedział żonie:

- Byłem we dworze.

- I nie wskórałeś nic.

A on pięścią o stół.

- Podpalić by ich, psiowiary.

- Cichajże, zbereźniku. Co ci ta pan powiedział?

- Odesłał mnie do naczelnika. Żeby jego...

- Ono to chyba trzeba iść do Osłowic.

- Pojadę do Osłowic - mówił zaraz wtedy - i pokażę mu, że się bez niego obędzie.

- Nie pojedziesz ty, nieboraku mój serdeczny, tylo ja sama. Ty, ino się napijesz, to zara hardo się stawisz i tylko nieszczęścia przymnożysz.

Rzepa z początku było nie chciał, ale zaraz po południu poszedł do karczmy zalać robaka, nazajutrz dzień toż samo; kobieta więc, nie pytając już o nic, zdała wszystko na wolę bożą i we środe wzięwszy dziecko wyszła do Osłowic.

Koń był przy gospodarstwie potrzebny, więc poszła piechotą i świtaniem, bo do Osłowic było trzy opętane mile. Myślała, że może i spotka dobrych ludzi jadących, którzy pozwolą się jej przysiąść bodaj na brzeżku fury, ale nie spotkała nikogo. O dziewiątej rano, siadłszy zmęczona na skraju lasu, zjadła kromkę chleba i parę jaj, które miała ze sobą w kobiałce, potem poszła dalej. Słońce zaczynało przypiekać, więc spotkawszy pachciarza Herszka z Wrzeciędzy, który wiózł w drabkach gęsi do miasta, zaczęła prosić, żeby ją zabrał na furę.

- Z Bogiem, moja Rzepowa - odpowiedział Herszek - ale tu taki piach, że koń ledwie mnie samego ciągnie. Dacie złoty, to was wezmę.

Dopiero przypomniała sobie, że miała tylko jeden czeski zawiązany w chuście. Chciała Żydowi dać go zaraz, ale on odpowiedział:

- Czeski? I czeskiego na ziemi nie znajdzie, i to pieniądz! cy! cy!

To rzekłszy zaciął konia i pojechał dalej. Na świecie stawało się coraz goręcej i pot lał się strumieniem z Rzepowej, ale zbierała nogi, jak mogła, i w godzinę później wchodziła już do Osłowic.

Kto zna jak należy geografę, ten wie, że wjeżdżając od strony Baraniej Głowy do Osłowic, trzeba przejeżdżać koło kościoła poreformackiego, w którym dawniej była Matka Boska cudowna, a około którego jeszcze dziś, co niedziela, siedzi cała ulica dziadów wrzeszczących wniebogłosy. Teraz, że to był dzień powszedni, siedział więc pod parkanem tylko jeden dziad, ale za to wyciągał spod łachmanów gołą nogę bez palców i trzymając w ręku wierzch pudełka od szuwaksu, śpiewał:

Święta, niebieska

Pani anielska.

Ujrzawszy kogo przechodzącego przestawał śpiewać, ale wysuwając jeszcze dalej nogę, poczynął krzyczeć, jakby go kto ze skóry obdzierał.

- Miłosierne osoby! Biedna kaleka litości błaga! Niech wam Pan Bóg miłosierny da wszystko dobre na ziemi!

Ujrzawszy go Rzepowa odwiązała z chusty swego czeskiego i zbliżywszy się rzekła:

- Mata pięć groszy?

Chciała mu dać tylko grosz, ale dziad poczuwszy szóstaka w palcach nuż jej wymyślać: "Żałujeta czeskiego Panu Bogu, pożałuje i wam Pan Bóg wspomżenia. Idźta do paralusa, pókim dobry!"

Więc Rzepowa sobie rzekła: "Niech to będzie na chwałę bożą", i poszła dalej.

Dopiero jak przyszła na rynek, tak się złąkla. Łatwo było przyjść do Osłowic, ale zabłądzić w Osłowicach jeszcze łatwiej. A toć to miasto nie żarty! Przyjdiesz do jakiej nieznajomej wsi, a już musisz wypytywać się, gdzie kto mieszka, a cóż dopiero w takich Osłowicach. "Ja się tu zgubię jak w lesie" - pomyślała Rzepowa. Nie było innej rady, jak wypytywać się ludzi. O komisarza wypytała się łatwo, ale poszedłszy do jego domu dowiedziała się, że wyjechał do guberni. O naczelniku powiedzieli jej, że go trzeba szukać w powiecie. Ba! a powiat gdzie? Oj! głupia, głupia kobieta. Przecie w Osłowicach, nie gdzie indziej.

Szukała tedy w Osłowicach powiatu, szukała; nareszcie patrzy: stoi jakiś pałac, wielki aż strach, a przed nim co niemiara bryk i wozów, i bid żydowskich, Rzepowej zdawało się, że to jaki odpust, "A kaj tu je powiat?" - pyta Rzepowa jakiegoś we fraku, podjąwszy go pod nogi. "Toć stoisz, kobieto, przed nim." Zebrała się z duchem i weszła do pałacu. Patrzy znowu: a tam pełno korytarzy, na lewo drzwi, na prawo drzwi, dalej jeszcze i drzwi, i drzwi, a na każdym jakieś litery. Przeżegnała się Rzepowa i otworzywszy z nieśmiałością i po cichutku pierwsze, znalazła się w jakiejś wielkiej izbie, przedzielonej stallami jak kościół.

Za stallami siedział jakiś we fraku ze złocistymi guzikami i z piórem za uchem, a przed stallami różnych panów co niemiara. Panowie płacili i płacili, a ten we fraku palił papierosa i pisał kwitki, które panom oddawał. Kto wziął kwitek, ten wychodził. Dopiero Rzepowa pomyślała, że tu trzeba płacić, i pożałowała swojego czeskiego. Toteż z nieśmiałością wielką przystąpiła do kratki.

Ale tam nikt nawet na nią nie spojrział. Stoi Rzepowa, stoi; upływa z godzina; jedni wchodzą, drudzy wychodzą, zegar za kratką tyka, a ona stoi. Na koniec przerzedziło się jakoś, a wreszcie i nikogo nie stało. Urzędnik siadł za stołem i zaczął pisać. Wtedy Rzepowa ośmieliła się odezwać:

- Pochwalony Jezus Chrystus!...

- Czego tam?

- Jaśnie naczelniku!...

- Tu jest kasa.

- Jaśnie naczelniku!...

- Tu jest kasa, mówię wam.

- A kaj naczelnik?

Urzędnik pokazał drugim końcem pióra na drzwi:

- Tam.

Rzepowa wyszła znowu na korytarz. Tam? ba! ale gdzie? Drzwi wszędzie co niemiara, w które tu pójść?

Nareszcie widzi, że między różnymi ludźmi, którzy chodzą to w tę, to w tamtą stronę, stoi chłop z biczem w ręku, więc zaraz do niego.

- Ojczy?

- A czego chceta?

- Skądęście?

- Z Wieprzkowisk, abo co?

- Kaj tu naczelnik?

- Czy ja wiem.

Potem spytała jeszcze jakiegoś ze złotymi guzikami, ale nie we fraku, i z dziurami na łokciach. Ten nie chciał nawet jej słuchać, odpowiedział tylko:

- Nie mam czasu.

Rzepowa znów weszła w pierwsze lepsze drzwi, nie wiedziała biedaczka, że na tych drzwiach stał napis:

"Osobom nie należącym do składu urzędu wchodzić nie wolno." Ona do składu urzędu nie należała; napisu, jak się rzekło, nie widziała.

Tylko co otworzyła drzwi, patrzy: izba pusta, pod oknem ławka, na ławce siedzi jakiś i drzemie. Dalej drzwi do innego pokoju; w których widać chodzących panów we frakach i w mundurach.

Rzepowa zbliżyła się do tego, który drzemał na ławie: miała do niego trochę śmiałości, bo człowiek wyglądał prosty i buty miał na wyciągniętych przed się nogach dziurawe.

Trąciła go w ramię.

On się zerwał, spojrzał na nią i jak krzyknie:

- Nie wolno! -

Kobiecina w nogi, a on drzwiami za nią trzasnął. Znalazła się trzeci raz na tym samym korytarzu. Siadła koło jakichś drzwi i z cierpliwością prawdziwie chłopską postanowiła siedzieć przy nich, choćby do skończenia świata. "A przecie kto może i zapyta!" - myślała sobie. - Nie płakała, tylko tarła oczy, bo ją swędziły, i czuła, że cały korytarz ze wszystkimi drzwiami zaczyna się z nią kręcić.

A tu ludzie koło niej, to w prawo, to w lewo; drzwiami trzask! trzask! a rozmawiają ze sobą, słysząc ha-ru! haru! jak na jarmarku.

Wreszcie jednak Bóg zmiłował się nad nią. Z tych drzwi, przy których siedziała, wyszedł stateczny szlachcic, którego czasem w kościele we Wrzeczędzy widywała; potknął się o nią i pyta:

- Wy tu czego, kobieto, siedzicie?" Co?

- Do naczelnika...

- Tu jest komornik, nie naczelnik. Szlachcic ukazał drzwi w głębi korytarza.

- Tam, gdzie ta zielona tabliczka, co? Ale nie chodźcie do niego, bo zajęty, co? Zaczekajcie tu, on musi tędy przechodzić.

I szlachcic poszedł dalej, a Rzepowa spojrzała za nim takim spojrzeniem, jakby za swoim aniołem stróżem.

Przyszło jej jednak jeszcze dość długo czekać, aż nareszcie drzwi z zieloną tabliczką otworzyły się z trzaskiem; wyszedł z nich niemłody już wojskowy i szedł przez korytarz, śpiesząc się bardzo. Oj! zaraz można było poznać, że to naczelnik, bo za nim w dyrdy leciało kilku interesantów, zabiegając mu to z prawej, to z lewej strony, a do uszu Rzepowej doszły wykrzyki: "Panie naczelniku dobrodzieju!", "Słóweczko, panie naczelniku!", "Łaskawy naczelniku!" Ale on nie słuchał i szedł naprzód. Rzepowej aż zaraz pociemniało w oczach jego widok. "Dziej się wola boża!", przemknęło jej w głowie, więc wypadła na środek korytarza i klękawszy z podniesionymi rękoma, zagroziła mu drogę.

Spojrzał, stanął; cała procesja zatrzymała się przed nią.

- Toż co jest? - spytał.

- Przenoświętsy naczelnik...

I nie mogła dalej: zalekła się tak, że głos urwał się jej w gardle; język kołem stanął.

- Czego?

- O! o! ady! ady! wedle... poboru.

- Cóż to? was do wojska chcą? - a? - spytał naczelnik.

Interesanci zaraz chórem w śmiech, by podtrzymać dobry humor naczelnika, ale on zaraz do tych swoich dworzan:

- Proszę! proszę cicho!

A potem niecierpliwie do Rzepowej:

- Prędzej! czego? bo nie mam czasu.

Ale Rzepowa do reszty straciła głowę od śmiechu panów, więc poczęła tylko bełkotać bez związku: "Burak! Rzepa! Rzepa! Burak, o!

- Musi być pijana! - rzekł jeden z otaczających.

- Zostawiła język w chałupie - dodał drugi.

- Czegóż chcecie? - powtórzył jeszcze niecierpliwiej naczelnik. - Pijaniście czy co?

- O, Jezusie! Maryja! - wykrzyknęła Rzepowa czując, że ostatnia deska zbawienia wysuwa się jej z rąk. - Przenoświęty nacel...

Ale on był istotnie bardzo zajęty, bo to i spisy się już zaczęły, i interesów w powiecie było mnóstwo, zresztą z kobietą dogadać się nie mógł, więc tylko kiwnął ręką i zawołał:

- Wódka! wódka! A kobieta młoda i ładna. Potem do Rzepowej takim głosem, że mało się pod ziemię nie schowała:

- Jak wytrzeźwiejesz, to sprawę przedstawić gminie, a gmina niech przedstawi mnie.

Poszedł spiesznie dalej, a interesanci za nim powtarzając: "Panie naczelniku dobrodzieju!", "Słóweczko, panie naczelniku!", "Łaskawy naczelniku!"

Korytarze opustoszały; zrobiło się na nich cicho, tylko dzieciak Rzepowej począł wrzeszczeć. Więc rozbudziła się jakoby ze snu, wstała, podniosła dziecko i zaczęła mu pośpiewywać jakimś nieswoim głosem:

- Aa! aa! aa!

Potem wyszła z gmachu. Na dworze niebo zawlokło się chmurami: na krańcach widnokregu grzmiało.

W powietrzu było parno.

Co się działo w duszy Rzepowej, gdy przechodziła znowu koło poreformackiego kościoła z powrotem do Baraniej Głowy, nie podejmuję się opisywać. Ach! gdyby to tak panna Jadwiga znalazła się w podobnym położeniu, dopieroż bym napisał sensacyjny romans, którym podjąłbym się przekonać najzaciętszych pozytywistów, że są jeszcze idealne istoty na świecie. Ale w pannie Jadwidze każde wrażenie doszłoby do świadomości siebie; rozpaczne rzuty duszy wyraziłyby się w niemniej rozpacznych, a zatem bardzo dramatycznych myślach i słowach. Owo koło błędne, głębokie a przebolesne poczucie bezradności, niemocy i przemocy, ta rola liścia wśród burzy, głuche poznanie, że znikąd ratunku, ani z ziemi, ani z nieba, natchnęłoby zapewne pannę Jadwigę jakimś niemniej natchnionym monologiem, który potrzebowałbym tylko spisać, aby sobie zrobić reputację. A Rzepowa? Ten prosty naród, gdy cierpi, to tylko cierpi, i nic więcej! Rzepowa w twardym ręku niedoli spoglądała tylko tak, jak spogląda ptak męczony przez złośliwe dziecko. Szła oto przed siebie, wiatr gnał ją, pot ciekł z jej czoła, i cała rzecz. Czasem jednak, gdy dzieciak, który był chory, otwierał usta i począł oddychać tak, jakby zaraz miał skonać, wołała na niego: "Jaśku, Jasieńku mój serdeczny!", i przyciskała macierzyńskie usta do rozpalonego czoła dzieciny. Minęła wreszcie poreformacki kościół i wyszła daleko w pole, aż nagle zatrzymała się, bo naprzeciw niej szedł pijany chłop.

Chmury wały się na niebie coraz gęstsze, a w nich gotowało się coś jakby burza; od czasu do czasu błyskało, ale chłop nie pytał, rozpuścił na wiatr poły sukmany, przekrzywił czapkę na ucho i taczając się to w prawo, to w lewo, śpiewał:

Poszła Doda

Do ogroda

Pasternaku kopać,

A ja Dode

Kijem w nogę:

Doda uciekać!

Uu! du!

Ujrzawszy Rzepowa, stanął, rozłożył ręce i wykrzyknął:

Oj, pójdziewa w żyto,

Boś dobra, kobieto!

I chciał ją złapać wpół, ale Rzepowa, zląkwszy się o dziecko i o siebie, uskoczyła w bok; chłop za nią, ale że był pijany, więc się przewrócił. Zerwał się wprawdzie zaraz, nie gonił jej jednak, tylko porwawszy kamień rzucił za nią, że aż zawarczało powietrze.

Rzepowa poczuła ból w głowie i zamroczyło ją zaraz, toteż przykłęka. Lecz pomyślała sobie tylko jedno słowo: "dziecko", i poczęła uciekać dalej. Zatrzymała się dopiero pod krzyżem, a obejrzawszy się spostrzegła, że chłop był już z jakie pół wiorsty i taczając się szedł do miasta.

W tej chwili jednak uczuła jakieś dziwne ciepło na szyi; pomacała ręką, a potem spojrzawszy na palce spostrzegła krew.

Pociemniało jej w oczach i odeszła od przytomności.

Zbudziła się oparta plecami o krzyż. Z daleka nadjeżdżał kabriolet z Ościeszyna, a w nim młody pan Ościeszyński z guwernantką ze dworu.

Pan Ościeszyński Rzepowej nie znał, ale ona go znała z kościoła; myślała więc lecieć do kabrioletu i prosić na miłosierdzie boskie, żeby choć dziecko przed burzą zabrali: podniosła się nawet na nogi, ale nie mogła iść.

Tymczasem młody pan nadjechał i ujrzawszy nieznaną kobietę stojącą pod krzyżem, zawołał:

- Kobieto! kobieto! siadajcie.

- Niech Pan Bóg...

- Ale na ziemi, na ziemi.

O! był to figlarz znany w całej okolicy ten młody pan Ościeszyński, więc on tak zaczął wszystkich po drodze, a tak samo też zażartował i z Rzepowej, a potem zaraz ruszył, dalej. Do uszu Rzepowej doszły śmiechy jego i guwernantki; potem zobaczyła, jak się zaczęli całować i znikli wraz z kabrioletem w ciemnej dali.

Rzepowa została sama. Ale nie darmo to mówią: "Baby i ropuchy nawet siekierą nie zabijesz!" Po godzinie jakiej zwlokła się znowu, choć nogi gięły się pod nią: poszła dalej.

- Cóż Ci ta dziecina winna, ona rybeńka złota, Panie Boże! - powtarzała tuląc do piersi chorego Jaśka.

A potem widać zaraz porwała ją gorączka, bo zaczęła mruczeć jakby pijana.

- W chałupinie pusta kołysieczka, a mój to ta poszedł na wojenkę z karabinem.

Wiatr zsunął jej czepiec z głowy: śliczne jej włosy rozsypały się po plecach i poczęły furkać w powietrzu. Nagle błysnęło: piorun runął tak blisko, że owionął ją zapach siarki i aż przysiadła. Ale przyprowadziło ją to do przytomności; krzyknęła: "A słowo stało się ciałem!" Spojrzała na niebo, które było wzburzone, niemiłosierne, wściekłe, i zaczęła drżącym głosem śpiewać: "Kto się w opiekę." Jakiś złowrogi miedziany odbłask padał z chmur na ziemię. Rzepowa weszła do lasu, ale w lesie było jeszcze ciemniej i straszniej. Od chwili do chwili zrywał się nagle szum, jakby przerażone chojary szeptały do siebie ogromnym szeptem: "Co to będzie! -O! dla Boga!" Potem znów nastawała cisza. Czasem znów z głębin leśnej rozlegał się jakiś głos. Rzepowa aż ciarki przechodziły, że to może "złe" śmieje się na bajorach albo może gomon przesunie straszonym korowodem lada chwila. "Byłe bez las, byłe bez las - myślała sobie - a tam za lasem zara młyn i chałupa Jagodzińskiego młynarza!" Biegła więc ostatkiem sił, chwytając w spieczone usta powietrze, a tymczasem upusty niebieskie otworzyły się nad jej głową: deszcz, pomieszany z gradem, lunął jak z cebra; uderzył wiatr z taką siłą, że aż chojary przygięły się do ziemi; las zasnuło mgłą, parą, falami deszczu; drogi ani dojrzeć, a tu drzewa wiją się po ziemi, a skrzypią i szumią: słychać trzask gałęzi, ciemność.

Rzepowa uczuła, że słabnie.

- Ratunku! ludzie! - zawołała słabym głosem, ale tego nikt nie słyszał. Wicher wbił jej nazad głos w gardło i zatamował oddech. Wtedy to zrozumiała, że już dalej nie ujdzie.

Zdjęła z siebie chustę, zdjęła przyjaciółkę, fartuch, rozebrała się prawie do koszuli i okutała dziecko; potem, ujrawszy w pobliżu brzozę płaczącą, przyczołgała się do niej prawie na czworakach i złożywszy pod gęstwiną dziecko, sama upadła obok niego.

- Boże! przyjm duszę moją! - wyszeptała z cicha.

I zamknęła oczy.

Burza szalała jeszcze przez czas jakiś, na koniec opadła. Ale zrobiło się już ciemno; przez przerwy chmur poczęły połyskiwać gwiazdy. Pod brzozą bielila się nieruchoma ciągle postać Rzepowej.

- Nau! - rozległ się jakiś głos w ciemnościach.

Po chwili z daleka dał się słyszeć turkot wozu i chlapanie nóg końskich po kałużach.

To Herszek, pachciarz z Wrzeczędzy, sprzedawszy w Osłowicach gęsi, wracał na noc do domu.

Ujrawszy Rzepową zląkł z wozu.

Rozdział X ZWYCIĘSTWO GENIUSZU

Herszek z Wrzeczędzy zabrał było Rzepową spod brzozy i wioził ją do Baraniej Głowy, a po drodze spotkał się z Rzepą, który, widząc, że idzie burza, wyjechał wozem na spotkanie kobiety. Kobieta przeleżała noc i następny dzień, ale drugiego dnia już wstała, bo dzieciak był chory. Przyszły kumy i okadzały go święconymi wiankami, a następnie stara Cisowa, kowalka, zażegnywała chorobę z sitem w rękę i czarną kurą. Jakoż dzieciakowi zaraz pomogło, ale bieda była coraz większa z samym Rzepą, który zalewał się teraz wódką bez miary i już nie można było dojść z nim do ładu. Dziwna rzecz,

kiedy Rzepową przysła do przytomności i zaraz spytała o dziecko, on, zamiast okazać jej troskliwość, ozwał się chmurno: "Będziesz ty po miastach latać, a dzieciaka lichu weźmie. Dałbym ja ci, żebyś ty go była zatraciła!" Więc dopiero kobieta na taką niewdzięczność uczuła gorycz wielką i głosem prosto spod serca, w którym był ból niepojęty, chciała mu to wymówić, ale nie mogła więcej powiedzieć, jak tylko krzyknąć: "Wawrzon!" I spojrzała na niego przez łzy. A chłopca jakby podrzuciło ze skrzynki, na której siedział. Przez chwilę cicho był, a potem powiada innym już głosem: "Maryśko moja, odpuść ty mi moje słowa, bo widzę, że cię ukrzywdził." To rzekłszy ryknął wielkim głosem, i nuż ją po nogach całować, a ona mu w płaczu wtórowała. Więc czuł, że takiej kobiety nie wart. Ale ta zgoda niedługo trwała. Smutek jątrzący się jako rana zaczął ich zaraz jątrzyć jedno przeciw drugiemu. Gdy Rzepa przychodził do chałupy, czy to pijany, czy trzeźwy, nie mówił do żony ani słowa, ale siadał na skrzynce i patrzył wilkiem w ziemię. Tak siadywał po całych godzinach jak skamieniały. Kobieta kręciła się po izbie, pracowała jak i dawniej, ale także milczała. Później, gdy jedno i chciało odezwać się do drugiego, już im było jakoś i niesporo. Żyli więc niby w wielkiej urazie, a w chałupie grobowe panowało milczenie. O czymże i mieli mówić, kiedy wiedzieli oboje, że już nie ma żadnej rady i że dola ich już się skończyła. Po kilku dniach poczęły chłopcu złe jakieś myśli przychodzić do głowy. Poszedł było do spowiedzi do księdza Czyżyka, ksiądz nie dał mu rozgrzeszenia i kazał przyjść nazajutrz, ale nazajutrz Rzepa, zamiast do kościoła, poszedł do karczmy. Ludzie słyszeli, jak po pijanemu mówił, że kiedy mu Pan Bóg nie chce pomóc, to on duszę diabłu zaprzeda, i poczęli się go wystrzegać. Nad chałupą zawisła jakoby kłątwa. Ludzie rozpuścili języki jak dziadowskie bicze i mówili, że wójt z pisarzem dobrze robią, bo taki zboreźnik ściągnie tylko pomstę bożą na całą Baranią Głowę. A i na Rzepową poczęły kumoszki niestworzone rzeczy wygadywać.

Zdarzyło się, że u Rzepów wyschła studnia. Rzepową więc poszła po wodę przed karczmę, a po drodze słyszała, jak chłopaki mówili między sobą: "Idzie żołnierka!" A inny chłopak powiada: "Nie żołnierka to, ale diabłowa!" Kobieta nie rzekłszy słowa poszła dalej, ale widziała, jak się przeżegnali. Nabrała wody w konewkę i do domu. A tu przed karczmą stoi Szmul. Gdy ujrzał Rzepową, wydobył zaraz z gęby porcelanową fajkę, co mu na brodzie wisiała, i zawołał:

- Rzepowa!

Rzepową zatrzymała się i pyta:

- Czego chcecie?

A on:

- Byliście u sądu w gminie?

- Byłam!

- Byliście u księdza?

- Byłam!

- Byliście we dworze?

- Byłam!

- Byliście w powiecie?

- Byłam!

- I nie wskóraliście nic?

Rzepowa tylko westchnęła, a Szmul znowu:

- Ny, jacy wy ście głupi, to już w całej Baraniej Głowie nikogo głupszego nie ma! A wam po co tam było iść?

- A gdzież miałam iść? - rzecze kobieta.

- Gdzie? - odparł Żyd - a na czym ugoda stoi? na papierze; nie ma papieru, nie ma i ugody; podrzec papier, i basta!

- O moiście wy! - rzecze Rzepową - żeby ja miała ten papier, dawno bym ja go podarła.

- Ba! a to nie wiecie, że papier u pisarza? No... ja wiem, co wy, Rzepowa, dużo u niego możecie wskórać; on sam mi mówił: niech Rzepową, powiada, przyjdzie i mnie poprosi, a ja, powiada, papier podre, i basta!

Rzepowa nie odrzekła nic, tylko chwyciła konewkę za ucho i poszła w stronę murowańca, a tymczasem ściemniło się na dworze...

Rozdział XI SKOŃCZONA NIEDOLA

Na niebie zaszedł już Wóz, a weszły Kurki, gdy drzwi skrzypnęły w chacie Rzepów i Rzepowa weszła cicho do izby. Wszedłszy stanęła jak wryta, bo spodziewała się, że Rzepa jak zwykle będzie spał w karczmie; tymczasem Rzepa siedział na skrzynce pod ścianą z pięściami wspartymi o kolana i patrzył w ziemię.

Na kominie dogasały węgle.

- Gdzieś była? - spytał ponuro Rzepa. Zamiast odpowiedzieć, ona padła na ziemię i leżąc przy jego nogach ze szlochaniem i płaczem wielkim zaczęła wołać:

- Wawrzon! Wawrzon! dla ciebie to ja, dla ciebie! na sromotę się podałam. Oszukał mnie, a potem zwymyślał i wypędził. Wawrzon! ulituj że się choć ty nade mną; mój serdeczny! Wawrzon! Wawrzon! Rzepa wydobył zza skrzynki siekiere.

- Nie - mówił spokojnym głosem - już tobie przyszło na koniec, niebogo! Już ty się pożegnaj z tym światem, bo go nie będziesz widzieć. Już ty nie będziesz, niebogo, w chałupie siedziała, ino będziesz na cmentarzu leżała... już ty...

Dopiero ona spojrzała na niego z przerażeniem.

- Cóż ty chcesz mnie zamordować? A on:

- No, Maryško; nie trać po próżnicy czasu; przeżegnaj się, a potem będzie koniec: nawet nie poczujesz, niebogo.

- Wawrzon, i ty naprawdę?...

- Połóż głowę na skrzyni...

- Wawrzon!

- Połóż głowę na skrzyni! - wołał już z pianą na ustach.

- O! dla Boga! ratunku! ludzie! ratun... Rozległo się głucho uderzenie, potem, jęk i stuk głowy o podłogę; potem drugie uderzenie, słabszy jęk; potem trzecie uderzenie, czwarte, piąte, szóste. Na podłogę lunął strumień krwi, węgle na kominie przygasły. Drganie przeszło Rzepową od stóp do głowy, potem trup jej wyprężył się nagle i pozostał nieruchomy.

Wkrótce potem szeroka krwawa luna rozdarła ciemności: paliły się zabudowania dworskie.

EPILOG

A teraz powiem wam coś na ucho, czytelnicy: Rzepy nie byłiby wzięli do wojska. Taka ugoda, jaką spisano w karczmie, nie była wystarczającą. Ale widzicie, chłopi się na takich rzeczach nie znają, inteligencja, dzięki neutralności, także niewiele, więc... więc pan Zołzikiewicz, który trochę wiedział o tym, liczył, że w każdym razie sprawa się przewlecze, a strach rzuci kobietę w jego ramiona.

I nie przeliczył się ten wielki człowiek.

Spytacie, co się z nim stało? Cóż się miało stać? Rzepa, podpaliwszy zabudowania dworskie, poszedł było szukać z kolei zemsty i na nim; ale że na okrzyk: "gore!", zbudziła się już cała wieś, więc Zołzikiewicz ocalał.

I oto piastuje dalej urząd pisarza w Baraniej Głowie, ale teraz ma nadzieję, że zostanie wybrany sędzią. Skończył właśnie czytać Barbarę Ubryk i spodziewa się także, że panna Jadwiga uściśnie mu lada dzień rękę pod stołem.

Czy te nadzieje sędziostwa i uścisku się sprawdzą, przyszłość okaże.

Z PAMIĘTNIKA POZNAŃSKIEGO NAUCZYCIELA

Światło lampy, chociaż przyćmione, budziło mnie, i nieraz o drugiej lub trzeciej po północy widziałem Michasia pracującego jeszcze. Mała i wątła jego postać, przybrana tylko w bieliznę, schylona była nad książką, a w ciszy nocnej senny i zmęczony głos powtarzał mechanicznie koniugacje łacińskie lub greckie z tą jednostajnością, z jaką w kościele powtarzają słowa litanii. Gdym zawołał na niego, by szedł spać, chłopiec odpowiadał mi: "Nie umiem jeszcze lekcji, panie Wawrzynkiewicz." Odrabiałem z nim przecie zadania od czwartej do ósmej, a potem od dziewiątej do dwunastej, i sam nie szedłem do łóżka, nimem się nie przekonał, że umie wszystko; ale doprawdy tego wszystkiego było za dużo. Skończywszy ostatnią lekcję, chłopiec zapominał pierwszej, a koniugacje greckie, łacińskie, niemieckie i nazwy rozmaitych powiatów wprowadzały biedną jego głowę w taki zamęt, że spać nie mógł. Wyłąził tedy spod kołdry, zapalał lampę i zasiadał na nowo do stolika. Gdym go łajał - prosił się i płakał. Potem tak już przyzwyczaiłem się do tych nocnych siedzeń, do blasku lampki i do mrużenia koniugacji, że kiedy mi ich brakło, sam spać nie mogłem. Może powinienem był nie pozwolić, by dziecko męczyło się nad siły, ale cóżem miał robić? Musiał przecie wyuczyć się co dzień choć jako tako lekcji, bo inaczej usunięto by go ze szkół, a Bóg jeden wie, co by to był za cios dla pani Marii, która po śmierci męża zostawszy z dwojgiem sierot, wszystkie nadzieje złożyła w Michasiu. Położenie było prawie bez wyjścia, bom z drugiej strony widział, że nadmierne wysilenia umysłowe podkopują zdrowie chłopca i mogą życiu jego zagrozić. Trzeba było przynajmniej wzmacniać go fizycznie, gimnastykować, kazać mu dużo chodzić lub jeździć konno, ale nie było czasu na to. Dziecko tyle miało do roboty, tyle do wyuczenia się na pamięć, tyle do napisania co dzień, że z ręką na sumieniu powiadam: nie było czasu. Każdą chwilę, potrzebną dla wesołości, zdrowia i życia chłopca, zabierała łacina, grecki i... niemiecki. Rankiem, gdym mu pakował książki do tornistra i gdym widział, jak chude jego ramiona gięły się pod ciężarem tych bizantyjskich tomów, serce mi się po prostu ścisnęło. Czasem prosiłem dla niego o wyrozumienie i względność, ale niemieccy profesorowie odpowiadali mi tylko, że dziecko psuję i rozpieszczę, że Michaś widocznie nie dość pracuje, że ma polski akcent i że beczy z lada powodu. Chory sam jestem na piersi, samotny i zgryźliwy, więc te wymówki niejedną mi chwilę zatręły. Ja najlepiej wiedziałem, czy Michaś nie dość pracuje! Było to dziecko średnich zdolności, ale tak wytrwałe i przy całej słodczy, taką obdarzone siłą charakteru, jakiej nie zdarzyło mi się spotkać w żadnym innym chłopcu. Biedny Michaś namiętne i ślepo był przywiązany do matki, że zaś mu powiedziano, iż matka bardzo jest nieszczęśliwa, chora i że gdy on będzie jeszcze się źle uczył, to może ją dobić - więc chłopak drżał przed tą myślą i całymi nocami siadywał nad książką, byle tylko matki nie zmartwić. Wybuchnął płaczem, gdy dostał zły stopień, ale nikomu nie przychodziło do głowy, dlaczego płakał, do jakiej strasznej poczuwał się w takich chwilach odpowiedzialności. Ba! co komu było do tego? Miał polski akcent, i kwita! Ja go nie psułem ani rozpieszczęłem, tyłkom go rozumiał lepiej od innych; żem zaś zamiast łajać go za niepowodzenia, starał się pocieszać, to już moja rzecz. Sam napracowałem się w życiu niemało, nacierpiałem się głodu i biedy, nie byłem szczęśliwy, nie będę szczęśliwy i - niech tam diabli wezmą! nawet już i zębów nie ścisnę, gdy o tym myślę; nie wierzę, żeby było warto żyć, ale może dlatego właśnie mam prawdziwe współczucie dla każdej biedy.

Ja przynajmniej w wieku Michasia, gdym latał za gołębiami po ulicach lub grywał w pliszki pod ratuszem, miałem swoje czasy zdrowia i wesołości. Kaszel mnie nie męczył; gdym w skórę brał, tom płakał, póki bili; zresztą byłem swobodny jak ptak i nie dbałem o nic. Michaś i tego nawet nie miał. Życie byłoby i jego położyło na kowadło i biło młotem; tyle by więc wygrał, ile by jako malec naśmiał się serdecznie z tego, co dzieci bawi, napłatał figlów i wylatał się na otwartym powietrzu w promieniach słońca. Ale takiej zgody pracy z dzieciństwem nie miałem przed oczyma. Przeciwnie:

widziałem dziecko idące do szkoły i wracające z niej chmurne" zgarbione pod ciężarem książek, wysilone, ze zmarszczkami w kątach oczu, tłumiące ustawicznie jakoby wybuch płaczu - więcem mu współczuł i chciałem być dla niego ucieczką.

Jestem sam nauczycielem, jakkolwiek prywatnym, i nie wiem, co bym robił na świecie, gdybym jeszcze stracił wiarę w wartość nauki i pożytek, jaki z niej płynie. Myślę tylko po prostu, że nauka nie powinna być tragedią dla dzieci, że łacina nie może zastąpić powietrza i zdrowia, a dobry lub zły akcent nie powinien stanowić o losie i życiu małych istot.

Myślę także, że pedagogia lepiej spełnia swe zadanie, gdy dziecko czuje rękę prowadzącą je łagodnie, nie zaś nogę przygniatającą mu piersi i deptającą wszystko, co go nauczono czcić i kochać w domu... Taki ze mnie obskurant, że pewno już zdania w tym względzie nie zmienię, bo utwierdzam się w nim coraz bardziej, gdy sobie wspominam mojego Michasia, którego kochał tak szczerze. Od sześciu lat byłem jego nauczycielem, pierwaj jako guwerner, potem gdy wszedł do drugiej klasy, jako korepetytor, miałem więc czas przywiązać się do niego. Zresztą czemu bym miał ukrywać przed samym sobą: był mi drogim, bo był synem droższej dla mnie nad wszystko istoty... Nigdy ona nie wiedziała o tym i nigdy wiedzieć nie będzie. Pamiętam, że ja jestem... ot siebie - pan Wawrzyńkiewicz, prywatny nauczyciel, a do tego człowiek chory, ona zaś córka zamożnego domu szlacheckiego, po prostu pani, na którą bym nie śmiał oczu podnieść. Ale że samotne serce, miotane życiem, musi w końcu przyczepić się do czegoś, jak przyczepia się muszla miotana falą - więc moje przywarło do niej. Co ja na to poradzę? A wreszcie co jej to szkodzi? Nie chcę od niej więcej światła niż od słońca, które wiosną ogrzewa moje chore piersi. Od sześciu lat byłem w jej domu, byłem przy śmierci jej męża, widziałem ją nieszczęśliwą, samą, a zawsze dobrą jak anioł, kochającą dzieci, świętą prawie w swym wdowieństwie, więc... musiało do tego przyjść. Ale to nie miłość we mnie, to prędzej moja religia.

Michaś bardzo przypominał matkę. Nieraz gdy podnosił na mnie oczy, zdawało mi się, że patrzę na nią. Były to też same delikatne rysy, toż samo czoło z cieniem padającym od bujnych włosów, ten sam łagodny zarys brwi, a szczególnie głos prawie jednakowy. W usposobieniu matki i dziecka była także wspólność, objawiająca się w pewnej skłonności do egzaltacji uczuć i poglądów. Należeli oboje do tego rodzaju istot nerwowych, wrażliwych, szlachetnych i kochających, które zdolne są do największych poświęceń, ale które w życiu i zetknięciu się z jego rzeczywistością mało znajdują szczęścia, dając naprzód więcej, niż mogą otrzymać. Ten rodzaj ludzi ginie też teraz, i myślę, że jakiś dzisiejszy naturalista mógłby powiedzieć o nich, że z góry są na śmierć skazani, bo przychodzą na świat z wadą serca - za dużo kochają.

Rodzina Michasia była kiedyś bardzo zamożna, ale -i za dużo kochali... więc rozmaite burze rozwiały fortunę, a to, co zostało, nie jest wprawdzie nędzą, nie jest nawet ubóstwem, jednakże w porównaniu do dawnych czasów - miernością. Michaś był ostatnim z rodziny; toteż pani Maria kochała go nie tylko jak własne dziecko, ale zarazem jak wszystkie swoje nadzieje na przyszłość. Na nieszczęście, z zaślepieniem, zwykłym matkom, widziała w nim niepospolite zdolności. Chłopiec wprawdzie istotnie nie był tępy, ale. należał do tego rodzaju dzieci, których zdolności, z początku średnie, rozwijają się dopiero później razem z siłami fizycznymi i zdrowiem. W innych warunkach mógłby być skończyć szkoły i uniwersytet i stać się pożytecznym pracownikiem na każdym polu. W tych, jakie istniały, męczył się tylko i wiedząc o wysokim wyobrażeniu, jakie matka miała o jego zdolnościach, wysilał na próżno.

Wiele na świecie widziały oczy moje, i postanowiłem się nie dziwić niczemu, ale wyznaję, że z trudnością uwierzyłem, by mógł istnieć taki zamęt, w którym by dziecku na złe wyszła wytrwałość, siła charakteru i praca. Jest coś w tym niezdrowego, i gdyby mi słowa mogły zapłacić za żal i gorycz,

to doprawdy powiedziałbym razem z Hamletem, że dzieją się na świecie rzeczy, o których nie śniło się filozofom...

Pracowałem z Michasiem, jakby od tych stopni, które on za postępy dostawał, moja własna przyszłość zależała. Bo też obaj z moim drogim chłopcem mieliśmy jeden cel, a to: nie zmartwić jej, pokazać dobrą cenzurę, wywołać uśmiech szczęścia na jej usta.

Gdy mu się udało dostać dobry stopień, malec przychodził z klasy rozpromieniony i szczęśliwy. Zdawało mi się że w takich razach urósł nagle, że się rozkurczał; jego chmurne zwykle oczy śmiały się wówczas tą szczerą, dziecinną wesołością i świeciły jak dwa węgielki. Zrzucił natychmiast ze swoich wąskich pleców tornister przeładowany książkami i mrugając na mnie, mówił jeszcze w progę:

- Panie Wawrzyńkiewicz, mama będzie kontenta! Dostałem dziś z geografii... niech pan zgadnie ile?

A gdym udawał, że nie zgaduję, przybiegał do mnie z pyszną minką i zarzuciwszy mi ręce na szyję, mówił niby do ucha, ale bardzo głośno:

- Piątkę! naprawdę piątkę!

Były to dla nas obydwóch szczęśliwe chwile. Wieczorami w takie dni Michaś rozmarzał się i wyobrażając sobie, co to będzie, jeśli dostanie wszystkie stopnie celujące, gwarzył na wpół do mnie, na wpół do siebie samego:

- Na Boże Narodzenie pojedziemy do Zalesina: śnieg będzie padał - zwyczajnie jak w zimie - więc pojedziemy sankami. Przyjedziemy w nocy, ale o! mama będzie na mnie czekała, uściska mnie, ucałuje, a potem spyta o cenzurę. Ja zrobię smutną minę naumyślnie, a tu mama czyta: Z religii: celujący; z niemieckiego: celujący; z łaciny: celujący... same celujące! O! panie Wawrzyńkiewicz!

I biednemu chłopcu łzy stawały w oczach, a ja, zamiast go powstrzymywać, sam biegłem za nim zmęczoną wyobraźnią i przypominałem sobie dom w Zalesinie, jego powagę, spokój, tę wyższą, szlachetną istotę, która tam była panią, i szczęście, jakie jej sprawi powrót chłopca z celującymi w cenzurze.

Korzystałem z takich chwil i dawałem Michasiowi nauki, tłumacząc mu, że mamie chodzi bardzo o jego naukę, ale także o zdrowie, że więc nie powinien płakać, gdy go wyprowadzam na przechadzkę, sypiać tyle, ile mu każę, i nie upierać się przy nocnym siedzeniu. Rozrzewniony malec ścisnął mnie za szyję i powtarzał:

- Dobrze, mój złoty panie, będę zdrow, że aż strach, i Stanę się taki duży, że ani mama, ani mała Lola mnie nie poznają.

Odbierałem też często listy od pani Marii polecające mi, bym czuwał nad zdrowiem dziecka, ale z rozpaczą przekonywałem się co dzień, że pogodzić naukę ze zdrowiem było prawie niepodobieństwem. Gdyby przedmioty wykładane były za trudne, byłbym sobie poradził, cofnąwszy Michasia z klasy drugiej do pierwszej; ale on te przedmioty, jakkolwiek jałowe, doskonale pojmował; nie o naukę więc chodziło, tylko o czas i ten nieszczęsny niemiecki język, którym dziecko nie władało dostatecznie. Na to już nic nie mogłem poradzić i liczyłem jedynie, że gdy święta nadejdą odpoczynek wypełni te szczyby w zdrowiu chłopca, które czyniła nadmierna praca.

Gdyby Michaś był dzieckiem obojętniejszym, mniej bym się troszczył o niego; ale on prawie żywiej jeszcze odczuwał każde niepowodzenie niż pomyślność. Chwile radości i owych piątek, o których wspomniałem, rzadkie były na nieszczęście.

Tak nauczyłem się czytać w jego twarzy, że skoro tylko wszedł, od pierwszego rzutu oka poznawałem, gdy mu się nie powiodło.

- Dostałeś zły stopień? - pytałem.

- Tak jest!

- Nie umiałeś?

Czasem odpowiadał:

- Nie umiałem - częściej jednak: - Umiałem, ale nie mogłem powiedzieć.

Jakoż mały Owicki, prymus z klasy drugiej, którego naumyślnie sprowadziłem, aby się Michaś z nim uczył, mówił, że Michaś głównie dlatego dostaje złe stopnie, że się nie umie... wyjęzyczyć.

W miarę jak dziecko czuło się coraz więcej zmęczone umysłowo i fizycznie, takie niepowodzenia powtarzały się częściej. Zauważyłem, że gdy wyplakawszy się, siadał następnie do lekcji, cichy bywał i niby spokojny, ale w tej zdwojonej energii, z jaką zabierał się do zadań, było coś rozpaczliwego i gorączkowego zarazem. Czasem też szedł w kąt, ścisnął głowę obu rękoma i milczał: egzaltowany chłopiec wyobrażał sobie, że kopie grób pod nogami ukochanej matki, a nie wiedział, jak zaradzić temu, i czuł się po prostu w kole błędnym, z którego nie było wyjścia.

Jego nocne siedzenia stawały się coraz częstsze. Bojąc się, że gdy się obudzę, każę mu iść spać, wstawał cicho, po ciemku wynosił lampę do przedpokoju, tam ją zapalał i zasiadał do roboty. Zanim go na tym złapałem, kilka nocy przepędził w ten sposób między nieopalanymi ścianami. Nie miałem innej rady, jak wstać, zawołać go do pokoju i przerobić z nim raz jeszcze wszystkie lekcje, by go przekonać, że je umiał i że niepotrzebnie narażał się na przeziębienie. Ale on już sam w końcu nie wiedział, co umiał, czego nie umiał. Dziecko traciło siły, chudło, żółkło i zasepiało się coraz bardziej. Czasem trafiło się coś takiego, co przekonywało mnie, że nie sama jednak praca wyczerpywała jego siły. Raz, gdym wykladał mu historię, którą "Stryj synowcom opowiedział", co na żądanie pani Marii robiłem codziennie, Michaś zerwał się z zaskrzonymi oczyma, ja zaś przestraszyłem się prawie, ujrawszy badawczy i surowy wyraz jego twarzy, z jakim zawołał:

- Panie, więc to naprawdę nie bajka? bo...

- Bo co, Michasiu? - pytałem ze zdziwieniem.

Zamiast odpowiedzi zacisnął zęby, a w końcu wybuchnął płaczem tak namiętym, że długo nie mogłem go uspokoić.

Badalem Owickiego o przyczynę tego wybuchu: nie umiał lub nie chciał powiedzieć; domyśliłem się jednak sam. Nie było żadnej wątpliwości, że polskiemu dziecku trafiało się słyszeć w niemieckiej szkole wiele rzeczy, które raniły jego najgłębsze uczucia i które były wprost zaprzeczeniem albo pogardą i wydrwiwaniem z kraju, języka, ojczystych tradycji, słowem - ze wszystkiego, co w domu nauczano je czcić i kochać. Zdania takie ześlizgiwały się po innych chłopcach, nie zostawiając nic prócz głębokiej nienawiści do nauczycieli i całej ich rasy; ale chłopczyna tak uczciwy, jak Michaś, odczuwał je boleśniej; nie śmiał zaprzeczyć, choć może nieraz miał ochotę krzyknąć z bólu, ale burzył

się, zaciął zęby, gryzł i martwił. I tak do zmartwień, którymi karmiły go niepowodzenia i złe stopnie, przyrzuciła nieopisanej goryczy rozterka moralna, w jakiej żył ciągle. Dwie siły, dwa głosy, których słuchać jest obowiązkiem dziecka, ale które też właśnie dlatego winny być zgodne, szarpały Michasia w dwie przeciwne strony. Co jedna powaga nazywała białym, cnym, ukochanym, druga naznaczała piętnem strupienia i śmieszności; co jedna zwała cnotą, druga występkiem. Więc w tym rozwojeniu chłopiec szedł za tą powagą, do której rwało mu się serce, ale musiał udawać, że słucha i bierze do serca słowa przeciwne; musiał udawać od rana do wieczora i żyć w tym męczącym przymusie dni, tygodnie, miesiące... Co za położenie... dziecka!

Dziwny był los Michasia. Dramaty życiowe zaczynają się zwykle później, gdy pierwsze liście spadają z drzewa młodości; dla niego wszystko to, co składa się na nieszczęście: przymus moralny, tajona zgryzota, niepokój, daremne wysiłki, szamotanie się z trudnościami, stopniowa utrata nadziei, wszystko to poczęło się w jedenastym roku życia. Ani jego wątła postać, ani wątłe siły nie były w stanie sprostać temu ciężarowi. Upływały dni, tygodnie; biedak podwajał wysilenia, a skutek coraz był mniejszy, coraz bardziej oplakany. Listy pani Marii, jakkolwiek słodkie, przyrzuciły jeszcze wagi do brzemienia.

"Bóg Cię obdarzył, Michasiu, niezwykleymi zdolnościami - pisała matka - ufam więc, że nie zawiedziesz nadziei, jakie w tobie złożyłam, i że staniesz się krajowi i mnie pociechą."

Gdy chłopiec odebrał pierwszy raz taki list, chwycił mnie za ręce spazmatycznie i zanosząc się od płaczu, zaczął powtarzać:

- Co ja poradzę, panie Wawrzyńkiewicz, co ja mogę poradzić?

Istotnie, cóż mógł zrobić? cóż mógł poradzić na to, że nie przyszedł na świat z wrodzoną łatwością do języków i że nie umiał się po niemiecku wyjęzyczyć?

Nadeszły czasy rekreacji na Wszystkich Świętych;

cenzura kwartalna wcale była nieszczególna: z trzech najważniejszych przedmiotów miał mierne. Na jego najsilniejsze prośby i zakłęcia nie posłałem jej pani Marii.

- Drogi panie! - wołał złożywszy ręce - mama nie wie, że na Wszystkich Świętych dają stopnie, a do Bożego Narodzenia może Pan Bóg zmiłuje się nade mną.

Biedne dziecko łudziło się nadzieją, że jeszcze te złe stopnie poprawi, a co prawda, łudziłem się i ja. Sądziłem, że wdroży się w rutynę szkolną, że przywyknie do wszystkiego, że wprawi się w język i nabierze akcentu, a przede wszystkim, że coraz mniej czasu będzie potrzebował do nauki. Gdyby nie to, dawno bym był pisał do pani Marii i przedstawił jej stan rzeczy. Jakoż nadzieje zdawały się nie być próżne. Zaraz po Wszystkich Świętych Michaś dostał trzy stopnie celujące, z których jeden z łaciny. Ze wszystkich uczniów w klasie sam tylko wiedział, że od gaudeo czas przeszedł jest gavisus sum, a wiedział dlatego, że dostawszy poprzednio dwa celujące, pytał się mnie, jak po łacinie: "cieszę się". Myślałem, że chłopak zwariuje ze szczęścia. Napisał do matki list zaczynający się od słów:

"Mamusiu najdroższa! Czy ukochana moja wie, jak jest perfectum od gaudeo? pewno nie wie ani mama, ani mała Lola, bo w całej klasie ja tylko jeden wiedziałem."

Michaś po prostu ubóstwiał matkę. Od tego czasu co chwila wypytywał mnie o różne perfecta i participia. Utrzymać te celujące stało się teraz zadaniem jego życia. Ale .to był krótki blask szczęścia. Wkrótce fatalny akcent polski zburzył to, co wybudowała usilność, a nadmierna ilość przedmiotów nie

pozwalała dziecku poświęcać każdemu z nich tyle czasu, ile wymagała jego wysiłona pamięć. Wypadek przyczynił się jeszcze do powiększenia niepowodzeń. I Michaś, i Owicki zapomnieli mi powiedzieć o jednym zadaniu piśmiennym i nie odrobili go. Owickiemu to uszło, bo, jako prymusa, nawet nie spytano o nie, ale Michaś dostał publiczną naganę w szkole wraz z zagrożeniem, że zostanie usunięty.

Przypuszczano oczywiście, że utaił umyślnie przede mną zadanie, by go nie odrobić, a chłopiec, który był niezdolny do najmniejszego kłamstwa, nie miał sposobu przekonania o swej niewinności. Mógł wprawdzie powiedzieć w swojej obronie, że i Owicki zapomniał na równi z nim, ale na to nie pozwalał honor szkolny. Na moje zaręczenia Niemcy odpowiedzieli uwagą, że zachęcam chłopca do lenistwa. Kosztowało mnie to niemało-zmartwienia, ale więcej jeszcze niepokoju przyczynił mi widok Michasia. Wieczorem dnia tego widziałem go, jak ścisnąwszy głowę obu rękoma, szeptał myśląc, że go nie słyszę: "Boli! boli! boli!" List od matki, który nadszedł nazajutrz rano i w którym pani Maria obsypywała Michasia pieścizotami za owe celujące, był nowym dla niego ciosem.

- O, sprawię mamie ładną pociechę! - wołał, zakrywszy twarz dłońmi.

Następnego dnia, gdym mu zarzucił na plecy tornister z książkami, zatoczył się i mało nie upadł. Chciałem mu nie pozwolić iść do szkoły, ale mówił, że mu nic nie jest; prosił tylko, by go odprowadzić, bo się boi zawrotu głowy. Wrócił w południe z nowym miernym. Dostał go za lekcję, którą umiał doskonale, ale wedle tego, co mówił Owicki, załakł się i nie mógł słowa przemówić. Utwierdziła się o nim stanowcza opinia, że był to chłopiec przesiąknięty "wstecznymi zasadami i instynktami", tępy i leniwy.

Z dwoma ostatnimi zarzutami, o których wiedział, walczył, jak tonący z falą - rozpaczliwie, ale na próżno.

W końcu stracił wszelką wiarę w siebie, wszelką ufność we własne siły; doszedł do przekonania, że wysiłki i praca nadaremna, że on nigdy nie nabierze akcentu i musi się źle uczyć, a jednocześnie przedstawiał sobie, co na to powie matka, jaki to będzie dla niej ból, jak to może podkopać jej wątłe zdrowie.

Ksiądz z Zalesia, który czasem pisywał do niego, człowiek bardzo przychylny, ale nieogłębny, każdy list kończył słowami:

"Michaś tedy niech pamięta, że nie tylko radość, ale i zdrowie matki zależy od jego postępów w nauce i moralności." Pamiętał, pamiętał aż zanadto, bo nawet we śnie powtarzał żalonym głosem: "Mamo! mamoo!" - jakby jej błagał o przebaczenie.

Ale na jawie dostawał coraz gorsze stopnie. Tymczasem Boże Narodzenie zbliżało się szybko, i co do cenzury nie można się było już łudzić. Napisałem do pani Marii, chcąc ją o tym uprzedzić. Powiedziałem otwarcie i stanowczo, że dziecko jest słabowite a przeciążone, że mimo największej pracy nie może sobie dać rady i że prawdopodobnie od świąt trzeba je będzie odebrać ze szkół, trzymać na wsi i przede wszystkim wzmacniać jego zdrowie. Lubo z odpowiedzi uczułem, że jej miłość własna macierzyńska została cokolwiek zraniona, jednakże odpisała jak rozumna kobieta i kochająca matka. Nie mówiłem Michasiowi nic o tym liście i zamiarach odebrania go ze szkół, bom lękał się dla niego każdego silniejszego wzruszenia; wspomniałem tylko, że cokolwiek wypadnie, matka wie, że pracuje, i potrafi jego niepowodzenia wyrozumieć. Sprawilo mu to widoczną ulgę, bo się wyplakał długo i serdecznie, co mu się od pewnego czasu już nie zdarzało. Płacząc powtarzał: "Ile ja mamie sprawiam zmartwienia!" Jednakże na myśl, że wkrótce pojedzie na wieś, że zobaczy matkę i

małą Lolę, i Zalesin, i księdza Maszyńskiego, uśmiechał się przez łzy. Mnie także było pilno do Zalesina, bom już prawie nie mógł patrzeć na stan dziecka. Tam czekało na niego serce matki i życzliwość ludzka, i cisza, i uspokojenie. Tam nauka miała dla niego twarz swojską, życzliwą, nie obcą i odpychającą; tam cała atmosfera była swojska i czysta, którą dziecinne piersi mogły oddychać.

Wyglądałem więc dla niego świąt jak zbawienia i liczyłem na palcach chwile, które nas od nich przedzielały, a które Michasiowi coraz nowe przynosiły zgrzyzoty. Zdawało się, iż wszystko przeciw niemu się sprzysięga. Dla "tym większej" wprawy w język wykładowy dzieci miały polecenie nie używać nigdy innego między sobą. Michaś raz zapomniał się i dostał, jako demoralizujący innych, znów publiczną naganę. Było to już przed samymi świątami, więc tym więcej miało znaczenia. Jak wypadek ten odczuł dzieciak ambitny i wrażliwy - nie podejmuję się opisać: co za chaos musiał wytworzyć się w jego umyśle! Rwało się wszystko w tej dziecinnej piersi i przed oczyma widział zamiast światła - ciemność. Giął się też jak kłosa pod wiatrem. W końcu twarz tego jedenastoletniego dziecka przybrała wyraz po prostu tragiczny; wyglądał tak, jakby go za gardło dusił ustawicznie płacz i jakby gwałtem wstrzymywał szlochanie; chwilami oczy jego patrzyły jak oczy cierpiącego ptaka; potem opanowało go dziwne zamyślenie i senność; ruchy jego zrobiły się jakby bezwiedne, a głos dziwnie powolny. Stał się niezwykle cichy, spokojny i mechanicznie posłuszny. Gdym mu mówił, że czas na przechadzkę, nie opierał się, jak dawniej, ale brał czapkę i szedł za mną w milczeniu. Byłbym nawet kontent, gdyby to było zubożenie, ale widział, że pod jego pozorem kryła się wyegzaltowana, bolesna rezygnacja. Siadywał przy lekcjach, odrabiał zadania, jak i dawniej, ale więcej już z przyzwyczajenia. Znać było, że powtarzając mechanicznie koniugacje, myślał o czym innym albo raczej nie myślał o niczym. Raz, gdym się go spytał, czy już skończył wszystko, odpowiedział mi swoim powolnym głosem i jakby sennie: "Ja myślę, panie, że to się na nic nie zdało." Bałem się wspomnieć nawet przy nim o matce, by nie przepełniać tego kielicha goryczy, z którego piły jego dziecinne wargi.

Coraz więcej także niepokoiłem się o jego zdrowie, bo mizerniał ciągle i w końcu stał się prawie przezroczystry. Siatka delikatnych żyłek, która dawniej ukazywała mu się na skroniach, gdy się ożywił bardzo, uwidoczniła się teraz stale. Wypiękniał tak, że zrobił się prawie podobny do jakiegoś obrazu. Żał było patrzeć na tę główkę dziecinną, na wpół anielską, która sprawiała wrażenie wędzącego kwiatu. Na pozór niby nic mu nie było, ale nikał i tracił siły. Nie mógł już udźwignąć wszystkich książek w tornistrze, więc wkładałem mu tylko niektóre, resztę zaś nosiłem, bom teraz codziennie prowadził go i odprowadzał ze szkoły.

Święta wreszcie nadeszły. Konie z Zalesina czekały od dwóch dni, a list pani Marii, który przyszedł wraz z nimi, zapowiadał, iż nas tam wszyscy wyglądają z niecierpliwością. "Słyszałam, że ci, Michasiu, ciężko idzie - kończyła pani Maria - nie spodziewam się już celujących, chciałabym tylko, by i nauczyciele twoi myśleli tak jak ja, że uczyniłeś wszystko, co było w twojej mocy, i że dobrym sprawowaniem starałeś się wynagrodzić niedostateczne postępy."

Ale nauczyciele myśleli inaczej pod każdym względem, więc cenzura zawiodła i to oczekiwanie. Ostatnia publiczna nagana tyczyła się wprost sprawowania chłopca, o którym pani Maria miała także odmienne pojęcie. W opinii niemieckich profesorów to tylko dziecko dobrze się sprawowało, które płaciło śmiechem za ich drwiny z "polskiego zacofania", języka i tradycji. Skutkiem takich pojęć etycznych Michaś, jako nie dający widoków, by mógł na przyszłość słuchać z korzyścią wykładów, a zabierający na próżno miejsce innym, został usunięty ze szkoły. Przyniósł ten wyrok wieczorem. W mieszkaniu było już prawie ciemno, bo śnieg obfity padał na dworze, więcem nie mógł dojrzeć twarzy dziecka. Widziałem tylko, że poszedł do okna, stanął w nim i bezmyślnie, w milczeniu patrzył na płatki śnieżne, kręcące się w powietrzu. Nie zazdrościłem biedactwu myśli, które na kształt tych

płatków musiały mu tam kręcić się po głowie, ale wolałem z nim nie mówić o cenzurze i wyroku. W ten sposób upłynął nam kwadrans w przykrym milczeniu, a tymczasem ściemniło się prawie zupełnie. Zabrałem się do układania rzeczy w kuferek, widząc zaś, że Michaś stoi ciągle przy oknie, rzekłem wreszcie:

- Co tam robisz, Michasiu?

- Prawda - odparł głosem, który dygotał i zatrzymywał się na każdej sylabie - że mama siedzi teraz z Lolą w zielonym gabinecie przed ogniem i myśli o mnie?

- Być może. Czemu ci tak głos drży? czyś nie chory?

- Nic mi nie jest, panie, tylko mi bardzo zimno. Rozebrałem go i położyłem natychmiast do łóżka, a rozbierając patrzyłem z litością na jego wychudzone kolana i ręce tak cienkie jak źdźbła trzciny. Kazałem mu napić się herbaty i okryłem, czym było można.

- Ciepłej ci teraz?

- O, tak! Głowa mnie trochę boli.

Biedna głowa, miała od czego rozboleć. Zmęczone dziecko usnęło wkrótce i oddychało pracowicie przez sen swymi wąskimi piersiami, ja zaś skończyłem pakować jego i swoje rzeczy; potem, że także czułem się niezdrów, położyłem się zaraz. Zdmuchnąwszy świecę, Usnąłem prawie w tej samej chwili.

Koło trzeciej po północy obudziło mnie światło i jednostajne, dobrze mi znane mruczenie. Otworzyłem oczy i serce mi zabiło niespokojnie. Na stole paliła się lampa, przed stolikiem zaś nad książką siedział Michaś w jednej koszuli; policzki jego pałały, oczy były przymknięte, jakby dla lepszego nateżenia pamięci, głowa trochę w tył pochylona, senny zaś głos powtarzał:

- Coniunctivus; Amem, ames, amet, amemus, ametis...

- Michasiu!

- Coniunctivus: Amem, ames...

Szarpnąłem go za ramię:

- Michasiu!

Rozbudził się i począł mrugać oczyma ze zdziwieniem, patrząc na mnie, jakby mnie nie poznał.

- Co ty robisz? Co tobie, dziecko?

- Panie - odrzekł uśmiechając się - powtarzam wszystko od początku; muszę jutro dostać celujący...

Porwałem go na ręce i zaniosłem do łóżka; ciało jego parzyło mnie jak ogniem. Na szczęście doktor mieszkał w tym samym domu, sprowadziłem go więc natychmiast. Nie potrzebował się długo namyślać. Chwilę potrzywał puls dziecka, potem rękę położył na czole: Michaś miał zapalenie mózgu.

Ach! wiele rzeczy nie mogło mu się widocznie w głowie pomieścić.

Choroba przybrała szybko zatrważające rozmiary. Posłałem depeszę do pani Marii i na drugi dzień dzwonek, targnięty gwałtownie w przedpokoju, zwiastował mi jej przybycie. Jakoż otworzywszy

drzwi, ujrzałem ją bladą, pod czarnym kwefem, jak płótno; palce jej z niezwykłą siłą wsparły się na moim ramieniu i cała dusza wybiegła do oczu, utkwionych we mnie, gdy spytała krótko:

- Żyje?

- Tak. Doktor mówił, że jest lepiej.

Odrzuciła woal, na którym osiadł szron oddechu, i wbiegła do pokoju dziecka. Kłamałem. Michaś żył wprawdzie, ale nie było mu lepiej. Nie poznał nawet matki, gdy siadła przy nim i wzięła go za ręce. Dopiero gdy mu na głowie położył świeży lód, począł mrużyć powieki i usilnie wpatrywać się w schyloną nad nim twarz. Myśl jego natężyła się widocznie, walcząc z gorączką i obłędem, usta drgały, uśmiechnął się raz i drugi, a w końcu wargi jego wyszeptały:

- Mama!...

Ona chwyciła go za obie ręce i przesiadła tak przy nim kilka godzin, nie zrzuciwszy nawet podróznego ubrania. Dopiero gdy m zwrócił na to jej uwagę, rzekła:

- Prawda. Zapomniałam zdjąć kapelusz.

Gdy go zdjęła, serce ścisnęło mi się dziwnym uczuciem: oto między blond włosami, zdobiącymi tę młodą, piękną głowę, świeżyły gęsto srebrne nitki. Trzy dni temu może ich tam nie było jeszcze.

Zmieniała teraz sama okłady chłopcu i podawała lekarstwo. Michaś wodził za nią oczyma, gdziekolwiek się ruszyła, ale znowu jej nie poznawał. Wieczorem gorączka zwiększyła się. Deklamował w malignie dumę o Żółkiewskim ze Śpiewów Niemcewicza, chwilami przemawiał w języku wykładowym, to znów odmieniał rozmaite słowa łacińskie. Wychodziłem co chwila z pokoju, bom nie mógł tego słuchać. Gdy był jeszcze zdrów, uczył się w sekrecie ministrantury chcąc matce za przyjazdem na wieś sprawić niespodziankę - i teraz dreszcz mnie przejmował, gdy w ciszy wieczornej słyszał to dziecko jedenastoletnie, powtarzające przed śmiercią jednostajnym, gasnącym głosem: Deus meus, Deus meus, quare me repulisti et quare tristis incedo, dum affligit me inimicus!

Nie umiem powiedzieć, jakie tragiczne Wrażenie robiły te słowa. Była to Wigilia Bożego Narodzenia. Z ulicy dochodził gwar ludzki i brzęczenie dzwonek przy sankach. Miasto przybierało powierzchowność świąteczną i radosną. Gdy się ściemniło zupełnie, przez okna na drugiej stronie ulicy widać było choinkę jarzącą się od świeczek, pozawieszaną złotymi i srebrnymi, błyszczącymi orzechami, a naokoło niej główki dziecinne jasne i ciemne, z lokami rozwianymi w powietrzu, skaczące jak na sprężynach. Okna pały od światła, a całe wnętrze rozlegało się od krzyków radości i zdziwienia. Między głosami dochodzącymi z ulicy nie było innych jak wesołe i radość stawała się ogólną; tylko jeden nasz malec powtarzał, jakby z żalnością wielką: Deus meus, Deus meus, quare me repulisti? Pod bramą zatrzymali się chłopcy z szopką, i wkrótce doszedł nas ich śpiew: "W żłobie leży, któż pobieży." Noc Narodzenia zbliżała się, a myśmy drżeli, by to nie była noc śmierci.

Przez chwilę zdawało nam się jednak, że chłopiec oprzytomniał, bo zaczął wołać Loli i matki, ale to krótko trwało. Szybki jego oddech czasem ustawał zupełnie. Nie było się co ludzić! Ta mała dusza była już na wpół tylko między nami. Umysł jego już odleciał, a teraz on sam już odchodził w jakąś ciemną dalekość i nieskończoność i nie widział już nikogo, i nie czuł nic, nawet głowy matki, która leżała, jak martwa, na jego nogach. Zobojętniał i nie oglądał się już na nas. Każdy oddech jego piersi oddalał go i jakby zasuwiał w mrok. Choroba gasiła po kolei iskierkę po iskierce życia. Ręce dziecka, leżące na kółdrze, rysowały się już na niej z tą ciężką bezwładnością rzeczy martwych; nos jego zaostrzał się, a twarz nabierała jakiejś chłodnej powagi. Oddech tylko coraz był szybszy, a w końcu

stał się podobny do szeptu zegarka. Chwila jeszcze, jedno westchnienie, i ostatnie ziarnko piasku miało się zsypać z klepsydry: miał być koniec.

Koło północy zdawało się nam stanowczo, że już kona, bo zaczął chrapać i jęczeć, jak człowiek, któremu usta zalewa woda, a potem zamilkł nagle. Ale lusterko, które przyłożył mu doktor do ust, przesłaniało się jeszcze mgłą oddechu. W godzinę później gorączka zmniejszyła się nagle: myśleliśmy wszyscy, że już uratowany. Sam doktor miał niejaką nadzieję. Biednej pani Marii zrobiło się słabo.

W ciągu dwóch godzin coraz mu było lepiej. Nad ranem, że to już czwartą noc spędzałem przy malcu bezsennie i że kaszel dusił mnie coraz mocniej, wyszedłem do przedpokoju i położywszy się na sienniku, usnąłem. Obudził mnie głos pani Marii. Myślałem, że mnie woła, ale w ciszy nocnej usłyszałem wyraźnie: "Michasiu! Michasiu!" Włosy mi na głowie powstały, gdy zrozumiał ten straszny akcent, z jakim wołała na dziecko; zanim jednak się zerwałem, wbiegła sama do przedpokoju, ogarniając ręką świecę, i dygocącymi wargami wyszeptała:

- Michaś... umarł!

Pobiegłem co tchu do łóżka chłopca. Tak jest. Osadzenie głowy w poduszce, otwarte usta, oczy wbite nieruchomie w jeden punkt i stężłość wszystkich rysów nie zostawiały najmniejszej wątpliwości: Michaś umarł.

Nakryłem go kołdrą, którą matka, zrywając się z łóżka, zsunęła z jego wychudłych zwłok, i zamknąłem mu oczy, a potem musiałem długo cucić panią Marię. Pierwszy dzień świąt zszedł mi na przygotowaniach do pogrzebu, które były dla mnie straszne, bo ona nie chciała odstąpić zwłok, a ciągle jej sił brakło. Zemdlała, gdy ludzie przyszli brać miarę na trumnę, potem gdy zaczęto ubierać ciało, na koniec gdy ustawiano katafalk. Rozpacz jej stykała się co chwila z obojętnością służby pogrzebowej, przywykłej do takich widoków, i przechodziła prawie w obłęd. Sama układała heblowiny w trumnie pod atłasem, bredząc jak w gorączce, że dziecko będzie miało głowę za nisko. A Michaś leżał tymczasem na łóżku, ubrany już w nowy mundurek i białe rękawiczki, sztywny, obojętny i pogodny. Włożyliśmy w końcu ciało do trumny i ustawili na katafalku, a naokoło dwa rzędy świec. Pokój, w którym biedne dziecko tyle się naodmieniało słów łacińskich i naodrabiło zadań, zmienił się jakby w kaplicę, bo zamknięta okiennica nie puszczała światła dziennego, a żółty, migotliwy blask świec nadawał ścianom pozór jakiś kościelny i uroczysty. Nigdy też, od czasu jak dostał ostatnie celujące, nie widziałem u Michasia twarzy tak rozpogodzonej. Delikatny jego profil, zwrócony do sufitu, uśmiechał się łagodnie, jakby chłopiec w tej wieczystej rekreacji śmierci upodobał sobie i czuł się szczęśliwym. Migotania świec nadawały twarzy jego i temu uśmiechowi pozory życia i snu. Powoli chłopcy, koledzy jego, którzy nie powyjeżdżali na święta, poczęli się schodzić.

Oczy dzieci rozszerzały się ze zdziwieniem na widok świec, katafalku i trumny. Może te małe mundurki dziwiła powaga i rola kolegi. Oto niedawno był jeszcze między nimi, zginał się jak i oni pod ciężarem tornistra przeładowanego niemieckimi książkami, dostawał złe stopnie, odbierał połajania i nagany publiczne, miał zły akcent; każdy z nich mógł go pociągnąć za włosy lub za ucho; a teraz leżał taki wyższy od nich, uroczysty, spokojny, otoczony światłem; wszyscy zbliżali się do niego z szacunkiem i pewną trwogą - i nawet Owicki, choć prymus, niewiele wobec niego znaczył. Chłopcy, trącąc się łokciami, szeptali sobie, że teraz on już o nic nie dba, że gdyby nawet "Herr Inspektor" przyszedł, to on by się już nie zerwał, nie przestraszył, ale uśmiechałby się tak samo spokojnie; że on tam zupełnie, zupełnie może robić, co mu się podoba, hałasować, jak zechce, i mówić choćby po polsku do małych aniołków ze skrzydełkami pod szyją.

Tak szeptać zbliżali się do szeregu świateł i odmawiali "wieczny odpoczynek" Michasiowi...

Następnego dnia przykryto trumnę wiekiem, umocowano ją gwoździami i powieszono na cmentarz, gdzie grudki piasku pomieszane ze śniegiem wkrótce ją skryły przed moimi oczyma... na zawsze...

Dziś, gdy to piszę, upłynęło już od tego czasu blisko rok, ale pamiętam cię i żal mi Ciebie, mój mały Michasiu, mój kwiatku za wcześnie uwiędły! Miałeś zły akcent, ale serce poczciwe. Nie wiem, gdzie jesteś, czy mnie słyszysz, wiem tylko, że twój dawny nauczyciel kaszle coraz więcej, że mu coraz ciężiej, samotniej, i wkrótce może odejdzie, jak ty odszedłeś...

ZA CHLEBEM

I. NA OCEANIE - ROZMYŚLANIE - BURZA - PRZYBYCIE

Na szerokich falach oceanu kołysał się niemiecki statek "Blücher", płynący z Hamburga do New Yorku.

Od czterech dni był już w drodze, a od dwóch minął zielone brzegi Irlandii i wy dostał się na pełnię. Z pokładu, jak okiem dojrzeć, widać było tylko zieloną i szarą równinę, poraną w bruzdy i zagony, rozkołysaną ciężko, miejscami zapienioną, w dali coraz ciemniejszą i zlewającą się z widnokregiem pokrytym białymi chmurami.

Blask tych chmur padał miejscami i na wodę, a na tym tle perłowym odrzynał się wyraźnie czarny kadłub statku. Kadłub ten, zwrócony dziobem ku zachodowi, to wspinał się pracowicie na fale, to zapadał w głąb, jakby tonął; czasem nikał z oczu, czasem wzniesiony na grzbiecie bałwanu wynurzył się tak, że aż dno było mu widać, a szedł naprzód. Fala płynęła ku niemu, a on ku fali - i rozcinał ją piersiami. Za nim, jakby olbrzymi waż, gonił biały gościeńiec spienionej wody; kilka mew leciało za sterem, przewracając kozły w powietrzu i kwiląc jakby polskie czajki.

Wiatr był dobry: statek szedł połową pary, a natomiast rozpiął żagle. Pogoda znaczyła się coraz lepsza. Miejscami pomiędzy poszarpanymi chmurami widać było kawały błękitu nieba, zmieniające kształt ustawicznie. Od chwili, jak "Blücher" opuścił port hamburski, czas był wietrzny, ale bez burzy. Wiatr dął ku zachodowi, chwilami jednak ustawał: wówczas żagle opadały z łopotem, aby następnie znowu wydać się na kształt piersi łabędziej. Majtkowie, poubierani we włóczkowe obcisłe kaftany, ciągnęli linę dolnej rei wielkiego masztu i krzycząc żałośnie: "Ho-ho-o!", pochylali się i prostowali w takt do śpiewu, a wołania ich mieszały się ze świstem piszczałek miczmeńskich i z gorączkowym oddechem komina, wyrzucającego przerywane kłęby lub pierścienie czarnego dymu.

Korzystając z pogody pasażerowie powysypywali się na pokład. Na tyle okrętu widać było czarne paltoty i kapelusze podróżnych z pierwszej klasy; na przodzie pstrzyła się różnobarwna gawiedź emigrantów jadących pod pokładem. Niektórzy z nich siedzieli na ławkach paląc krótkie fajki, inni pokładli się, inni poopierani o burty spoglądali na dół w wodę.

Było i kilka kobiet z dziećmi na ręku i blaszanymi naczyniami, pouwiązywanyymi do pasa; kilku młodych ludzi przechadzało się wzdłuż od dzioba aż do pomostu, chwytając z trudnością równowagę i zataczając się co chwila. Ci śpiewali: "Wo ist das deutsche Vaterland!?" i może myśleli, że tego "Vaterlandu" nigdy już nie zobaczą, ale mimo to wesołość nie schodziła im z czoła. Pomiędzy wszystkimi ludźmi dwoje było najsmutniejszych i jakby od reszty odłączonych: stary mężczyzna i młoda dziewczyna. Oboje, nie rozumiejąc po niemiecku, byli prawdziwie samotni i wśród obcych. Kto oni byli - każdy z nas na pierwszy rzut oka by to odgadł: chłop polski.

Chłop nazywał się Wawrzon Toporek, a dziewczyna, Marysia, była jego córką. Jechali do Ameryki i przed chwilą po raz pierwszy ośmielili się wyjść na pokład. Na zbiedzonych chorobą ich twarzach malował się przestach i zdziwienie zarazem. Wylękłymi oczyma spoglądali na towarzyszków podróży, na majtków, na statek, na komin oddychający gwałtownie i na groźne wały wodne, ciskające grzywę

piany aż do burt statku. Nie mówili do siebie nic, bo nie śmieli. Wawrzon trzymał się jedną ręką za poręcz, drugą za czapkę rogatą, żeby mu jej wiatr nie zerwał, a Marysia trzymała się tatula i ile razy statek pochylił się mocniej, tyle razy przytulała się do niego silniej, wykrzykując po cichu ze strachu. Po niejakiem czasie stary przerwał milczenie:

- Maryś!

- A co?

- Widzisz?

- Widzę.

- A dziwujesz się?

- Dziwuję się.

Ale więcej się jeszcze bała, niż dziwiła; stary Toporek to samo. Szczęściem dla nich fala zmniejszała się, wiatr ustawał, a przez chmury przedarło się słońce. Gdy ujrzeni "słonko kochane", lżej im się zrobiło na sercu, bo sobie pomyśleli, że "ono takuteńkie jak w Lipińcach". Jakoż wszystko było dla nich nowym i nieznanym, tylko ten krąg słoneczny, jarzący a promienny, wydał im się jakby dawnym przyjacielem i opiekunem.

Tymczasem morze wyglądało się coraz więcej; po niejakiem czasie żagle opadły, z wysokiego pomostu rozległa się świstawka kapitana i majtkowie rzucili się je upinać. Widok tych ludzi zawieszonych jakby w powietrzu nad otchłanią przejął znów zdumieniem Toporka i Marysię.

- Nasze chłopaki nie potrafiliby tak - rzekł stary.

- Kiej Niemcy wleźli, to i Jaśko by wleźł - odparła Marysia.

- Który Jaśko?... Sobków?

- Gdzieta Sobków. Powiadam Smolak, koniucha.

- On je chwacki, ale ty go sobie z głowy wybij. Ni jemu do ciebie, ni tobie do niego. Ty jedziesz panią być, a on, jak był koniuchą, tak się i zostanie.

- On też kolonię ma...

- Ma, to w Lipińcach.

Marysia nie odrzekła nic, pomyślała sobie tylko, że co komu przeznaczone, to go nie minie, i westchnęła tęsknie, a tymczasem żagle były już upięte, natomiast śruba zaczęła tak silnie burzyć wodę, że aż cały statek drżał od jej ruchów. Ale kołysanie ustało prawie zupełnie. W oddali woda wydawała się już nawet gładką i błękitną. Coraz nowe postacie wydobywały się spod pokładu: robotnicy, chłopci niemieccy, próżniacy uliczni z różnych miast nadmorskich, którzy jechali do Ameryki szukać szczęścia, nie pracy; tłok zapanował na pomoście, więc Wawrzon z Marysią, by nie leżeć nikomu w oczy, usiedli na zwoju lin w samym kątku wedle dzioba.

- Tatulu, długo jeszcze pojedzie bez wodę? - pytała Marysia.

- Czy ja wiem. Kogo się spytasz, nikt ci nie odpowie po katolicku.

- A jakże my będziawa w Ameryce się rozmawiać?
- Albo to nie mówili, że tam naszego narodu chmara jest?
- Tatulu !
- Czego?
- Dziwować się, to się i dziwować, ale zawdyk w Lipińcach było lepiej.
- Nie bluźniłabyś po próżnicy.

Po chwili jednak Wawrzon dodał, jakby mówiąc sam do siebie:

- Wola Boża!...

Dziewczynie oczy nabrały łzami, a potem oboje zaczęli rozmyślać o Lipińcach. Wawrzon Toporek rozmyślał, dlaczego jechał do Ameryki, i jak się to stało, że jechał. Jak się stało? Oto przed pół rokiem w lato zajęli mu krowę z koniczyny. Gospodarz, który ją zajął, chciał trzy marki za szkodę. Wawrzon nie chciał dać. Poszli do sądu. Sprawa przewlokła się do wyroku. Poszkodowany gospodarz żądał już nie tylko za krowę, ale i za kosztą jej utrzymania, a kosztą rosły z każdym dniem. Wawrzon się upierał, bo żał mu było pieniędzy. Na sam proces wydał już niemało, wlokło się i wlokło. Kosztą ciągle rosły. Na koniec przegrał Wawrzon sprawę. Za krowę już się Bóg wie co należało; że zaś nie miał czym zapłacić, zajęli mu konia, a jego za opór skazali do aresztu. Toporek wił się już wąż, bo żniwa właśnie nadeszły, więc i ręce, i sprzężaj potrzebne były do roboty. Opóźnił się ze zwózką, potem też zaczęły padać deszcze; zboże porosło mu w snopach, więc pomyślał, że przez jedną szkodę w koniczynie cała jego chudoba pójdzie na marne, że stracił tyle pieniędzy, część inwentarza, całoroczny plon i że na przednówku chyba ziemię będą gryźli oboje z dziewczyną albo pójdą po proszonym chlebie.

Że zaś przedtem chłop był dostatni i dobrze mu się wiodło, zdjęła go tedy rozpacz straszna i począł pić. W karczmie poznał się z Niemcem, co się po wsiach niby o len zamawiał, a w rzeczy samej ludzi za morze wywodził. Niemiec powiadał mu cuda i dziwy o Ameryce. Ziemi obiecywał darmo tyle, ile w całych Lipińcach nie było - i z borem, i z łąkami, a chłopu aż się oczy śmiały. Wierzył i nie wierzył, ale Niemcowi Żyd pachciarz wtórował i mówił, że tam rząd daje ziemi każdemu, "ile by kto strzymał". Żyd to wiedział od swojego synowca. Sam Niemiec pokazywał pieniądze, jakich nie tylko chłopskie, ale i dziedzicowe oczy jako żywo nie widziały. Chłopa kusili, aż go skusili. A jemu tu po co zostawać? Toż za jedną szkodę stracił tyle, że parobka mógłby za to utrzymać. Mali się na zatracenie podawać? Mali wziąć w rękę kij z jeżem i śpiewać pod kościołem "Święta niebieska, Panno anielska"? - Nic z tego nie będzie, pomyślał. Niemca dłonią w dłoń uderzył, do świętego Michała się wyprzedził, córkę wziął i oto płynął teraz do Ameryki.

Ale podróż nie znaczyła mu się tak dobrze, jak się spodziewał. W Hamburgu obdarli ich bardzo z pieniędzy; na statku jechali we wspólnej sali pod pokładem. Kołysanie się statku i nieskończoność morską przerażały ich. Nikt go nie mógł zrozumieć ani on nikogo. Rzucano nimi obojgiem jak rzeczą jaką; popychano go jak kamień przy drodze; Niemcy towarzysze drwili z niego i z Marysi. W porze obiadowej, gdy wszyscy cisnęli się z naczyńiami do kucharza rozdającego strawę, ich odpychano na sam koniec, tak że i głodem przyszło nieraz przymrzeć. Było mu na tym statku źle, samotno, obco. Oprócz opieki Bożej nie czuł nad sobą innej. Miną przy dziewczynie nadrabiał, czapkę na bakier przekrzywił, kazał się dziwić Marysi i sam się dziwił wszystkim, ale nie ufał niczemu. Chwilami

ogarniała go obawa, że może te "pogany", jak nazywał towarzyszków, w wodę ich oboje wrzuca, może mu każą wiarę zmienić albo papier jaki podpisać, ba, choćby i cyrograf!

Sam ten statek, który szedł naprzód dzień i noc po bezmiarach morskich, który trząsał się, huczał, pieniał wodę, oddychał jak smok, a nocą ciągnął za sobą warkocz iskier ognistych, wydawał mu się jakąś siłą podejrzaną i wielce nieczystą. Dziecinne obawy, choć się do nich nie przyznawał, ścisnęły mu serce; bo też ten polski chłop, oderwany od ojczyznoznawstwa, był naprawdę dzieckiem bezradnym i naprawdę był na woli Bożej. Przy tym wszystko to, co widział, co go otaczało, nie mogło mu się w głowie pomieścić; więc nic dziwnego, że gdy siedział teraz oto na zwoju lin, głowa ta chyliła się pod brzemieniem ciężkiej niepewności i frasunku. Powiew morski grał mu w uszach i powtarzał jakby słowo "Lipińce! Lipińce!", czasem też poświstywał jakby lipinieckie fujarki; słońce mówiło: "Jak się masz, Wawrzonie? Byłem w Lipińcach", ale śruba burzyła wodę coraz gwałtowniej i komin oddychał coraz szybciej, głośniejszy, niby dwa złe duchy, które ciągnęły go dalej i dalej od Lipińca.

Tymczasem za Marysią płynęły inne myśli i wspomnienia, a płynęły jako on spieniony gościnniec lub jak mewy za okrętem. Wspominała oto, jako jesienią, późnym wieczorem, niedługo przed wyjazdem, poszła do studni, do żurawianej, w Lipińcach wodę brać. Pierwsze gwiazdy zamigotały już na niebie, a ona ciągnęła żurawia śpiewając: "Jasio konie poił - Kasia wodę brała" - i czegoś jej było tak tęskno, jakby jaskółce jakiej, co przed odlotem swiergocze żałośnie... Potem spod boru, spod ciemnego ozwała się przeciągle ligawka... A to Jaśko Smolak, koniucha, dawał znać, że widzi, jako się żuraw chyli i że zaraz nadejdzie z "potrawów". Jakoż zadudniało, nadszedł, zeskoczył ze żrebca, potrząsnął konopną czupryną, a co jej mówił, to wspominała jakby granie jakie. Przymknęła oczy i zdawało się jej, że Smolak znowu szepce do niej drgającym głosem:

- Kiej się twój tatulo uparli, to i ja zadatek dworski oddam, chałupinę sprzedam, kolonję sprzedam i pojedę. Maryś moja - mówił - gdzie ty będziesz, tam i ja żurawiem w powietrzu polecę, kaczorem wodą popłynę, złotym pierścieniem się po gościńcu potoczę, a znajdę cię, jedyna! Albo dola jakowa bez ciebie? Gdzie ty się obrócisz, tam i ja się obrócę; co się z tobą stanie, to stanie się i ze mną; jedno nam życie i jedna śmierć, a jakom ci tu nad tą wodą studzienną ślubował, tak mnie niech Bóg opuści, jeśli cię opuszczę. Maryś moja jedyna!

Wspominając te słowa Marysia widziała i oną studnię, i miesiąc wielki, czerwony nad borem, i Jaśka jakby żywego. Miała też w tym rozmyślaniu ulgę i pociechę wielką. Jasiek chłop był zawzięty, więc wierzyła, że co rzekł, to i spełni. Ot, chciałaby tylko, żeby teraz był przy niej i słuchał z nią razem morskiego szumu. Z nim by było weselej i raźniej, bo on się nikogo nie bał i radę sobie umiał wszędzie dać. Co on tam robił teraz w Lipińcach, kiedy już pierwsze śniegi spaść musiały? Czy do boru z siekierą pojechał, czy konie obrządzał, czy może go ze dworu z saniami gdzie posłali, czy przerebłę na stawie rąbał? Gdzie on jest teraz, serdeczny? Tu dziewczynie uwidziały się Lipińce całkiem takie, jak były: śnieg skrzypiący na drodze, zorza rumiana między czarnymi gałęziami bezlistnych drzew, stada wron ciągnące z krakaniem od boru ku wsi, dymy idące z kominów ku górze, zamarły żuraw przy studni, a w dali bór, od zorzy czerwony i śniegiem przytrząśnięty.

Hej! gdzie to ona teraz była, gdzie ją tatusiowa wola zawiodła! W dali, jak okiem sięgnąć, jeno woda i woda, zielonawe bruzdy i zapienione zagony, a na onych wodnych polach niezmiernych ten jeden okręt, ptak zabłąkany; niebo na górze, pustynia na dole, szum wielki i niby płkanie fal, i poświst wiatru, a tam, przed dziobem statku chyba dziewięta ziemia, chyba kraj świata. Jaśku nieboże! czy ty tam trafisz za nią, czy sokolem przez powietrze poleciesz, czy rybą przez wodę popłyniesz, czy ty o niej myślisz w Lipińcach?

Powoli słońce chyliło się ku zachodowi i zapadało w ocean. Na pomarszczonej fali uszał się szeroki słoneczny gościec, udzierzgał w łuskę złotą, mienił się, połyskiwał, świecił, płonął i ginał gdzieś na dalekościach. Okręt wpływający na tę wstęgę ognistą zdawał się gonić uciekające słońce. Dym buchający z komina stał się czerwony, żagle i wilgotne liny różowe, majtkowie zaczęli śpiewać, tymczasem promienny krąg stawał się coraz większy i coraz niżej zapadał w toń. Wkrótce połowę już tylko tarczy widać było nad falą, potem tylko promienie, a potem na całym zachodzie rozlała się jedna wielka zorza i już nie wiadomo było w tych blaskach, gdzie się kończy światłość fal, a zaczyna niebo, powietrze i woda, zarówno nasiąkłe światłem, które gasło stopniowo; ocean szumiał jednym wielkim, ale łagodnym szumem; jakby mrucał pacierz wieczorny.

W takich chwilach dusza dostaje skrzydeł w człowieku i co ma pamiętać - pamięta, co ukochał - kocha goręcej, za czym tęskni do tego leci. Wawrzon i Marysia uczuli też oboje, że choć ich tam wiatr niesie jako liście marne, przecie drzewo ich rodzime to nie ta strona, w którą jechali, ale tamta, z której odjechali: polska ziemia, ona zbożna, jednym łanem się kołysząca, borem zarośnięta, słomianymi strzechami upstrzona, pełna łąk od kaczęca złotych i wodą świecących, pełna bocianów, jaskółek, krzyżów przydrożnych, białych dworów wśród lip; ona, co czapką rogatą pod nogi ima, słowami: "Pochwalony!" wita, a "na wieki wieków" odpowiada; ona wielmożna, ona matka najśodsza, taka pocziwa, ukochana nad wszystkie inne na świecie. Więc czego ich chłopskie serca przedtem nie czuły, to teraz uczuły. Wawrzon zdjął czapkę, światło zachodnie padło na siwiejące włosy; myśl jego pracowała, bo biedak nie wiedział, jak ma Marysi to, co mu się zdawało, powiedzieć; nareszcie rzekł:

- Maryś, tak mi się widzi, jakby tam coś zostało za morzem.

- Dola ostała i kochanie ostało - odrzekła cicho dziewczyna wznosząc oczy jakby do pacierza...

Tymczasem ściemniło się. Podróżni zaczęli schodzić z pokładu. Na okręcie panował jednak ruch niezwykły. Po pięknym zachodzie nie zawsze noc bywa spokojna, dlatego świstawki oficerskie rozlegały się ustawicznie, a majtkowie ciągnęli liny. Ostatnie purpurowe blaski zgasły na morzu, a jednocześnie z wody podniosła się mgła; gwiazdy zamigotały na niebie i zniknęły. Mgła gęstniała w oczach, przesłaniając niebo, widnokrąg i sam okręt. Widać było tylko jeszcze komin i wielki maszt środkowy; postacie marynarzy wydawały się z daleka jakby cienie. W godzinę później wszystko ukryło się w białawym tumanie, nawet latarnia, którą zawieszono na szczycie masztu, nawet iskry, które wydychał komin.

Okręt nie kołysał się wcale. Rzekłby kto, że fala osłabła i rozlała się pod ciężarem mgły.

Noc zapadała prawdziwie ślepa i cicha. Nagle wśród tej ciszy z najdalszych krańców widnokregu ozwały się dziwne szmery. Był to niby ciężki oddech jakiejś olbrzymiej piersi, który się zbliżał. Chwilami zdawało się, że ktoś wołał z ciemności, potem ozwały się całe chorowody głosów, dalekie, a niezmiernie żalosne i jakby skarżące się płaczliwie. Nawoływania te biegły z ciemni i nieskończoności ku okrętowi.

Majtkowie słysząc takie gwary mówią, że to burza zwołuje z piekiel wiatry.

Jakoż zapowiedzi coraz były wyraźniejsze. Kapitan, odziany w gumowy płaszcz z kapturem, stanął na wyższym pomoście; oficer zajął swe zwykle miejsce przed oświetlonym kompasem. Na pokładzie nie było już nikogo z podróżnych. Wawrzon z Marysią zeszli także do wspólnej sali pod pokładem. Panowała w niej cisza. Światła lamp umocowanych w bardzo niskim sklepieniu oświetlały ponurym światłem wnętrze i gromadki emigrantów, siedzące wedle łóżek przy ścianach. Sala była duża, ale

posepna, jak zwykle sala czwartej klasy. Pułap jej schodził się prawie z bokami statku, dlatego owe łóżka na krańcach, poprzedzielane przepierzeniami, podobniejsze były do nor ciemnych niż do łóżek, a i cała sala robiła wrażenie jednej ogromnej piwnicy. Powietrze w niej było przesycone zapachem smolnego płótna, lin okrętowych, ropy morskiej i wilgoci. Gdzie tu szukać porównania z pięknymi salonami pierwszej klasy! Przejazd choćby dwutygodniowy w takich salach zatruwa płuca niezdrowym powietrzem, powleka wodnistą bladeścią skórę na twarzy i często prowadzi za sobą szkorbut. Wawrzon z dziewczyną jechali dopiero dni cztery, a jednak gdyby ktoś porównał dawną Marysię lipiniecką, zdrową, rumianą, z dzisiejszą wynędzniałą przez chorobę, ten by jej nie poznał. Stary Wawrzon też zżółkł jak wosk, ile że przez pierwsze dni nie wychodzili wcale oboje na pokład: myśleli, że nie wolno. Albo zresztą wiedzieli, co wolno, a co nie? Nie śmieli się prawie ruszyć, zresztą bali się odejść od rzeczy. Siedzieli i teraz nie tylko oni, ale i wszyscy przy swoich. Takimi węzłkami emigranckimi zarzucona była cała sala, co powiększało jej nieład i smutny widok. Pościel, ubranie, zapasy żywności, rozmaite narzędzia i naczynia blaszane, pomieszane z sobą, rozrzucone były w mniejszych i większych kupkach po całej podłodze. Na nich siedzieli emigranci, prawie sami Niemcy. Jedni żuli tytuń, inni palili fajki. Kłęby dymu odbijały się o niski pułap i układając się w długie pasma przesłaniały światło lamp. Kilkoro dzieci płakało po kątach, ale zwyczajny gwar ustał, bo mgła przejęła wszystkich jakimś smutkiem, obawą i niepokojem. Doświadczeni z emigrantów wiedzieli, że wróży burzę. Nikomu zresztą nie było już tajno, że niebezpieczeństwo, a może śmierć się zbliża. Wawrzon i Marysia nie mogli się w niczym zmiarkować, chociaż gdy kto drzwi na chwilę odemknął, słyhać było wyraźnie owe dalekie, złowróźbne głosy, idące z nieskończoności.

Siedzieli oboje w głębi sali, w najwęższym jej miejscu. Zatem niedaleko dzioba. Kołysanie było tam bardzo dokuczliwe, więc tam wepchnęli ich towarzysze podróży. Stary posilał się chlebem jeszcze lipinieckim, a dziewczyna, której przykrzyło się nic nie robić, zaplatała sobie na noc włosy.

Powoli jednak milczenie ogólne, przerywane tylko płaczem dzieci zaczęło ją dziwić.

- Czemu to Niemcy tak dziś cicho siedzą? - spytała.

- Czy ja wiem! - odpowiedział jak zwykle Wawrzon - musi to u nich święto jakie albo co...

Nagle statek wstrząsnął się silnie, zupełnie jakby się wzdrygnął przed czymś strasznym. Naczynia blaszane leżące koło siebie zadźwięczały posepnie, płomienie w lampach podskoczyły i błysnęły mocniej, kilka wystraszonych głosów zaczęło pytać:

- Co to jest? Co to jest?

Ale nie było odpowiedzi. Drugie wstrząśnienie, silniejsze od pierwszego, szarpnęło statkiem; dziób jego podniósł się nagle i równie nagle zniżył, a jednocześnie fala głucho uderzyła w okrągłe okienka jednego boku.

- Burza idzie! - szepnęła przestraszonym głosem Marysia.

Tymczasem zaszumiało coś koło statku, jak bór, którym wichur nagle pożenie, zawył, jakby stado wilków ryknęło. Wiatr uderzył raz i drugi, położył statek bokiem, a później okręcił nim naokoło, porwał go w górę i cisnął nim w otchłanie. Wiązania poczęły skrzypieć, blaszane naczynia, węzłki z rzeczami, tłumoki i narzędzia latały po podłodze, przewalane z kąta w kąt. Kilku ludzi padło na ziemię; pierze z poduszek jęło latać po powietrzu, a szkła w lampach zadźwięczały smutnie.

Rozległ się szum, łoskot, chlupotanie wody przelewającej się przez pokład, targanina statku, krzyk kobiet i płacz dzieci, gonitwa za rzeczami, a wśród tego zamieszania i chaosu słyhać było tylko

przeraźliwy świst piszczałek i od czasu do czasu głucho tupotanie majtków biegających po górnym pokładzie.

- Panienko Częstochowska! - szeptała Marysia.

Dziób okrętu, w którym oboje byli umieszczeni, wlatywał w górę, a potem spadał jak szalony. Mimo iż trzymali się krawędzi tapczanów, rzucało nimi tak, że chwilami uderzali o ściany. Ryk fal powiększał się, a skrzywienie pułapu stało się tak przeraźliwe, iż zdawało się, że lada chwila belki i deski pękną z trzaskiem.

- Trzymaj się, Maryś! - krzyczał Wawrzon, aby przekrzyczeć huk burzy, ale wkrótce twoga ścisnęła za gardło i jego, i innych. Dzieci przestały płakać, kobiety krzyczeć; wszystkie piersi oddychały tylko pośpiesznie, a ręce z wysileniem trzymały się różnych nieruchomych przedmiotów.

Wściekłość burzy rosła ciągle. Rozpętały się żywioły, mgła pomieszała się z ciemnością, chmury z wodą, wicher z pianą; fale były o statek jak z armat i rzucały nim na prawo, w lewo i od chmur aż do dna morskiego. Chwilami spienione grzywy bałwanów przechodziły całą jego długość; olbrzymie masy wody wrzały jednym straszliwym zamętem.

Olejne lampy zaczęły w sali gasnąć. Robiło się coraz ciemniej, więc Wawrzynowi i Marysi zdawało się, że to już przychodzi ciemność śmierci.

- Maryś! - począł chłop przerywanym głosem, bo mu oddechu brakło - Maryś, odpuść mi, zem cię na zgubę podań. Już nasza ostatnia godzina nadeszła. Nie będziewa my grzesznymi oczyma świata oglądali. Ni nam spowiedź, ni nam pomazanie, ni nam w ziemi leżeć, ino z wody na straszny sąd iść, niebogo.

A gdy tak mówił, Marysia zrozumiała, że nie ma już ratunku. Myśli różne przelatywały jej przez głowę, a w duszy krzychało coś:

- Jaśku, Jaśku serdeczny, czy ty mnie słyszysz w Lipińcach?!

I żal okrutny ścisnął jej serce tak, że poczęła szlochać głośno. Szlochania rozlegały się w tej sali, gdzie wszyscy ludzie milczeli jakby na pogrzebie jakim. . Jeden głos krzyknął z kąta: "Still!", ale umilkł, jakby przestraszony własnym dźwiękiem. Tymczasem szkło lampy znowu upadło na ziemię, a płomień zgasł. Zrobiło się jeszcze ciemniej. Ludzie zbijali się w jeden kąt, by być bliżej siebie. Trwoga milczenia panowała wszędzie, gdy nagle wśród ciszy rozległ się głos Wawrzona:

- Kirie elejzon.

- Chryste elejzon - odpowiedziała łkając Marysia.

- Chryste, wysłuchaj nas!

- Ojczy z nieba, Boże, zmiłuj się nad nami! - Mówili oboje litanię. W ciemnej sali głos starego i przerywane łkaniem odpowiedzi dziewczyny brzmiały z dziwną uroczystością. Niektórzy z emigrantów poodkrywali głowy. Powoli płacz dziewczyny ustał, głosy stały się spokojniejsze, czystsze. Z zewnątrz do wtóru im wyła burza.

Nagle krzyk się rozległ między stojącymi bliżej wejścia. Bałwan wybił drzwi i runął na salę: woda z szelestem rozpląnęła się po wszystkich kątach; kobiety poczęły wrzeszczeć i chronić się na łóżka. Zdawało się wszystkim, że to już koniec.

Po chwili wszedł oficer służbowy z latarką w rękę, cały mokry i zaczerwieniony. W kilku słowach uspokoił kobiety, że woda dostała się tylko wypadkiem, potem dodał, że ponieważ statek na pełnym morzu, niebezpieczeństwo nie jest wielkie. Jakoż upłynęła godzina, dwie. Burza srożyła się coraz wścieklej. Statek skrzypiał, zapadał nosem, osadzał pałubą, kładł się na boki, ale nie tonął. Ludzie uspokoiли się po trochu; niektórzy poszli spać. Upłynęło znów kilka godzin; do ciemnej sali przez górne okratowane okno poczęło się wdzierać szare światło. Dzień robił się na oceanie blade, jakby przestraszony, smutny, ciemny; ale przynosił jakąś otuchę i nadzieję. Odmówiwszy wszystkie modlitwy, jakie umieli na pamięć, Wawrzon i Marysia wczołgnęli się na swoje tapczany i usnęli głęboko.

Przebudził ich dopiero głos dzwonka wzywający na śniadanie. Ale nie mogli jeść. Głowy ciążyły im jakby ołowiem; stary jednak czuł się jeszcze gorzej od dziewczyny. W jego skostniałej głowie nie mogło się teraz nic pomieścić. Niemiec, który do Ameryki namawiał, mówił mu wprawdzie, że trzeba jechać przez wodę, ale on nigdy nie myślał, żeby przez tak wielką, że przez tyle dni i nocy. Myślał, że promem przejedzie, jako już nieraz w życiu przejeżdżał. Gdyby był wiedział, że morze tak ogromne, byłby został w Lipińcach. Prócz tego jeszcze jedna myśl kołatała się w nim niespokojnie: oto czy duszy swojej i dziewczyninej na zatracenie nie podawał, czy to nie grzech dla katolika z Lipiniec kusić Pana Boga i puszczać się na takie odmęty, przez które trzeba było już piąty dzień jechać do drugiego brzegu, jeśli w ogóle istniał jaki brzeg z drugiej strony? Wątpliwości jego i strach miały jeszcze rosnąć przez dni siedem; sama burza szalała jeszcze przez czterdzieści osiem godzin, potem jakoś się przetarło. Ośmielili się znów wyjść z Marysią na pokład, ale gdy ujrzeli zwały wody rozkołysanej jeszcze, czarnej i jakby rozzłoszczonej, owe góry mokre ciągnące na statek i bezdenne ruchome doliny, znowu pomyśleli, że ich chyba ręka Boża albo inna jaka siła, a nie moc ludzka, z tych przepaści wyratuje.

Wypogodziło się wreszcie zupełnie. Ale upływał dzień za dniem, a przed statkiem ciągle widać było tylko toń i toń bez końca, czasem zieloną, czasem błękitną, zlewającą się z niebem. Po onym niebie przelatywały chwilami wysoko małe jasne chmury, które poczerwieniawszy wieczorem kładły się spać na dalekim zachodzie. Okręt gonił za nimi wodą. Wawrzon naprawdę pomyślał, że chyba morze nie kończy się wcale, ale zebrał odwagę i postanowił się pytać.

Razu jednego zdjął rogatą czapkę i podjąwszy nią pokornie pod nogi przechodzącego majtka rzekł:

- Wielmożny panie, a prędko dobijewa do przewozu?

O dziwo! Majtek nie parsknął śmiechem, ale stanął i słuchał. Na posiekanej wiatrem i czerwonej twarzy jego znać było pracę pamięci jakichś wspomnień, które nie mogły od razu w świadomą myśl się ułożyć... Po chwili spytał:

- Was?

- Prędko dobijewa do lądu, wielmożny panie?

- Dwa dni! dwa dni! - powtarzał z trudnością marynarz, pokazując jednocześnie dwa palce.

- Dziękuję pokornie.

- Skąd wy?

- Z Lipiniec.

- Was ist das Lipiniec?

Maryś, która nadeszła w czasie rozmowy, zarumieniła się okrutnie, ale podniósłszy nieśmiało na majtkę oczy, rzekła ciekawym głosem, jako mówią dziewczynki wiejskie:

- My spod Poznania, proszę pana...

Majtek zaczął spoglądać w zamyśleniu na mosiężny gwóźdź łączący burty; potem spojrzął na dziewczynę, na jej jasną jak len głowę i coś, niby rozzerwienie, wybiło się na jego popękana twarz.

Po chwili rzekł poważnie:

- Ja byłem w Gdańsku... rozumiem po polsku... Ja Kaszuba... wasz Bruder, ale to dawno!... Jetzt ich bin Deutsch...

To rzekłszy, podniósł koniec linki, którą poprzednio trzymał w ręku, odwrócił się i wykrzyknął po marynarzku "ho! ho! o!", zaczął ją ciągnąć...

Odtąd, ilekroć Wawrzon z Marysią byli na pokładzie, ujrawszy ich uśmiechał się do Marysi przyjaźnie. Oni też radowali się bardzo, bo przecież mieli jakąś żywą duszę przychylną na tym niemieckim okręcie. Zresztą droga nie miała już trwać długo. Drugiego dnia rankiem, gdy wyszli na pokład, dziwny widok uderzył ich oczy. Oto ujrzeli z dala coś kołyszącego się na morzu, a gdy statek zbliżył się do tego przedmiotu, rozpoznali, że to była wielka czerwona beczka, którą fale poruszały łagodnie: w dali czerniała druga taka, trzecia i czwarta. Powietrze i woda były trochę zamglone, ale niezbyt, przy tym srebrne i łagodne, toń gładka, nie szumiąca, ale jak okiem sięgnął, coraz więcej beczek kołysało się na wodzie. Ptactwa też białego z czarnymi skrzydłami chmury całe leciały za statkiem z piskiem i krzykiem. Na pokładzie panował ruch niezwykły. Majtkowie przywdziali nowe kaftany; jedni myli pokład, inni czyścili mosiężne spojenia burt i okien, na maszcie wywieszono jedną chorągiew, a na tyle statku drugą, większą.

Ożywienie i radość ogarnęły wszystkich podróżnych. Co tylko żyło, wybiegło na pokład; niektórzy przynosili na wierzch tłumoki i poczęli na nich pasy przyciągać.

Widząc to wszystko Marysia rzekła:

- Pewnikiem dobijewa do lądu.

Duch lepszy wstąpił w nią i w Wawrzona. Aż tu na zachodzie pokazała się naprzód wyspa Sandy-Hok i druga z wielkim gmachem, stojącym w pośrodku, a w dali niby zgęstniała mgła, niby chmura, niby dymy jakieś pasmami po morzu rozwleczone, niewyraźne, dalekie, zmacone, bezkształtne... Na ich widok powstał gwar wielki; wszyscy wskazywali je rękoma, statek też zaświstał przeraźliwie, jakby z radości.

- Co to jest? - spytał Wawrzon.

- Nowy Jork - odrzekł stojący obok Kaszuba.

Wtem owe dymy poczęły jakby rozstępować się i ginać, a na ich tle, w miarę jak okręt pruł srebrną wodę, występowały zarysy domów, dachów, kominów; śpiczaste wieże rysowały się coraz wyraźniej na błękitnie, obok wież wysokie kominy fabryczne, nad kominami słupy dymów, rozwiane w puszyste kiście na górze. Na dole przed miastem las masztów, a na ich szczytach tysiące pstrych chorągiewek, którymi powiew morski migotał jakby kwiatami na łące. Okręt zbliżał się i zbliżał, śliczne miasto

wynurzyło się jakby spod wody. Wielka radość i zdumienie ogarnęły wówczas Wawrzona; czapkę zdjął, usta otworzył i patrzył, patrzył, a potem do dziewczyny:

- Maryś!

- O dlaboga!

- Widzisz?

- Widzę.

- A dziwujesz się?

- Dziwuję się.

Wawrzon jednak nie tylko już podziwiał, ale łaknął. Widząc zielone brzegi po obydwóch stronach miasta i ciemne smugi parków, mówił dalej :

- A no! Chwalić Boga! Żeby jeno dali ziemię zara kiele miasta z tą ono łączką, bliżej by było na targ. Przyjdzie jarmark: krowę pognasz, świnie pognasz, to i sprzedasz. Narodu tu widać jak maku. Ja że w Polsce chłop, a tu będę pan...

W tej chwili przepyszny "National-Park" rozwinął się przed jego oczyma w całej swej długości. Wawrzon, ujrawszy owe grupy i bukiety drzew, rzekł znowu:

- Pokłonię się wielmożnemu komisarzowi od rządu nisko, przymówię się zrećnie, żeby mi choć z dwie włóki tego boru podarował, a na reszcie zbiórkę. Kiej dziedzictwo to dziedzictwo. Parobka się z drzewem rano do miasta pośle. Chwała Najwyższemu, bo widzę, że mnie Niemiec nie zdurzył...

Marysi też jakoś się państwo uśmiechała i sama nie wiedziała, czemu do głowy przyszła jej piosenka, jaką w Lipińcach panny młode na weselach panom młodym śpiewały:

Cóżeś to za pan?

Cóżeś to za pan?

Cała twoja sukienicyja

Czapka i zupan.

Czy może już miała zamiar zaśpiewać coś podobnego biednemu Jaškowi, gdy za nią przyjedzie, a ona będzie już dziedziczką? Tymczasem od kwarantanny przyleciał do okrętu mały statek. Czterech czy pięciu ludzi weszło na pokład. Zaczęły się rozmowy i nawoływania. Wkrótce drugi statek nadpłynął z samego już miasta przywożąc agentów z hotelów i boarding-housów, przewodników, ludzi wymieniających pieniądze, agentów kolejowych: wszystko to krzyczało wniebogłosy, popychało, kręciło się po całym pokładzie. Wawrzon i Marysia wpadli jakby we młyn jaki i nie wiedzieli, co począć.

Kaszuba poradził staremu, by zmienił pieniądze, i obiecał, że nie da go oszukać, więc też Wawrzon to uczynił. Za to, co miał, dostał czterdzieści siedem dolarów srebrem. Nim wszystko to się odbyło,

okręt zbliżył się tak do miasta, że już widać było nie tylko domy, ale i ludzi stojących na bulwarku, potem mijał co chwila różne statki większe i mniejsze, na koniec dotarł do warfów i zsunął się w wąski dok portowy.

Podróż była skończona.

Ludzie zaczęli wysypywać się ze statku jak pszczoły z ula. Przez wąski mostek położony od burt do brzegu płynęła ich cizba różnobarwna: pierwsza klasa, potem druga, a podpokładowi, obładowani rzeczami, na ostatku. Gdy Wawrzon i Marysia, popychani przez tłum, zbliżyli się do otwartej burty, znaleźli przy niej i Kaszubę. Uścisnął silnie rękę Wawrzona i rzekł:

- Bruder, życzę glücku! tobie dziewczko! Bóg wam dopomóż.

- Panie Boże zapłać! - odrzekli oboje, ale nie było czasu na dłuższe pożegnanie. Cizba popchnęła ich po pochyłym mostku i za chwilę znaleźli się w obszernym celniczym budynku.

Celnik, ubrany w szary surdut ze srebrną gwiazdą, poszczypał ich pakunki, potem krzyknął: "All right", i ukazał na wyjście. Wyszli i znaleźli się na ulicy.

- Tatulu! a co będziesz robić? - spytała Marysia.

- Musiwa czekać. Niemiec powiedział, że zara tu nadejdzie od rządu komisarz i będzie się o nas pytał.

Stanęli więc pod ścianą czekając na komisarza, a tymczasem otoczył ich gwar nieznanego, ogromnego miasta. Nie widzieli nigdy nic podobnego. Ulice biegły proste, szerokie, a po ulicach tłumy ludu jakby w czasie jarmarku; środkiem karety, omnibusy, wozy ładowne. Naokół brzmiała dziwna, nieznaną mowa, rozlegały się krzyki robotników i przekupniów. Co chwila przesuwali się ludzie zupełnie czarni o wielkich kędzierzawych głowach. Na ich widok Wawrzon z Marysią żegnali się pobożnie. Dziwne jakieś wydawało się im to miasto, takie gwarne, hałaśliwe, pełne świstu lokomotyw, hurkotu wozów i nawoływań ludzkich. Wszyscy tam biegli tak prędko, jakby gonili kogoś lub przed kimś uciekali, a jakie przy tym mrowie narodu, jakie dziwne twarze; to czarne, to oliwkowe, to czerwonawe. Właśnie tam, gdzie stali, koło portu panował ruch największy; z jednych okrętów zdejmowano paki i na drugie je wkładano, wozy zajeżdżały co chwila, taczki dudniły po mostkach, rwetes i rozgardiasz panował jak w tartaku.

Upłynęła w ten sposób jedna godzina i druga; oni stojąc pod ścianą czekali na komisarza.

Dziwny widok przedstawiał na amerykańskim brzegu w Nowym Jorku ten chłop polski o długich, siwiejących włosach, w rogatej czapce z barankiem i ta dziewczyna z Lipiniec, ubrana w granatową przyjaciółkę, z paciorkami na szyi.

Ludzie jednak przechodzili koło nich nawet nie spojrzawszy. Tam nie dziwią się żadnym twarzom ani żadnym ubiorom.

Upłynęła znowu godzina. Niebo powlokło się chmurami, zaczął padać deszcz pomieszany ze śniegiem, od wody zaciągnął zimny, wilgotny wiatr...

Oni stali czekając na komisarza.

Chłopska natura była cierpliwa, ale coś im zaczęło się robić ciężko na duszy.

Samotnie im było na okręcie, wśród obcych ludzi i pustoszy wodnej źle i straszno. Modlili się do Boga, by ich przeprowadził jako zbłąkane dzieci przez morskie odmęty. Myśleli, że tylko nogą na ziemi stanąć, a skończy się ich niedola. Teraz oto przyjechali, byli wśród wielkiego miasta, ale w tym mieście wśród gwaru ludzkiego poczuli nagle, że im jeszcze samotniej i straszniej, niż było na okręcie.

Komisarz nie nadchodził. Co poczną, jeśli wcale nie nadejdzie, jeśli Niemiec ich zwiódł?

Zadygotały trwogą na tę myśl biedne chłopskie serca. Co poczną? Po prostu - zginą.

Tymczasem wiatr przejmował im odzież, deszcz ich moczył.

- Maryś, czy ci nie zimno? - spytał Wawrzon.

- Zimno, tatulu - odpowiedziała dziewczyna.

Jeszcze jedną godzinę wybiły zegary miejskie. Mroczyło się na świecie. Ruch w porcie ustawał, na ulicach zapalono latarnie: jedno morze rześzystych świateł zapłonęło w całym mieście. Robotnicy z portu, śpiewając ochrypłymi głosy: Yankee Doodle, ciągnęli w mniejszych i większych gromadach do miasta. Powoli bulwark opustoszał zupełnie. Budynek celniczy zamknięto.

Oni stali czekając na komisarza.

Wreszcie zapadła noc i w porcie zrobiła się cisza. Od czasu do czasu

tylko ciemne kominy statków rzucały z sykiem snopy iskier, które gasły w ciemnościach, lub zabełkotała fala uderzając o bulwark kamienny. Czasem rozległa się piosnka pijanego majtka, wracającego na okręt, światła lamp bladły we mgle. Oni czekali.

Choćby i nie chcieli czekać, dokąd mieli pójść, co począc, gdzie się obrócić, gdzie przytulić umęczone głowy? Zimno przejmowało ich coraz dotkliwiej, poczał dokuczać im głód. Gdyby choć dach im nad głowę, bo przemokli do koszuli. Ach! komisarz nie przyszedł i nie przyjdzie, bo takich komisarzy wcale nie ma. Niemiec był agentem kompanii przewozowej, brał procent od sztuki i o niczym więcej nie wiedział.

Wawrzon uczuł, że nogi chwieją się pod nim, że jakiś olbrzymi ciężar włacza go w ziemię, że chyba gniew Boży zawisnął nad nim.

Cierpiał i czekał, jak tylko chłop potrafi. Głos dziewczyny dygocącej od zimna obudził go jakby z odurzenia...

- Tatulu!

- Cichoj! Nie ma miłosierdzia nad nami!

- Wróćwa do Lipiniec...

- Idź się utop...

- Boże, Boże! - szeptała cicho Marysia.

Wawrzona zdjął żal.

- Sieroto, niebogo!... niechby Bóg zlitował się choć nad tobą...

Ale już go nie słyszała. Oparłszy głowę o ścianę przymknęła powieki. Przychodził sen, przerywany, ciężki, gorączkowy, a we śnie jakby obrazek w ramkach: Lipińce i coś niby piosenka Jaśka koniuchy:

Cóżeś za pani?

Cóżeś za pani?

Cała twoja sukienicyja

Wianek ruciany.

Pierwsze blaski dzienne w porcie nowojorskim padły na wodę, na maszty i na budynek celniczy.

W szarym tym świetle odróżnić było można dwie postacie śpiące pod ścianą, o wybladłych, zsiniałych twarzach, przytrząśnięte śniegiem, nieruchome, jakoby martwe. Ale w księdze ich niedoli pierwsze dopiero kartki zostały odwrócone, dalsze opowiemy następnie.

II. W NOWYM JORKU

Schodząc w Nowym Jorku z szerokiej ulicy Broadway ku portowi w kierunku Chattam-square i przeszedłszy kilkanaście ulic przyległych, podróżnik trafia na część miasta coraz biedniejszą, bardziej opuszczoną i posepną. Uliczki stają się coraz węższe. Domy, budowane może jeszcze przez osadników holenderskich, porysowały się i pokrzywiły z biegiem czasu: dachy na nich zakłęśły, tynk poodpadał z murów, same zaś mury zapadły w ziemię tak, że okna suterren zaledwie górnym brzegiem wystają ponad bruk uliczny. Dziwne krzywizny zastępują tu miejsce ulubionych w Ameryce linii prostych; dachy i ściany, nie wyciągnięte pod sznur, kupią się i piętrzą jedno nad drugie rozczochraną dachówką.

Z powodu nadbrzeżnego położenia tej części miasta kałuże w wybojach ulicznych nie wysychają tu prawie nigdy, a małe, szczelnie obudowane place podobne są do sadzawek napełnionych gęstą, czarną i stojącą wodą. Okna odrapanych domów ponuro przeglądają się w tej wodzie, której plugawa powierzchnia pstrzy się strzępami papieru, tektury, kawałkami szkła, drzewa i blachy od pak okrętowych; podobnymi strzępami zarzucone są całe ulice, a raczej cała pokrywająca je warstwa błota. Wszędzie widać tu brudy, nieład i nędzę ludzką.

W tej to dzielnicy znajdują się "boardinghousy" czyli zajazdy, w których za dwa dolary tygodniowo można dostać nocleg i całkowite utrzymanie; tu także szynkowanie, czyli "bar-roomy", w których wielorybnicy werbują wszelkiego rodzaju drapichrustów na swe statki; pokątne agencje wenezuelskie, ekwadorskie i brazylijskie, celem namawiania do kolonizacji równika i dostarczania febrze przyzwoitej liczby ofiar; garkuchnie żywiące swych gości mięsem solonym, zgniłymi ostrygami i rybami, które zapewne sama woda wyrzuca na piasek; tajne domy gry w kości, pralnie chińskie, rozmaite przytułki dla marynarzy; tu na koniec jaskinie zbrodni, nędzy, głodu, łez.

A jednak część ta miasta ruchliwa, cała bowiem emigracja, która nie znajduje chwilowego nawet pomieszczenia w koszarach Castle-Garden, a nie chce lub nie może pójść do tak zwanych, "workinghousów", czyli domów wyrobniczych, skupia się tu, mieszka, żyje i umiera. Z drugiej strony powiedzieć można, że jeśli emigracja jest szumowinami społeczeństw europejskich, to mieszkańcy owych zaułków są szumowinami emigracji. Ludzie ci próżnują po części dla braku roboty, a po części z zamiłowania. Tu też nocami dość często rozlegają się rewolwerowe strzały, wołania o pomoc, ochryple krzyki wściekłości, pijackie śpiewy irlandzkie lub wycia bijących się z sobą na głowy Murzynów. Dniem co chwila całe kółka włóczęgów w obdartych kapeluszach, z fajkami w zębach przypatrują się pięściowym wałkom, zakładając się przy tym od centa aż do pięciu za każde wybite oko. Dzieci białe i małe Murzynki o kręconych czuprynach zamiast spędzać czas w szkole włóczą się po ulicach, klekocąc kawałkami żeber wołowych lub szukając w błocie resztek warzywa, pomarańcz i bananów; wychudłe kobiety irlandzkie wyciągają ręce do lepiej ubranego przechodnia, jeśli się tam zabłąka.

W takiej gehennie ludzkiej odnajdujemy dawnych znajomych naszych: Wawrzona Toporka i córkę jego, Marysię. Dziedzictwo, którego się spodziewali, było snem i jak sen pierzchło, a rzeczywistość przedstawia się nam oto w kształcie ciasnej izby, zakłęśniętej w ziemi, o jednym oknie z powybijanymi szybami. Na ścianach izby czernieje plugawa pleśń i smugi wilgoci; przy ścianie stoi zardzewiały i dziurawy piecyk żelazny i stołek o trzech nogach; w kącie trochę słomy jęczmiennej zastępuje łóżko.

To wszystko. Stary Wawrzon klęcząc przed piecykiem szuka, czy w wygasłym popiele nie schował się gdzie jaki kartofel i do tego szukania wraca co chwila nadaremnie już... drugi dzień; Marysia zaś siedzi na słomie i otoczywszy rękoma kolana patrzy nieruchomie w podłogę. Dziewczyna chora jest i wynędzniała. Ta sama to niby Marysia, ale jej rumiane niegdyś policzki zapadły głęboko, cera stała się blada i chorobliwa, cała twarz jakby drobniejsza niż dawniej, a oczy wielkie i zapatrzone. Znać na jej twarzy wpływ zgniętego powietrza, zgryzoty i nędznego pożywienia. Żywili się tylko kartoflami, ale od dwóch dni już i kartofli zabrakło. Wcale teraz nie wiedzą, co robić będą i czym żyć dalej. Trzeci miesiąc upływa, jak mieszkają na bruku i siedzą w tej jamie, więc pieniędzy zabrakło. Stary Wawrzon próbował o robotę pytać, ale nie zrozumiano nawet, czego chce; chodził do portu dźwigać pakunki i ładować węgiel na okręty, ale nie miał tacek, a zresztą Irlandczycy podbili mu zaraz oczy; chciał się z siekierą do budowy doków przyczepić, podbito mu znowu oczy. Przy tym co to za robotnik, który nie pojmuje, co do niego mówią!? Gdzie wetknął ręce, do czego chciał się wziąć, dokąd się udał, wyśmiewano go, odpychano, potracano, bito; więc nic nie znalazł, znikąd grosza nie mógł zarobić ani wyprosić. Włosy zbieleły mu ze zgryzoty, wyczerpała się nadzieja, skończyły się pieniądze, a zaczął się głód.

W kraju, między swoimi, gdyby i stracił wszystko, gdyby znękała go choroba, gdyby dzieci wyгнаły go z chałupy, to... kosztur by mu tylko wziąć do ręki, stanąć pod krzyżem na rozdrożu albo przy drzwiach jakiego kościoła i śpiewać: "Boże łaskawy, przyjmij płacz krwawy". Pan by przejechał, dałby dziesiątkę; pani z powozu dziecko by wysłała z pieniądzem w różanej rączce i z wielkimi wpatrzonymi w dziada oczyma; chłop by pół bochenka chleba dał, baba szperkę i można by żyć, choćby jak ptak, który ani sieje, ani orze. Przy tym jakby tak pod krzyżem stał, miałby nad sobą jego ramiona, w górze niebo, a naokoło pola i w onej ciszy wiejskiej Pan Bóg usłyszałby jego śpiewanie. A tu w tym mieście huczało coś tak strasznie, jakby w jakiejś wielkiej maszynie, tak każdy rwał się naprzód, tak patrzył tylko przed siebie, że cudzej niedoli nikt nie dojrzał. Tu głowę zawrót po prostu brał, ręce opadały, oczy nie mogły pomieścić wszystkiego, co w nie lazło, a myśl jedna drugiej dogonić. Tu wszystko było jakies dziwne, obce, odtrącające i takie rozpędzone, że każdy, co się nie umiał w tym wirze kręcić, musiał wylecieć z koliska i rozbić się siłą pędu jako gliniany garnek.

- Hej! co za różnica! Oto w spokojnych Lipińcach Wawrzon był gospodarzem i ławnikiem, kolonię miał, szacunek ludzki, pewną łyżkę stawy każdego dnia, w niedzielę przed ołtarz ze świecą wychodził; a tu był ostatni między wszystkimi, był jak pies przybłąda na cudzym podwórku, nieśmiały, drżący, skulony i zgłodniały. W początkowych dniach niedoli często wspomnienia mówiły: "Lepiej ci było w Lipińcach". Sumienie krzyczało: "Wawrzon, czemuś opuścił Lipińce?" Czemu? Bo go Bóg opuścił. Niósłby chłop swój krzyż, cierpiałby, gdyby przed nim był gdzieś koniec onej drogi krzyżowej; wiedział jednak dobrze, że każdy dzień będzie coraz sroższym dopustem i każdego ranka słońce coraz większą nędzę jego i dziewczyniną oświeci. Więc co? Ma-li ukrećć powróż, zmówić pacierz i powiesić się? Chłop nie mruży oczu przed śmiercią, ale co się stanie z dziewczyną? Gdy o tym wszystkim myślał, to czuł, że go nie tylko Bóg opuścił, ale i rozum opuszcza. Nie było żadnego światła w tej ciemności, którą przed sobą widział, a największego bólu nawet nazwać nie umiał.

Tym największym była tęsknota za Lipińcami. Dręczyła go dniem i nocą, a dręczyła tym straszniej, że nie wiedział, co to jest, czego mu trzeba, do czego się dusza w nim chłopska rwie i wije z męki: a jemu potrzeba było boru sosnowego, pól i chałup słomą krytych, i panów, i chłopów, i księży, i tego wszystkiego, nad czym się szmat rodzinnego nieba zwiesza, a do czego jak serce przywrze, to się nie oderwie, a oderwie się, to się krwawi. Chłop czuł, że go coś jak w ziemię wgniata. Chwilami rad był się porwać za włosy i głową tłuc o mur albo rzucić się na ziemię, albo wyć jak pies na łańcuchu, albo wołać niby w obłąkaniu - kogo? - sam nie wiedział. Oto już gniew się pod tym nieznanym brzemieniem, już opada, a tu miasto obce huczy i huczy; on jęczy i wzywa Jezusa, a tu krzyża nigdzie nie ma, nikt nie odpowiada, tylko miasto huczy i huczy, a na tapczanie siedzi dziewczyna z oczyma wpatrzonymi w ziemię, zgłodniała i cierpi cicho. Dziwna rzecz! Siedzieli z dziewczyną ciągle razem i często po całych dniach jedno ani słowem nie ozwało się do drugiego. Żyli jakby w urazie wielkiej. Żle i ciężko im było tak żyć, ale o czymże mieli mówić? Ran jątrzących się lepiej nie tykać. Chyba o tym, że nie ma już ani pieniędzy w kieszeni, ani kartofli w piecu, ani rady w głowie.

Pomocy też nie doznali od nikogo. Polaków żyje w Nowym Jorku bardzo wielu, ale zamożniejszy nikt nie mieszka w okolicach Chattam-square. W drugim tygodniu po przybyciu poznali wprawdzie dwie rodziny polskie, jedną ze Śląska, drugą spod samego Poznania, ale i one już od dawna głodem marły. Ślązakom umarło już dwoje dzieci, trzecie było chore, a jednak od dwóch tygodni już sypiało wraz z rodzicami pod arkadą mostu, wszyscy zaś żywili się tylko tym, co na ulicach znaleźli. Później też wzięto ich do szpitali i nie wiadomo, co się z nimi stało. Drugiej rodzinie również źle się działo, a nawet gorzej jeszcze, bo ojciec pił. Marysia ratowała kobietę, póki mogła, ale teraz sama potrzebowała poratowania.

Mogli wprawdzie oboje z ojcem, udać się do kościoła polskiego do Hoboken. Ksiądz by przynajmniej dał innym o nich znać, lecz alboż wiedzieli, czy jest jaki kościół lub jaki polski ksiądz, alboż mogli się z kim rozmówić, kogoś zapytać? W ten sposób każdy wydany cent był dla nich jakby stopniem po schodach prowadzących w otchłań nędzy.

Siedzieli w tej chwili, on przy piecyku, ona na słomie. Upłynęła jedna godzina i druga. W izbie robiło się coraz ciemniej, bo choć to było w południe, ale mgła wstawała z wody jako zwyczajnie wiosenną porą, mgła ciężka, przejmująca. Mimo że na dworze było już ciepło, oboje drżeli w izbie od chłodu; wreszcie Wawrzon stracił nadzieję, żeby co znalazło się w popiele.

- Maryś! - rzekł - nie mogę już wytrzymać i ty nie wytrzymasz; pójdę nad wodę drzewa nałapać; napaliwa choć w piecu, a może znajdę co zjeść.

Nie odrzekła nic, więc poszedł. Nauczył się już chodzić do portu i wylawiać kawałki desek od pak i skrzyń okrętowych, które woda na brzeg wyrzuca. Tak robią wszyscy, którzy nie mają za co węgla kupić. Często go tam poszturchali przy tym połowie, ale często nie; czasem trafiało się znaleźć i co do zjedzenia, jakie resztki zepsutego warzywa, wyrzucanego ze statków, a przy tym, gdy ot, chodził tak we mgle i szukał, czego nie zgubił, to chwilami zapominał o swej niedoli i o tej tęsknocie, która go najbardziej ze wszystkiego trawiła. Przyszedł wreszcie nad wodę, a że to była pora "lunchu", więc nad brzegiem kręciło się tylko kilku małych chłopaków, którzy zaczęli wprawdzie zaraz krzyczeć na niego, rzucać czarnym błotem i muszlami, ale nie mogli go obić. Deszczulek różnych kołysało się sporo na wodzie: jedna fala je przynosiła, druga odnosiła na głębiej. Wkrótce nałapał ich dosyć.

Chwiały się także kupki jakiejś zieloności na fali; może było w nich i co do zjedzenia, ale jako lżejsze, nie przyplływały do brzegu, więc ich nie mógł dostać. Chłopaki rzucali na nie sznury i w ten sposób przyciągali je do siebie; on, że sznura nie miał, więc tylko patrzył chciwie, czekał, aż chłopcy odejdą i przeszukiwał resztki jeszcze raz, zjadając, co mu się zdatne do zjedzenia wydało. O tym, że dziewczyna także nie jadła, nie myślał.

Ale los miał mu się uśmiechnąć. Wracając do domu spotkał wielki wóz z kartoflami, który w drodze do portu ugrzązł w wyboju i nie mógł się ruszyć. Wawrzon schwycił zaraz za szprychy i zaczął z woźnicą pchać koła. Ciężko było, aż go w krzyżach zabolowało, ale wreszcie konie szarpnęły, wóz wyskoczył, a że był czubiasto ładowny, wysypało się z niego sporo kartofli i wpadło w błoto. Woźnica ani myślał ich zbierać, podziękował Wawrzonowi za pomoc, krzyknął "get up!" na konie i pojechał.

Wawrzon rzucił się natychmiast na kartofle, pozbierał je łapczywie drżącymi rękoma, schował w zanadru i zaraz lepsza otucha wstąpiła mu w serce. W głodzie znaleziony kawałek chleba znalezionym szczęściem się wydaje; więc chłop wracając do domu mruczał cicho:

- A no, Bogu najwyższemu niech będą dzięki, że wejrzał na niedolę naszą. Drzewo jest, dziewczyna ogień rozпали; gajdoków je tyła, że na dwa razy wstrzyma. Pan Bóg je miłosierny. W izbie zaraz zrobi się raźniej. Dziewczyna też półtora dnia nie jadła, to się uraduje. Pan Bóg je miłosierny!

Tak rozprawiając, dźwigał jedną ręką deski, drugą badał co chwila, czy kartofle nie wypadają mu z zanadru. Skarb niósł wielki, więc podnosił oczy z wdzięcznością ku niebu i znowu mruczał:

- Myślałem se: ukradnę - a tu bez kradzenia z wozu spadło. Nie jedliśwa, to będziewa jedli. Pan Bóg je miłosierny! Maryśka zaraz ze słomy wstanie, jak się dowie, że mam gajdoki.

Tymczasem Marysia od czasu jego wyjścia nie ruszała się ze słomy. Bywało, że jak Wawrzon przynosił rano drzewa, to napaliła w piecyku, przyniosła wody, zjadła, co było, a potem całymi godzinami wpatrywała się w ogień. Szukała i ona w swoim czasie roboty. Najęto ją nawet do jednego boardinghousu do pomywania garnków i zamiatania, ale że się nie mogli z nią rozmówić, że źle spełniała polecenia nie rozumiejąc ich, więc ją wypędzili we dwa dni. Potem niczego już nie szukała i nic nie znalazła. Po całych dniach siadywała w domu bojąc się wyjść na ulicę, bo tam ją zaczepiali Irlandczycy i pijani majtkowie. Przez to próżnowanie była jeszcze nieszczęśliwsza. Tęsknota zgryzła ją jak rdza żelazo. Była nawet nieszczęśliwsza od Wawrzona, gdyż do głodu, do tych wszystkich utrapień, jakie znosiła, do tego przekonania, że nie ma dla nich rady ani ratunku, ani jutra, do strasznej tęsknoty za Lipińcami dorzucała jeszcze ciężaru myśl o Jaśku koniusze. Ślubował on jej wprawdzie i mówił: "Gdzie ty się obrócisz i ja się obróczę", ale ona jechała wtedy dziedziczką i panią być, a teraz jakże zmieniło się wszystko!

On był parobkiem dworskim, miał i swoją kolonię po ojcach, a ona stała się taką biedną, taką głodną jak mysz w lipinieckim kościele. Czy przyjedzie? a choćby i przyjechał, to przygarnieli ją do piersi? powieli: "Chudzątko moje serdeczne?" Czy też: "Idź precz, dziadowa córko!" Jakież to teraz jej wiano, Łachmany. Psy by na nią i w Lipińcach czekały, a jednak tak tam coś ciągnie, że ot! dusza rada by wylecieć z niej i lecieć jaskółką chybką nad wodami i choćby umrzeć, byłe tam. Tam on, Jaśko, pamiętny czy niepamiętny, ale umiłowany bardzo; tylko przy nim byłby spokój i radość, i wesele, ze wszystkich ludzi przy nim jednym w świecie.

Gdy ogień w piecyku był i głód nie tak, jak dziś dokuczał, to płomienie sycząc, strzelając iskrami, podskakując, migocąc mówiły dziewczynie o Lipińcach i przypominały, jako dawniej z innymi dziewczynami siadywała w czworakach przy kądzieli. Jaśko wyglądając z alkierza wołał: "Maryś! pójdziewa do księdza, boś mi miła!" Ona mu zaś odpowiadała: "Cichaj, zbereźniku!" I tak jej było dobrze, tak wesoło w duszy, jak i wówczas, gdy on ją do tańca z kąta na środek izby przemocą ciągnął, a ona zasłoniwszy oczy rękoma szeptała: "Idźże precz, bo się wstydam!" Gdy jej to czasem przypominały płomienie, to łzy zalewały jej twarz; ale teraz jak ognia w piecyku, tak i łez w oczach nie było, bo ile łez miała, tyle wypłakała. Czasem jej się też zdało, że spływają do piersi i tam ją duszą. Czowała zmęczenie wielkie i wyczerpanie, brakło jej siły nawet do rozmyślań; ale zresztą cierpiała pokornie patrząc tylko przed siebie wielkimi oczyma, jak ptak, którego męczą. W ten sposób spoglądała i teraz siedząc na słomie. Tymczasem ruszył ktoś drzwiami od izby. Marysia w mniemaniu, że to ojciec, nie podniosła głowy, dopiero obcy głos ozwał się:

- Look here!

Był to właściciel rudery, w której mieszkali, stary mulat o twarzy posępnej, brudny, obdarty z policzkami wypchanymi tytuniem.

Ujrawszy go dziewczyna złąkała się bardzo. Powinni byli zapłacić dolara na następny tydzień, a nie mieli już ani centa. Mogła tylko pokorą nadrobić, więc zbliżywszy się ku niemu podjęła go cicho pod nogi i pocałowała w rękę.

- Przychodzę po dolara! - rzekł.

Zrozumiała wyraz "dolar" i potrząsając głową, mieszając wyrazy, a zarazem patrząc błagalnie, starała się dać do zrozumienia, że już wydali wszystko, że drugi dzień nic nie jedzą, że są głodni i żeby zmiłował się nad nimi.

- Bóg wielmożnemu panu zapłaci - dodała po polsku, nie wiedząc już, co mówić i robić.

Wielmożny pan nie zrozumiał wprawdzie, że jest wielmożnym, ale domyślił się, że dolara nie dostanie; domyślił się nawet tak dobrze, że pozbierawszy jedną ręką węzełki z ich rzeczami, drugą wziął dziewczynę za ramię, popchnął lekko w górę na schody, wyprowadził na ulicę i rzuciwszy jej pod nogi rzeczy, potem z równą flegmą uchylił drzwi przyległego szynku i zawołał:

- Hej, Paddy, jest izba dla ciebie.

- All right! - odpowiedział jakiś głos ze środka - przyjdę na noc.

Mulat zniknął następnie w ciemnej sieni, a dziewczyna została sama na ulicy. Ułożyła węzełki we framudze domu, by się nie wałały w błocie i stanąwszy przy nich czekała pokorna jak zawsze i cicha.

Pijani Irlandczycy, którzy przechodzili ulicą, nie zaczepiali jej tym razem. W izbie było ciemno, ale na ulicy widno bardzo i przy tym świetle twarz dziewczyny wydawała się wynędzniała, jakby po

wielkiej jakiej chorobie. Tylko jasne lniane włosy pozostały jak dawniej, wargi za to miała zsiniałe, oczy wpadłe i podkute, kości wystawały jej z policzków. Wyglądała jak kwiat, który więdnie, albo jak dziewczyna, która ma umrzeć.

Przechodzący spoglądali na nią z pewnym rodzajem politowania. Stara Murzynka zapytała ją o coś, ale nie otrzymawszy odpowiedzi poszła dalej urażona.

Tymczasem Wawrzon zdążył do domu z tym dobrym uczuciem, jakie w bardzo biednych ludziach budzi jawny dowód miłosierdzia Bożego. Miał oto kartofle; myślał, jak będą jedli, jak jutro znów będzie chodził koło wozów, a o pojutrze nie myślał w tej chwili, bo był zbyt głodny. Ujrawszy z daleka dziewczynę stojącą na bruku przed domem, zdziwił się mocno i przyśpieszył jeszcze kroku.

- A ty tu czego stoisz?

- Gospodarz wygnał nas, tatulu!

- Wygnał ! ?

Drzewo chłopu wypadło z rąk. Tego już było nadto. Wygnać ich w tej chwili, gdy było drzewo i kartofle! Co teraz zrobią, gdzie je upieką, czym się pożywią, dokąd pójdą? Za drzewem grzmotnął Wawrzon i czapkę w błoto.

- Jezu! Jezu! - okręcił się naokoło, otworzył usta, spojrział błędnie na dziewczynę i powtórzył jeszcze raz:

- Wygnał?...

Potem niby chciał gdzieś iść, ale zawrócił zaraz, a głos jego stał się głuchy, chrapliwy i groźny, gdy rzekł znowu:

- Czemuś go nie prosiła, ciemnego?

Ona westchnęła:

- Prosiłam.

- Pod nogi go podjęłaś?

- Podjęłam.

Wawrzon znowu okręcił się na miejscu jak robak którego, ktoś przekłuje. Zrobiło mu się w oczach ciemno zupełnie.

- Bogdajeś zmarniała! - krzyknął.

Dziewczyna spojrzała na niego boleśnie.

- Tatulu! cóżem ja winna?

- Stój no tu, ani się rusz. Pójdę ja go prosić, żeby choć gajdoki dał upiec.

Poszedł. Po chwili w sieni dał się słyszeć hałas, tupotanie nóg, podniesione głosy, a potem na ulicę wyleciał Wawrzon, pchnięty widocznie silną ręką.

Chwilę stał, potem rzekł do dziewczyny krótko:

- Pójdź!

Schyliła się po węzełki, by je zabrać. Były dość ciężkie jak na jej wyczerpane siły, ale on jej nie pomógł jakby, zapominał, jakby nie wiedział, że dziewczyna zaledwie je udźwignąć może.

Poszli... Dwie tak nędzne postacie starca i dziewczyny zwracałyby uwagę przechodniów, gdyby ci przechodnie mniej byli przyzwyczajeni do widoków nędzy. Dokąd mogli iść? W jaką jeszcze ciemność, w jaką jeszcze niedolę, w jaką jeszcze mękę?

Oddech dziewczyny stawał się coraz trudniejszy, cięższy; zachwiała się na nogach raz i drugi, wreszcie rzekła z prośbą w głosie:

- Tatulu! weźta szmaty, bo już nie mogę.

On jakby się zbudził ze snu.

- To je rzucić.

- Dyc się przydadzą.

- Nie przydadzą się.

Nagle ujrawszy, że dziewczyna się waha, krzyknął z wściekłością:

- Rzuć, bo cię zabiję!

Tym razem usłuchała przestraszona i poszli dalej. Chłop kilka razy powtórzył jeszcze: "Kiej tak, to niech tak będzie!" - potem umilkł, ale coś niedobrego patrzyło mu z oczu. Przez coraz błotnistsze uliczki zbliżali się ku krańcowi portu, wydostali się na wielkie pomosty oparte na palach; przeszli około budynku z napisem: "Sailor's asilum", i zeszli nad samą wodę. Budowano w tym miejscu nowy dok. Wysokie rusztowania do zapuszczania palów wysuwały się daleko nad wodę, a między deskami i belkami kręcili się ludzie zajęci przy budowie. Marysia doszedłszy do kupy belek siadła na niej, bo nie mogła iść dalej, Wawrzon w milczeniu koło niej.

Godzina już była czwarta po południu. Cały port wrzał życiem i ruchem. Mgła też opadła, a pogodne promienie słońca obrzucały światłem i miłosiernym ciepłem dwoje nędzarzy. Z wody szło tchnienie wiosny na ląd, rzeźwe pełne życia, wesołe. Naokoło tyle było błękitu i światła, że aż oczy mrużyły się pod ich nadmiarem. Toń morska w dali zlewała się wdzięcznie z niebem. W tych błękitach bliżej środka portu widać było sterczące spokojnie maszty, kominy i chorągiewki falujące lekko od powiewu. Na widnokregu okręty płynące do portu zdawały się iść jakby w górę lub jakby spod wody wysuwać. Porozpinane i wydęte ich żagle w kształcie chmurek, całe w promieniach, lśniły oślepiającą białością na lazurze wodnym. Inne statki odchodziły na ocean, pniąc za sobą wodę. Szły w stronę, gdzie leżały Lipińce, więc dla nich dwojga utracone szczęście, więc dola lepsza, więc uspokojenie. Myślała też sobie dziewczyna, czym mogli tak bardzo zgrzeszyć, co przeciw Panu Bogu uczynić, że On, taki miłościw, od nich samych tylko odwrócił oblicze swoje i zapomniał o nich wśród obcych ludzi, i rzucił ich na ten brzeg daleki. Toć w Jego ręku było im wrócić szczęście. Tyle przecie statków odpływa w tamtą stronę, a odpływa bez nich. Zmęczona, biedna myśl Marysi jeszcze raz poleciała w stronę Lipiniec i Jaśka koniuchy. Czy tam myśli o niej, czy o niej pamięta? Ona pamięta, bo w szczęściu się tylko zapomina, w niedoli zasię, w osamotnieniu myśl tak obwija się koło ukochanych jak chmiel koło topoli. Ale on? Może pogardził dawnym ukochaniem i swaty już posłał

do innej chałupy. Przecie by mu nawet wstyd było myśleć o takiej nędzarce, która prócz wianka, prócz rucianego, nic nie ma na świecie i po którą, jeśli kto przyśle swaty, to chyba śmierć.

Ponieważ była chora, więc głód nie dokuczał jej bardzo, ale z męki i osłabienia sen ją ogarniał, powieki zamykały się na oczach, a wybladła twarz chyliła się na piersi. Chwilami budziła się i otwierała oczy, potem przymykała je znowu. Śniło się jej, że błędząc po jakichś rozpadlinach i przepaściach wpadła, jak owa Kasia z chłopskiej piosenki, w "Dunajec głęboki" i zaraz usłyszała wyraźnie jakby dalsze śpiewanie:

Zaboczył to Jaśko na wysokiej górze,

Spuścił się do Maryś po jedwabnym sznurze;

Ale sznur był krótki, z łokieć go nie staje:

Marysia nieboga warkocza dodaje.

Tu nagle zbudziła się, bo zdało się jej, że warkocza już nie ma i że leci w przepaść. Sen pierzchnął. Nie Jaśko siedział przy niej, ale Wawrzon, i nie "Dunajec" było widać, ale port nowojorski, warfy, rusztowania, maszty i kominy. Znowu jakieś okręty wypływały na pełnię i z nich to właśnie dochodziło śpiewanie. Cichy, ciepły, pogodny wieczór wiosenny zaczynał czerwienieć się na wodzie i na niebie. Toń stała się zwierciadlana, każdy okręt, każdy pal tak odbijał, jakby drugi był pod spodem, i ślicznie było naokoło. Jakaś szczęśliwość i ukojenie wielkie rozlane były w powietrzu: zdawało się, że cały świat się raduje, tylko ich dwoje było nieszczęsnych i zapomnianych; robotnicy zaczęli wracać do domów, tylko ich dwoje nie miało domu.

Coraz większy głód żelazną ręką zaczynał szarpać wnętrzności Wawrzona. Chłop siedział ponury i chmurny, ale coś jakby straszliwe postanowienie zaczęło się malować na jego twarzy. Kto by na nią spojrział, ten by się przestraszył, bo twarz ta miała wyraz zwierzęcy i ptasi z głodu, a zarazem tak rozpaczliwie spokojny, jakby u człowieka umarłego. Przez cały czas nie odezwał się do dziewczyny ani słowem, dopiero gdy nastąpiła noc, gdy port opustoszał zupełnie, rzekł dziwnym głosem:

- Pójdźwa, Maryś!

- Dokąd pójdziewa? - pytała sennie.

- Na owe pomosty nad wodę. Położywa się na deskach i będziewa spali.

Poszli. W ciemności zupełnej musieli pełzać bardzo ostrożnie, by nie wpaść w wodę.

Amerykańskie wiązania z desek i belek tworzyły liczne zakręty i jakby korytarzyk drewniany, na którego końcu znajdowała się platforma z desek, za nią zaś taran do zabijania pali. Na tej platformie, pokrytej daszkiem dla ochrony od deszczu, stawali ludzie ciągnący sznury od tarana, ale teraz nie było tam nikogo.

Gdy doszli na sam jej kraniec, Wawrzon rzekł:

- Tu będziewa spali.

Marysia padła raczej, niż położyła się, na deski i mimo że zaraz opadły ich roje moskitów, usnęła ciężko.

Nagle wśród nocy głębokiej obudził ją głos Wawrzona:

- Maryś, wstawaj!

Było coś takiego w tym wołaniu, iż rozbudziła się natychmiast.

- Co, tatulu?

Wśród ciszy i ciemności nocnej głos starego chłopca ozwał się głucho, strasznie, ale spokojnie:

- Dziewczyno! Już tobie głodem dłużej nie mrzeć. Nie pójdziesz ty pod ludzkie progi o chleb prosić, nie będziesz ty na dworze sypiać. Ludzie cię opuścili, Bóg cię opuścił, dola skapiała, to niech cię choć śmierć przytuli. Woda głęboka jest, nie będziesz się męczyła.

W ciemności nie mogła go dojrzeć, choć oczy jej szeroko rozwarły się z przerażenia.

- Utopię ja cię, niebogo, i sam się utopię - mówił dalej. - Nie ma poratowania dla nas, nie ma miłosierdzia nad nami. Jutro nie będzie ci się chciało jeść, jutro ci będzie lepiej niż dziś...

Nie! Ona nie chciała umierać. Ona miała osiemnaście lat i to przywiązanie do życia, tę bojaźń śmierci, jaką daje młodość. Cała w niej dusza wzdrygnęła się do głębin na myśl, że jutro będzie topielcem, że pójdzie w jakąś ciemność, że będzie leżała w wodzie, wśród ryb i gadów, na dnie szlamistym. Za nic w świecie! Nieopisany wstręt i strach ogarnęły ją w tej chwili, a rodzony ojciec mówiący tak w ciemności wydał się jej jakimś złym duchem.

Przez ten czas obie jego ręce spoczywały na jej wychudłych ramionach, a głos mówił ciągle z tym strasznym spokojem:

- Choćbyś krzyczała, nikt cię nie usłyszy. Pchnę cię tylko i wszystko dwóch pacierzy nie potrwa.

- Nie chcę, tatulu, nie chcę! - wołała Marysia. - Czy wy się Boga nie boicie? Tatulu serdeczny, złoty, zlitujta się nade mną! Co ja wam uczyniła? Dyć ja nie narzekała na moją niedolę, dyć ja z wami cierpiała głód i zimno... Tatulu!

Oddech jego stał się szybki, ręce zacisnęły się jak kleszcze... Ona wypraszała się śmierci coraz rozpaczliwiej.

- Zlitujta się! Miłosierdzia! miłosierdzia! Jać dziecko wasze, jam biedna, chora; mnie i tak niedługo na świecie. Mnie żal! Ja się boję!

Tak jęcząc czepiała się jego sukmany i usta przyciskała błagalnie do tych rąk, które ją spychały w przepaść. Ale jego to wszystko zdawało się tylko podniecać. Spokój jego przeszedł w obłęd: zaczął rzeźić i chrapać. Chwilami nastawała między nimi cisza i kto by stał nad brzegiem, słyszałby tylko głośne oddechy i szamotanie się, i trzask desek. Noc była głęboka, ciemna, a pomoc nie mogła znikąd nadejść, bo to był sam koniec portu, na którym w dzień nawet prócz robotników nie bywało nikogo.

- Zmiłowania! zmiłowania! - wołała przeraźliwie Marysia.

W tej chwili jedną ręką pociągnął ją gwałtownie na sam brzeg rusztowania, drugą począł bić w głowę, by przytłumić jej krzyki. Ale i tak te krzyki nie budziły żadnego echa: pies tylko jakiś wylł w dali.

Dziewczyna uczuła, że słabnie. Na koniec nogi jej trafiły na próżnię, ręce tylko trzymały się jeszcze ojca, ale mdlały. Krzyk o ratunek stawał się coraz cichszy, ręce wreszcie urwały szmat sukmany i Marysia uczuła, że leci w przepaść.

Jakoż spadła z platformy, po drodze jednak uczepiła się dylów i zawisła nad wodą.

Chłop pochylił się i straszno powiedział, począł jej rękę odczepiać.

Tłum myśli, niby tłum zwichrzonego ptactwa, przelatował jej przez głowę na kształt obrazów i błyskawic: Lipińce, studnia żurawia, wyjazd, okręt, burza, litania, nędza nowojorska; na koniec - co to się z nią dzieje? Widzi jakiś okręt ogromny z podniesionym przodem, na nim tłum ludzi, a z tego tłumu dwie ręce wyciągają się do niej. Na Boga! To Jaśko tam stoi, Jaśko wyciąga ręce, a nad okrętem i nad Jaśkiem Matka Boska uśmiechnięta w jasności wielkiej. Ona na ten widok ludzi na brzegu rozpycha: "Panienko Najświętsza! Jaśku! Jaśku!" Chwila jeszcze... Ostatni raz wznosi oczy ku ojcu: "Tatulu! tam Matka Boska! tam Matka Boska!"

Chwila jeszcze, też same ręce, które spychają ją w wodę, chwytają teraz jej mdlejące dłonie i z jakąś siłą nadludzką ciągną ją w górę. Już znowu czuje pod nogą deski rusztowania, znowu otaczają ją ramiona, ale ramiona ojca, nie kata, i głowa pada na pierś ojcowską.

Ocknąwszy się z omdlenia spostrzegła, że leży spokojnie przy ojcu, ale choć było ciemno, dojrzała, że leży krzyżem i że szlochaniem głuche, żalosem wstrząsa i rozrywa mu pierś.

- Maryś - ozwał się wreszcie przerywanym przez łkanie głosem odpuść mi, dziecko...

Dziewczyna poszukała po ciemku jego rąk i przytuliwszy do nich swoje biedne usta wyszeptwała:

- Tatulu! Niech wam tak Pan Jezus odpuści, jako ja odpuszczam...

Z bladej jasności, która od niejakiego czasu świeciła na horyzoncie, wynurzył się księżyc wielki, pogodny, pełny i znowu stało się coś dziwnego. Oto Marysia ujrzała, jak od księżycy odrywają się całe roje małych aniołków, jakby pszczołek złotych, i spływają po promieniach, aż do niej, szeleszcząc skrzydełkami, kręcąc się, wijąc i śpiewając dziecinnymi głosami:

- Dziewczyno umęczona, spokój tobie! Ptaszyno licha, spokój tobie! Kwiatku polny, cierpliwy i cichy, spokój tobie!

Tak śpiewając, potrząsały nad nią kielichy lilij białych i małe srebrne dzwoneczki, które dzwoniły:

- Sen tobie, dziewczyno, sen tobie! Sen! sen! sen!

I zrobiło się jej tak dobrze, jasno, spokojnie, że usnęła naprawdę.

Noc mijała i jęła blednąć. Dniało. Świtanie pobielilo wodę. Maszty i kominy zaczęły się wychylać z cienia i jakoby przybliżać; Wawrzon klęczał już schylony nad Marysią.

Myślał, że umarła. Wysmukła jej postać leżała bez ruchu; oczy miała zamknięte, twarz bladą jak płótno z sinawym cieniem, spokojną i zmartwiałą. Na próżno stary wstrząsał ją za ramię; ani drgnęła, ani nie otworzyła oczu. Wawrzonowi zdawało się, że i on chyba umiera, ale przyłożywszy jej rękę do

ust poczuł, że oddycha. Serce w niej biło, choć słabo; zrozumiał jednak, że może umrzeć lada chwila. Jeśli z tumanu porannego wynurzy się dzień pogodny, jeśli słońce ogrzeje ją, to się obudzi; inaczej nie.

Mewy zaczęły krążyć nad nią, jakby o nią stroskane; niektóre siadały na pobliskich słupach. Mgła ranna rozstępowała się z wolna pod tchnieniem zachodniego wiatru; powiew ten był wiosenny, ciepły, pełen słodyczy.

Potem wzeszło słońce. Promienie jego padły naprzód na szczyt rusztowania, potem schodząc coraz niżej rzuciły swoje złote światło na martwą twarz Marysi. Zdawały się ją całować, pieścić i jakby utulać. W tych blaskach i w wianku jasnych włosów, porozwiazanych od nocnej wałki i wilgoci, była to twarz po prostu anielska: bo też Marysia była już prawie aniołem przez swoją mękę i niedolę.

Śliczny, różany dzień wstawał z wody, słońce grzało coraz silniej, wiatr chuchał litośnie na dziewczynę; mewy kręcąc się wiankiem krzyczały, jakby ją chciały rozbudzić. Wawrzon zdjąwszy z siebie sukmanę przykrył nią jej nogi i nadzieja zaczęła mu wstępować w serce.

Jakoż siność ustępowała z wolna z jej twarzy, policzki poróżowiały lekko, uśmiechnęła się raz i drugi, na koniec otworzyła powieki.

Wówczas ten stary chłop klęknął na pomoście, podniósł oczy do nieba i łzy dwoma strumieniami popłynęły mu po pomarszczonych policzkach.

Uczuł raz na zawsze, że to dziecko - to teraz źrenica oczu jego i dusza jego duszy, i jakby świętość nad wszystko ukochana.

Ona nie tylko się rozbudziła, ale rozbudziła zdrowsza i rzeświejsza niż wczoraj. Czyste powietrze portu zdrowsze dla niej było od zatrutej atmosfery izby. Wracała naprawdę do życia, bo siadłszy na deskach, zawołała zaraz:

- Tatulu! Jeść mi się chce bardzo.

- Pójdź, córucho, nad wodę, może się tam co znajdzie - rzekł stary.

Wstała bez wielkiego wysilenia i poszli. Ale widocznie jakiś to dzień miał być wyjątkowy w dniach ich niedoli, bo ledwo uszli kilka kroków, ujrzeni tuż koło siebie na rusztowaniu wsuniętą między dwie belki chustkę, a w niej zawinięty chleb, gotowaną kukurydzę i solone mięso. Tłumaczyło się to po prostu tym, że któryś z robotników, pracujący przy warfie, schował sobie wczoraj na dziś część swego śniadania. Robotnicy tamtejsi mają ten zwyczaj; ale Wawrzon z Marysią tłumaczyli to sobie jeszcze prościej. Kto położył tę żywność? W ich mniemaniu Ten, co o każdym kwiatku, ptaku, koniku polnym i mrówce pamięta.

Bóg!

Zmówili pacierz, zjedli, choć niewiele tego było, i poszli nad wodę, aż do głównych doków. Wstąpiły w nich nowe siły. Doszedłszy do budynku celniczego, skręcili pod górę na Water-street ku Broadway. Z odpoczynkami zeszło im na tym parę godzin, bo droga była daleka. Chwilami siadali na deskach lub na próżnych pakach okrętowych. Szli sami nie wiedząc dlaczego, ale coś się tak Marysi widziało, żeby koniecznie iść do miasta. Po drodze spotykali mnóstwo ładownych wozów ciągnących do portu. Na Water-street ruch już panował niemały. Z otwierających się bram wychodzili ludzie i szli pośpiesznie do codziennych zatrudnień. W jednej takiej bramie ukazał się wysoki, siwy i wąsaty jegomość z młodym chłopakiem. Wyszędłszy spojrział na nich i na ich ubranie, ruszył wąsami;

zdziwienie odbiło się na jego twarzy, po czym zaczął się przypatrywać jeszcze bystrzej i uśmiechać się.

Twarz ludzka uśmiechająca się do nich przyjaźnie w Nowym Jorku to był dziw, czary jakieś, na widok których zdumieli się oboje.

Tymczasem siwy jegomość zbliżył się i spytał najczystsza polszczyzną :

- A wyście skąd, ludzie?

Jakby piorun w nich uderzył. Chłop zamiast odpowiedzi zbladł jak ściana i zachwiał się na nogach nie wierząc ani swoim uszom, ani swoim oczom. Marysia, ochłonawszy pierwsza, przypadła zaraz do nóg starego pana, objęła je rękoma i poczęła wołać:

- Spod Poznania, jaśnie dziedzicu! Spod Poznania.

- Co wy tu robicie?

- W nędzy, w głodzie i w niedoli srogiej żyjewa, drogi panie!

Tu Marysi głosu zabrakło, a Wawrzon rzucił się plackiem do nóg jegomości, potem począł całować poję jego surduta i trzymając ją myślał, że chyba za kawał nieba złapał.

Toć to pan... i swój pan. On z głodu umrzeć nie da, on poratuje, on zmarnieć nie da.

Młody chłopiec, który był z siwym panem, wytrzeszczał oczy, ludzie poczęli się gromadzić, otwierać usta i patrzeć, jak człowiek przed człowiekiem klęczy i po nogach go całuje.

W Ameryce to niebywała rzecz! Ale stary pan począł się na gapiów gniewać.

- To nie wasz business - mówił do nich po angielsku - idźcie do swego businessu!

Po czym do Wawrzona i Marysi:

- Nie będziemy na ulicy stali: chodźcie za mną.

Wprowadził ich do najbliższego bar-roomu; tam wszedłszy do osobnego pokoju zamknął się z nimi i z chłopakiem. Oni znowu zaczęli mu do nóg padać, od czego bronił się i mruczał gniewliwie:

- Skończcie ten business! My przecie z jednych stron, my dzieci jednej... matki...

Tu widocznie dym z cygara, które palił, zaczął gryźć go w oczy, bo przetarł je kułakami i spytał:

- Głodniście?

- Bez dwa dni niceśmy nie jedli, jeno co dziś znaleźliśwa nad wodą.

- Wiliam! - rzekł do chłopca - każ im dać jeść.

Następnie pytał dalej:

- Gdzie mieszkacie?

- Nigdzie, jaśnie panie.

- Gdzieście spali?
- Nad wodą.
- Wygnali was z mieszkania?
- Wygnali.
- Nie macie rzeczy prócz tych, co na sobie?
- Nie mamy.
- Nie macie pieniędzy?
- Nie mamy.
- Co będziecie robili?
- Nie wiemy.

Stary pan, pytając szybko i jakby gniewliwie, zwrócił się nagle do Marysi :

- Ile masz lat, dziewczyno?
- Osiemnaście skończę na Matkę Boską Zielną.
- Nacierpiałaś się, co?

Nie odpowiedziała nic, tylko schyliła mu się pokornie do nóg.

Starego pana dym znowu zaczął widocznie gryźć w oczy.

W tej samej chwili przynieśli piwo i ciepłe mięso. Stary pan kazał im się zaraz wziąć do jedzenia, a gdy odrzekli, że nie śmieją tego przy nim zrobić, powiedział im, że są głupi. Ale mimo tego jego gniewliwości wydawał im się aniołem z nieba.

Gdy jedli, radowało go to widocznie bardzo. Potem kazał sobie opowiadać, jak się tu dostali i przez co przeszli. Więc Wawrzon opowiedział mu wszystko i nie zataił nic, jako księdzu na spowiedzi. On gniewał się, wymyślał mu, a gdy doszło do tego, jak Wawrzon chciał topić Marysię, krzyknął:

- Ja bym cię ze skóry odarł!

Potem do Marysi:

- Pójdź tu, dziewczyno!

Gdy się zbliżyła, wziął w obie ręce jej głowę i pocałował ją w czoło.

Potem myślał przez chwilę i rzekł:

- Biedę przeszliście. Ale to jest dobry kraj, tylko trzeba sobie umieć radzić.

Wawrzon wytrzeszczył na niego oczy: ten zacny i mądry pan nazywał Amerykę dobrym krajem.

- Tak jest, ciemiego - rzekł spostrzegłszy zadziwienie Wawrzona - dobry kraj! Gdym tu przybył, nie miałem nic, a teraz mam kawałek chleba. Ale wam, chłopom, pilnować roli, nie po świecie się

włóczyć. Jak wy wyjedziecie, któż tam zostanie? Wyście tu na nic, a przyjechać tu łatwo, wrócić trudno.

Milczał czas jakiś, potem dodał, jakby do siebie:

- Czterdzieści kilka lat tu siedzę, to się i o kraju zapomniało. Ale tęsknota czasem bierze, co? Wiliam tam musi jechać, niech pozna, gdzie jego ojcowie żyli... To mój syn - rzekł ukazując na chłopca. - Wiliam! przywieziesz mi z domu garść ziemi pod głowę do trumny.

- Yes, father! - odpowiedział po angielsku wyrostek.

- I na piersi, Wiliam! I na piersi!

- Yes, father!

Starego pana dym tak okropnie zaczął gryźć w oczy, że źrenice zasły mu jakby szkłem.

Zaraz też począł się gniewać:

- Rozumie chłystek po polsku, ale woli mówić po angielsku. Tak tu musi być. Co tu padnie, to dla dawnych progów stracone. Wiliam! idź powiedz siostrze, że będziemy mieli gości na obiad i na noc.

Chłopiec poskoczył żywo. Stary pan zamyślił się i milczał długo; potem zaczął mówić, jakby do siebie:

- Choćby ich wysłać z powrotem, koszt wielki, a przy tym do czego wróca? Sprzedali, co mieli: pójdą na dziady. W służbie z dziewczyną Bóg wie, co by się stało. Kiedy tu jesteście, trzeba jeszcze pracy popróbować. Wysłać ich do jakiej osady, dziewczyna pójdzie za męża na poczekaniu. Dorobią się we dwoje; zechcą wrócić, to i starego zabiorą.

Następnie rzekł wprost już do Wawrzona:

- Słyszałeś ty o tutejszych naszych osadach?

- Nie słyszałem, wielmożny panie.

- Ludzie! jak wy się tu puszczacie? Na miły Bóg! Nie macieź ginać potem!? W Chicago jest takich jak ty ze dwadzieścia tysięcy, w Milwaukee tyleż, w Detroit sporo, w Buffalo sporo. Pracują po fabrykach, ale chłopu najlepiej na rolę. Do Radomia wysłać by was, do Illinois, hm! tam już o grunt trudno. Zakładają jakiś nowy Poznań w stepach w Nebrasce, ale to daleko. Kolej drogo kosztuje. Panna Maria w Teksasie także daleko. Do Borowiny byłoby najlepiej, tym bardziej że mogę dać wam bilety darmo, a co dam w rękę, to schowacie na gospodarstwo.

Zamyślił się jeszcze głębiej

- Słuchaj, stary - rzekł nagle. - Zakładają teraz nową osadę

Borowina w Arkansas. Jest to piękny kraj i ciepły, a ziemia prawie pusta. Tam gruntu z lasem weźmiesz 160 morgów od rządu darmo, a od kolei za małą opłatą - rozumiesz? Na gospodarstwo ci dam i bilety na kolej, bo mogę. Pojedziecie do miasta Little-Rock, potem trzeba będzie wozem. Tam znajdziecie i innych, którzy z wami pojedą. Zresztą dam wam listy. Chcę wam pomóc, bom wasz brat; ale twojej dziewczyny sto razy więcej żal mi niż ciebie. Rozumiesz! Bogu dziękujcie, żeście mnie spotkali.

Tu głos jego stał się zupełnie miękki.

- Słuchaj, dziecko! - rzekł do Marysi - oto tu masz moją kartkę: schowaj ją święcie. Jak cię kiedy bieda przycisnie, jak zostaniesz samotna na świecie i bez opieki, to mnie poszukaj. Tyś biedne dziecko i dobre. Gdybym umarł, Wiliam się tobą zajmie. Kartki nie zgub! Chodźcie teraz do mnie.

Po drodze kupił im bielizny i ubrania, a wreszeie zaprowadził do siebie i ugościł. Był to cały dom dobrych ludzi, bo i Wiliam, i jego siostra Jenny zajęli się obojgiem jakby krewnymi. Pan Wiliam obchodził się nawet z Marysią jakby z "lady" jaką, czego wstydzila się okrutnie. Wieczorem do panny Jenny przyszło kilka młodych panienek z grzywkami na czołach, ubranych ślicznie i dobrych. Te wzięły między siebie Marysię, dziwiły się, że taka blada, że taka ładna, że ma tak jasne włosy, że im się do nóg ciągle schyla i po rękach je całuje, z czego się śmiały bardzo. Stary pan chodził między młodymi, potrząsał białą głową, mruczał, czasem się gniewał, mówił to po angielsku, to po polsku, rozmawiał z Marysią i Wawrzonem o dalekich stronach rodzinnych: przypominał sobie, rozpamiętywał i od czasu do czasu widocznie dym z cygara gryzł go w oczy, bo je sobie często ukradkiem ocierał.

Gdy się wszyscy rozeszli spać, Marysia nie mogła wstrzymać łez widząc, że panna Jenny własnymi rękoma przygotowuje jej pościel. Ach! jacyż to dobrzy ludzie byli, ale cóż dziwnego! Przecie stary pan był także rodem spod Poznania.

Trzeciego dnia Wawrzon i dziewczyna jechali już do Little-Rock. Chłop czuł sto dolarów w kieszeni i o biedzie zupełnie zapomniał, a Marysia czuła nad sobą widomą rękę Bożą i wierzyła, że ta ręka nie da jej zginąć; że jak ją z niedoli wyprowadziła, tak i Jaśka do Ameryki sprowadzi i nad obojgiem czuwać będzie, i do Lipiniec wrócić im pozwoli.

Tymczasem miasta i farmy wiejskie migają im przez okna wagonu. Było to zupełnie inaczej niż w Nowym Jorku. Były pola i bór na dalekości, i domki, przy których rosły drzewa; ruń zbóż wszelkich zieleńiła się wielkimi szmatami zupełnie jak w Polsce. Na ten widok Wawrzonowi rozpierało tak coś piersi, że miał ochotę krzyzczeć: "Hej! wy bory i pola zielone!" Na łąkach pasły się trzody krów i owiec; po rubieżach leśnych widać było ludzi z siekierami. Pociąg leciał dalej i dalej. Powoli okolica stawała się coraz mniej ludna. Farmy znikły, a kraj roztworzył się w szeroki pusty step. Wiatr na nim wiał falą traw i migotał kwiatami. Miejscami wiły się na kształt złocistych wstęg drogi pokryte żółtym kwieciami, po których niegdyś przeszły wozy. Wysokie burzany, dziewanny i szyszkowate osty kiwały głowami jakby witając wędrowców. Orły kołysały się na szerokich skrzydłach nad stepem, wpatrując się pilnie w trawę. Pociąg rwał naprzód, jakby chciał dolecieć tam, gdzie te stepowe przestrzenie giną oczom i zlewają się z niebem. Z okien wagonów widać było całe stadka zajęcy i piesków ziemnych. Czasem rogata głowa jelenia mignęła nad trawami. Nigdzie ani wieżyczki kościelnej, ani miasta, ani wsi, ani domu, stacje tylko; ale między stacjami i w bok ani żywego ducha. Wawrzon spoglądał na to wszystko, kręcił głową i nie mógł zrozumieć, że tyle "dobroci", jak nazywał grunta, pustką stoi.

Uplłynął dzień i noc. Rankiem wjechali w bory, w których drzewa były pookręcane pnącymi się roślinami, grubymi jak ramię ludzkie, co robiło bór tak gęsty, że chyba w niego siekierą jak w ścianę bić. Nieznane ptactwo świergotało w tych zielonych gąszczach. Raz zdało się Wawrzonowi i Marysi, że wśród skrętów i bisiorów ujrzeli jakichś jeźdźców z piórami na głowach i o twarzach tak czerwonych jak miedź polerowana. Widząc te lasy, te puste stepy i puste bory, te wszystkie nieznane cuda i ludzi innych, Wawrzon nie mógł wreszcie wytrzymać i rzekł :

- Maryś!

- Co tatulu?
- Widzisz?
- Widzę.
- A dziwujesz się?
- Dziwuję się.

Przejechali na koniec rzekę ze trzy razy szerszą od Warty, o której później dowiedzieli się, że się nazywa Missisipi, i głuchą już nocą przybyli do Little-Rock.

Stąd mieli się wypytać o drogę do Borowiny.

Porzucamy ich w tej chwili. Drugi okres ich tułactwa za chlebem został ukończony. Trzeci miał się odgrywać w lasach, wśród huku siekier i w ciężkim znoju osadniczego życia. Czy mniej w nim było łez, cierpień i niedoli - dowiemy się niedługo.

III. ŻYCIE OSADNICZE

Czym była Borowina? Osadą, która miała powstać. Ale widocznie nazwę obmyślono z góry, wychodząc z zasady, że gdzie istnieje nazwa, tam musi istnieć i rzecz. Poprzednio gazety polskie, a nawet i angielskie, wychodzące w Nowym Jorku, Chicago, Bufallo, Detroit, Milwaukee, Manitovok, Denver, Calumet, słowem wszędzie, gdzie można usłyszeć mowę polską, głosiły urbi et orbi w ogólności, a polskim osadnikom w szczególności, że kto by z nich chciał być zdrowym, bogatym, szczęśliwym, jeść tłusto, żyć długo, a po śmierci na pewno otrzymać zbawienie, ten niech się zapisuje na działkę w rajku ziemskim, czyli w Borowinie. Ogłoszenia mówiły, że Arkansas, w którym ma stanąć Borowina, jest krajem pustym jeszcze, ale najzdrowszym w świecie. Wprawdzie miasteczko Memphis, leżące na samej granicy, z tamtej strony Missisipi, jest siedliskiem żółtej febrы, ale według ogłoszeń ani żółta, ani żadna inna febra nie potrafiłaby przepłynąć takiej rzeki jak Missisipi. Na ogólnym brzegu rzeki Arkansas nie ma jej dlatego jeszcze, że sąsiedzi, Indianie Choctaws, oskalpowaliby ją bez żadnej litości. Febra drży na widok czerwonej skóry. Skutkiem takiego składu rzeczy osadnicy w Borowinie mieszkać będą między febrą od wschodu a czerwonoskórymi od zachodu, w pasie zupełnie neutralnym, zatem mającym przed sobą taką przyszłość, że za lat tysięcy Borowina będzie niezawodnie liczyła ze dwa miliony mieszkańców, a ziemia, którą się dziś płaci po 1 i pół dolara za akr, pójdzie na place do sprzedania w cenie mniej więcej tysiąca dolarów za kwadratowy łokieć. Takim obietnicom i widokom trudno się było oprzeć. Tych, którym by mniej podobało się sąsiedztwo Choctawów, ogłoszenia zapewniały, że ten wałeczny szczep ożywiony jest szczególniejszą sympatią właśnie dla Polaków, że więc należy przewidywać stosunki jak najuprzejmiejsze. Zresztą wiadomo, że gdzie przez lasy i stepy przejdzie kolej żelazna i słupy telegraficzne w kształcie krzyżów, tam owe krzyże stają się wkrótce znamionami stojącymi na mogiłnikach indyjskich; że zaś ziemia pod Borowiną nabyta została od kolei żelaznej, zniknięcie więc Indian było tylko kwestią czasu.

Ziemia została nabyta istotnie od kolei żelaznej, co zapewniało osadzie związek ze światem, zbyt dla produktów i przyszły rozwój. Ogłoszenia zapomniały wprowadzić dodać, że kolej ta była dopiero projektowaną i że właśnie sprzedaż sekcji nadawanych kolejom przez rząd w krajach pustych miała zapewnić, a raczej dopełnić funduszu potrzebnego na budowę; zapomnienie to było jednak łatwe do wybaczenia przy businessie tak złożonym. Zresztą pociągało tę tylko różnicę dla Borowiny, że osada zamiast się znajdować na linii drogi leżała w głuchej pustyni, do której trzeba się było dostawać wśród wielkich trudów wozami.

Z tych zapomnień mogły się zrodzić różne przykrości, przykrości jednak były tylko czasowe i miały ustać wraz z przeprowadzeniem kolei. Zresztą wiadomo jest, że ogłoszeń w tym kraju nie można brać dosłownie, albowiem jak każda roślina przesadzona na amerykański grunt wybuja niezawodnie, ale kosztem owoców, tak i reklama w amerykańskich gazetach tak się rozrasta, że ziarno prawdy trudno czasem z retorycznych plew wyłuskać. Odłożywszy jednak na bok wszystko, co w ogłoszeniach o Borowinie należało uważać za tak zwany humbug, można jeszcze było mniemać, że osada ta nie będzie wcale gorsza od tysiąca innych, których powstawanie z nie mniejszą przesadą głoszone.

Warunki wydawały się nawet z wielu względów pomyślnymi, stąd mnóstwo osób, a nawet rodzin polskich rozproszonych po całych Stanach, od wielkich jezior aż po palmowe lasy Florydy, od Atlantyku aż po kalifornijskie wybrzeża, zapisało się na osiedleńców w mającej powstać osadzie. Mazurzy pruscy, Ślązacy, Poznańczycy, Galicjanie, Litwini z Augustowskiego i Mazurzy spod Warszawy, którzy pracowali po fabrykach w Chicago i Milwaukee i którzy od dawna wzdychali do życia, jakie chłop z chłopów powinien prowadzić, chwycili pierwszą sposobność, by się z dusznych, zakopconych dymem i sadzą miast wydostać, a jąc się pługą i siekiery w przestronnych polach, borach i stepach Arkansasu. Ci, którym było za gorąco w Pannie Marii w Teksas lub za zimno w Minnesocie, lub za wilgotno w Detroit, lub za głodno w Radomiu w Illinois, połączyli się z pierwszymi i kilkuset ludzi, najwięcej mężczyzn, ale wiele także niewiast i dzieci wyruszyło do Arkansas. Nazwa "Bloody-Arkansas", to jest "krwawy", nie odstraszała zbyt osadników. Jakkolwiek, prawdę mówiąc, kraj ten obfituje dotychczas w drapieżnych Indian, w tak zwanych outlawów, czyli rozbójników zbiegłych spod prawa, w zdziczałych skwaterów, wycinających drzewo wbrew zakazom rządowym nad Red-River, i w różnych innych awanturników lub drapichrustów urwanych spod szubienicy; jakkolwiek dotąd zachodnia część tego Stanu słynną jest z okrutnych zapasów między czerwonoskórými a białymi myśliwcami na bawoły i ze straszliwego prawa lynch, przecie można dać sobie z tym wszystkim radę. Mazur, gdy czuje sękacza w łapie, a zwłaszcza jeszcze gdy ma po Mazurze z każdego boku i Mazura za sobą, nie bardzo komu ustąpi, a temu, co by mu nadto w drogę laźł, gotów krzyknąć:

Dyćwa nie ciarachy! Nie targajta, bo żgniema, aż będzieta chramać!

Skądinąd wiadomo także, że Mazurzy lubią się trzymać razem i osiadać w ten sposób, by Maciek Maćkowi mógł w każdej chwili z kłonicą na pomoc pośpieszyć.

Punktem zbornym dla większości było miasto Little-Rock, ale z Little-Rock do Claesville, najbliższej osady ludzkiej, z którą miała sąsiedować Borowina, trochę dalej niż z Warszawy do Krakowa, a co gorsza, trzeba było jechać krajem pustym, przedzierać się przez lasy i wezbrane wody.

Jakoż kilku ludzi, którzy nie chcąc czekać na całą gromadę, puścili się w pojedynek, zginęło bez wieści, ale główny tabor doszedł szczęśliwie i obozował oto teraz wśród lasu.

Prawdę powiedziawszy, przybywszy na miejsce osadnicy rozczarowali się bardzo. Spodziewali się zastać na gruntach przeznaczonych na osadę pola i las, a znaleźli tylko las, który dopiero trzeba było karczować. Czarne dęby, drzewa czerwone, bawelniane (tak zwane cottonwood), jasne platany i

posepne hikory, stały obok siebie jedną masą. Puszcza tu była nie na śmiech, podszyta czaporalem z dołu, powikłana w górze lianami, które przeskakując na kształt lin i sznurów z drzewa na drzewo tworzyły jakby zwieszające się mosty, jakby zasłony, jakby bisiory jakie kwieciami okryte, a tak gęste, tak stłoczone i zbite, że oko nie pobiegło w dal, jako w naszych lasach: kto się zapuścił głębiej, ten nieba nad sobą nie dojrzał i w mroku błędzić musiał, i zbłądzić mógł, i zaprzepaścić się na zawsze. Jeden i drugi Mazur spoglądał to na własne pięście, to na siekiere, to na owe dęby mające po kilkanaście łokci obwodu i niejednemu markotno się zrobiło. Błogo mieć drzewo na chałupę i na opał, ale wyciąć las jednemu człowiekowi na 160 morgach, pniaki z ziemi wydrapać, wykroty zrównać i dopiero mieć się pług, to praca na całe lata.

Ale nie było nic innego do roboty, więc zaraz drugiego dnia po przybyciu taboru jaki taki przeżegnał się, w ręce splunął, chwycił toporzysko, stęknął, machnął, uderzył, i od tej pory co dzień było słyhać huk siekier w tym arkansaskim lesie, a czasem i pieśni rozlegające się echem:

Przyszedł Jasieńko,

Przyszedł ze dworu:

"Miła Kasieńko,

Pójdźwa do boru,

Do boru, do ciemnego."

Tabor stał wedle strumienia na dość obszernej polance, brzegiem której miały stanąć w kwadrat chałupy, na środku zaś z czasem kościół i szkoła. Ale do tego było jeszcze daleko; tymczasem zaś stały wozy, na których przybyły rodziny osadnicze. Wozy te ustawiono w trójkąt, by w razie napadu można w nich się bronić jak w fortecy. Za wozami na pozostałej części polanki chodziły muły, konie, woły, krowy i owce, nad którymi czuwała straż złożona z młodych, zbrojnych parobków. Ludzie spiali na wozach lub też za ich obrębem naokoło ognisk.

W dzień kobiety i dzieci zostawały w taborze, obecność zaś mężczyzn można było poznać tylko po huku siekier, którym rozbrzmiewał cały las. Nocami wyły w gąszczach dzikie zwierzęta, mianowicie jaguary, arkansaskie wilki i kujoty. Straszne szare niedźwiedzie, które blasku ognia mniej się boją, podchodziły czasem dość blisko do wozów, skutkiem czego często wśród ciemności rozlegały się wystrzały z karabinów i wołania: "Bywaj bić bestyję!" Ludzie, którzy przybyli z dzikich stron teksaskich, byli po największej części wprawnymi myśliwcami i ci dostarczali z łatwością sobie i swym rodzinom zwierzyny, mianowicie antylop, jeleni i bawołów; była to bowiem pora wiosennych wędrówek tych zwierząt na północ. Reszta osadników żywiła się zapasami zakupionymi w Little-Rock lub Clarksville, a składającymi się z kukurydzowej mąki i solonego mięsa.

Prócz tego bito owce, których pewną ilość zakupiła każda rodzina.

Wieczorami, gdy wedle wozów rozpalono wielki ogień, młodzież po wieczerzy zamiast iść spać puszczała się w taniec. Jakiś grajek przywiózł z sobą skrzypce, na których wygrywał obertasa od ucha, a gdy głos skrzypiec ginął nadto wśród leśnego szumu i pod otwartym niebem, inni pomagali grajkowi

na sposób amerykański, brzękając w blaszane miski. Życie uchodziło w pracy ciężkiej gwarnie, a przy tym bezładnie. Najpierwszą rzeczą było postawić chałupy; jakoż wkrótce na zielonym podścielisku polanki stanęły zręby domów, cała zaś jej powierzchnia pokryła się wiórami, heblowinami, kawałkami kory i tym podobnym śmieciem drzewnym. Czerwone drzewo, czyli tak zwane redwood, łatwo dawało się obrabiać, ale często trzeba było po nie chodzić daleko. Niektórzy pourządzali sobie tymczasowe namioty z płócien pozdzieranych z wozów. Inni, zwłaszcza nieżonaci, którym mniej pilno było do dachu nad głową, a więcej przykrzył się karczunek, zaczęli orać w miejscach, gdzie puszcza nie była podszyta i gdzie dęby i hikory, tj. żelazne drzewa, były rzadsze. Wówczas to, jak bór arkansaski borem, pierwszy raz rozległy się w nim nawoływania:

- Heć, kso, byś!

W ogóle jednak taki nawał roboty spadał na osadników, że nie wiadomo było, do czego rąk przyłożyć: czy naprzód stawiać domy, czy karczować, czy chodzić za zwierzyną. Zaraz z początku pokazało się, że pełnomocnik kolonistów kupił ziemię od kolei na wiarę i nigdy w niej poprzednio nie był; inaczej bowiem nie byłby nabywał głuchej puszczy, zwłaszcza iż równie łatwo było kupić kawałki stepu częściowo tylko lasem pokryte. Tak on, jak i pełnomocnik kolei przybyli wprawdzie na miejsce, by działki rozmierzyć i wskazać każdemu, co do niego należy, ale zobaczywszy jak rzeczy stoją, pokręcili się dwa dni, następnie wyklócili się i wyjechawszy niby po narzędzia miernicze do Clarcsville, nie pokazali się już w osadzie.

Wkrótce wyszło na jaw, że jedni osadnicy zapłacili więcej, inni mniej, a co gorzej, nikt nie wiedział, gdzie jego działka leży, jak odmierzyć to, co na niego wypada. Osadnicy zostali bez żadnego przewodnictwa, bez żadnej władzy, która by mogła sprawy ich porządkować i spory godzić. Nie wiedziano dobrze, jak pracować. Niemcy wzięliby się zapewne całą gromadą do wycięcia lasu i oczyściwszy całą przestrzeń, postawiwszy wspólnymi siłami domy, dopiero by zaczęli przy każdym domu odmierzać grunta. Ale każdy Mazur chciał od razu swoim się zająć, swój dom stawiać i na swojej działce las ciąć. Każdy przy tym chciał brać miejsca przy środkowej polance, gdzie puszcza była najrzadsza, a woda najbliższa. Stąd powstały spory, które wzrosły zaraz, gdy pewnego dnia zjawił się jakby z nieba wóz niejakiego pana Grünmańskiego. Ten pan Grünmański w Cincinnati, np., gdzie mieszkają Niemcy, może nazywał się krócej: Grünman, ale w Borowinie dodał sobie "ski" dlatego, żeby handel lepiej szedł. Wóz jego miał wysoki dach płócienny, na którym z każdego boku czerniał napis wielkimi literami: "Saloon", a pod spodem mniejszymi: "Brandy, whisky, dzin".

Jakim sposobem wóz ten przejechał w całości niebezpieczną pustynię między Clarcsville a Borowiną, jakim sposobem nie rozbili go stepowi awanturnicy, dlaczego Indianie, którzy wałęsają się małymi oddziałami nieraz bardzo blisko od Clarcsville, nie zdjęli skalpu z głowy pana Grünmańskiego, to była jego tajemnica, dość że przybył i tego samego dnia zaraz zaczął robić doskonałe interesa. Ale też tego samego dnia osadnicy poczęli się kłócić. Do tysiącznych sporów o działki, o narzędzia, o owce, o miejsca przy ogniskach, przybyły nader błahe powody. Oto w osadnikach obudził się jakiś zaściankowoamerykański patriotyzm. Ci, co pochodzili ze stanów północnych, poczęli wychwalać dawne swe siedziby kosztem osad i osadników ze stron południowych i odwrotnie. Wówczas to można było usłyszeć ową północnoamerykańską polszczyznę, cerowaną angielskimi nićmi wszędzie, gdzie ją odłączenie od macierzystego kraju i przebywanie wśród obcych przedziurawiło.

- Bo co wy ta chwałita swoje południowe kontry - mówił parobczak spod Chicago. - U nas, w Illinois, gdzie spojrzysz, to je rajbrod, a co karem milkę ujedziesz, to city. Pójdiesz na fermę, dom chcesz stawiać, to nie potrzebujesz lasu gryźć, kupisz lumbe i basta, a u was co?

- U nas jeden kanion więcej wart niż całe twoje bloki.

- A ty mnie goddam, czego tykasz? Tam byłem syr, to i tu będę syr, a ty coś za jeden?

- Cicho, bo złapię szyngiels, albo ci łeb umoczę w kryku, kiedy się sierdzisz. Co ci za business do mnie.

- Czego mnie faliszujesz? Kupię cię za bita!

.....

W osadzie źle się po prostu działo, bo ta gromada przypominała gromadę owiec bez pastucha. Spory o działki stawały się coraz gwałtowniejsze. Przychodziło do bitew, w których towarzysze z jednych miast lub osad łączyli się przeciwko pochodzącym z innych. Doświadczeni, starsi i mędrsi zyskiwali wprawdzie z wolną powagą i władzą, ale nie zawsze mogli je utrzymać. W chwilach tylko niebezpieczeństw wspólny instynkt obrony kazał zapominać o kłótniach. Raz gdy wieczorem gromadka włóczęgów indyjskich ukradła kilkanaście owiec, chłopci rzucili się za nimi w pogoń hurmem i bez chwili namysłu. Owce odebrano, jednego czerwonoskórego zbito tak, że wkrótce umarł i najlepsza zgoda panowała tego dnia, drugiego ranka znowu zaczęli się bić z sobą przy karczunku. Zgoda przychodziła także, gdy wieczorami grajek poczyniał wygrywać nie do tańca, ale rozmaite pieśni, które każdy słyszał dawno, jeszcze pod słomianymi strzechami. Rozmowy wtedy cichły. Chłopi otaczali grajka wielkim kołem, szum boru wtórował mu, płomień w ogniskach sykał i strzelał skrami, oni zaś stojąc spuszczały chmurnie głowy i dusze z nich ulatywały za morze. Nieraz księżyc wytoczył się wysoko nad las, a oni jeszcze słuchali. Ale z wyjątkiem tych krótkich chwil rozpręgało się wszystko coraz bardziej w osadzie. Bezład powiększał się, nurtowała nienawiść. To małe społeczeństwo, rzucone wśród lasów i prawie oderwane od reszty ludzi i opuszczone przez przewodników, nie mogło i nie umiało sobie dać rady.

Między osadnikami odnajdujemy dwie znane nam postacie: starego chłopca, nazwiskiem Wawrzyn Toporek, i jego córkę Marysię. Dostawszy się do Arkansas mieli w Borowinie dzielić losy innych. Jakoż z początku lepiej się im działo. Co bór, to nie bruk nowojorski, a przy tym tam nie mieli nic, tu posiadali wóz, inwentarza trochę, nabytego tanio w Clarksville, i trochę porządków do roli. Tam gryzła ich straszna tęsknota, tu praca ciężka nie pozwałała myśli od dnia dzisiejszego oderwać. Chłop od rana do wieczora bór ciął, wióry łupał i belki na chałupę obrabiał; dziewczyna musiała chusty w strumieniu prać, ogień rozniecać, jeść gotować; ale mimo znoju ruch i powietrze leśne zacierały stopniami na jej twarzy ślady choroby, jakiej nabyła przez nędzę w Nowym Jorku. Gorący powiew z Teksasu opalił i pokrył złotawym odbłaskiem bladą jej twarzyczkę. Młodzi chłopcy z Sant-Antonio i znad wielkich jezior, którzy o lada co przyskakiwali do siebie z pięściami, w tym tylko byli zgodni, że Marysi oczy tak patrzą spod jasnych włosów jak chaber z żyta i że to najładniejsza dziewczyna, jaką oko ludzkie oglądało. Uroda Marysina wyszła na dobre i Wawrzonowi. Sam sobie szmat najrzadszego lasu wybrał i nikt mu się nie sprzeciwiał, bo wszyscy parobcy byli po jego stronie. Niejeden też mu w ścinaniu drzewa i obrabianiu belek albo w zakładaniu na zręby pomagał, a stary, że chytry był, poznał, co się święci, i od czasu do czasu odzywał się:

- Moja córuchna chodzi po łące kiejby lelija, kiejby pani, kiejby królewna. Komu zechcę, to ją dam, ale byle komu nie dam, bo ona je gospodarska córka. Kto mi się niżej pokłoni i lepiej wygodzi, temu dam, nie żadnemu powsinodze.

Kto więc jemu pomagał, myślał, że sobie pomaga.

Wawrzonowi więc było lepiej nawet niż innym, a w ogóle byłoby wcale dobrze, gdyby osada miała jaką przyszłość przed sobą. Ale tam rzeczy psowały się z dnia na dzień. Ubiegł tydzień i drugi. Naokoło polanki zrabano drzewo, ziemia pokryła się wiórami, tu i owdzie wzniosła się żółta ściana domostwa; to jednak, co zrobiono, było fraszką w porównaniu z tym, co należało zrobić. Zielona ściana boru z wolna tylko ustępowała przed siekierami. Ci, którzy się zagłębiali w chaszczce, przynosili dziwaczne wieści, że ten bór wcale końca nie ma, że dalej straszne w nim bagna, bajora i jakaś śpiąca woda pod drzewami, że jakieś dziwotwory tam mieszkają, jakieś opary na kształt duchów przesuwają się między gąszczami, jakieś węże syczą, jakieś głosy wołają: "Nie chodź!", jakieś krzaki niesamowite za ubranie łapią i nie puszczejają. Pewien chłopak z Chicago dowodził, że widział diabła we własnej osobie, jak straszny, kudłaty łeb z błota podniósł i tak na niego chrapał, iż ledwo do taboru uciekł. Osadnicy z Teksas tłumaczyli mu, iż to musiał być bawół, ale on nie chciał wierzyć. Tak groźnemu położeniu grozy przesąd dodawał. W kilka dni po widzeniu diabła zdarzało się, że dwóch zuchów w las poszło i więcej ich nie ujrano. Kilku ludzi zachorowało na krzyże z wysilenia, a potem rzuciła się na nich febra. Klótnie o działki wzrastały do tego stopnia, że do ran i krwi w bitwach przychodziło. Kto nie pocechował bydła, temu inni własności zaprzeczali. Tabor rozprzągł się, rozstawiono wozy po wszystkich kątach polanki, by być od siebie jak najdalej. Nie wiadomo było, kto ma wychodzić na stróżę do bydła; owce poczęły ginąć. Tymczasem jedna rzecz stawała się coraz widoczniejszą, to że nim słońce wszędzie, rosa oczy wyje; nim zasiewy na rubieżach leśnych się zazielenią i dochówek jaki będzie, zapasów żywności zabraknie i przyjsć może głód.

Rozpacz ogarniała ludzi. Huk siekier w lesie się zmniejsza, bo cierpliwości i odwagi poczynało brakować. Każdyć by jeszcze pracował, gdyby mu kto powiedział: "Masz, dotąd twoje." Ale nikt nie wiedział, co jego, co nie jego. Słuszne narzekania na przewodników wzrastały. Ludzie mówili, że na puszcę zostali wywiedzeni, by wyginęli marnie. Powoli, kto miał coś jeszcze grosza przy duszy, na wóz siadał i do Clarksville odjeżdżał. Ale więcej było takich, którzy włożywszy ostatni grosz w sprawę, nie mieli o czym wracać do dawnych siedzib. Ci załamywali ręce widząc zgubę pewną.

Siekiery przestały wreszcie rąbać, a bór szumiał, jakby się natrzasał z ludzkiej niemocy. "Rąb dwa lata, a potem z głodu zamrzyj" mówił chłop do chłopca. A las szumiał, jakby się natrzasał.

Pewnego wieczora przyszedł Wawrzon do Marysi i rzekł:

- Widzęć, że wszyscy tu zmarnieją i my zmarniejemy.

- Wola Boga - odrzekła dziewczyna - ale był ci On nam miłosierny, to i teraz nas nie opuści.

Tak mówiąc, podnosiła niebieskie jak chaber oczy do góry ku gwiazdom i w blaskach ogniska wyglądała jak jaki obrazek kościelny.

A chłopaki z Chicago i strzelcy z Teksasu patrząc na nią mówili:

- I my nie opuściwa cię, Marysiu, zorzo rumiana.

Ona pomyślała sobie, że jeden jest tylko taki, z którym by poszła na kraj świata, jeden Jaśko w Lipińcach. Ale ten, choć przyrzekł kaczorem morze za nią przepłynąć, ptakiem powietrze przelecieć,

złotym pierścieniem po gościńcu się potoczył, nie przepływał, nie przelatował i ten jeden opuścił ją niebogę.

Marysia nie mogła nie wiedzieć, że w osadzie źle się dzieje, ale w takiej już była toni, z takich przepaści Bóg ją wydobył, taka jej dusza stała się jasna w niedoli, że ufności w pomoc niebieską nic jej nie mogło odebrać.

Zresztą wspomniała, że stary pan w Nowym Jorku, który im pomógł z nędzy wstać i tu się przedostać, dał jej swoją kartę rzekłszy, że gdy ją niedola przycisnie, niech się do niego zgłosi, a on ją poratuje zawsze.

Tymczasem dla osady każdy dzień większą groźbę przynosił. Ludzie uciekali z niej nocami, i co się tam z nimi działo, to już trudno powiedzieć. Wokoło las szumiał i natrząsał się.

Stary Wawrzon zachorował wreszcie z wysilenia. Ból jął mu po pacierzach chodzić. Dwa dni nie zważał na to, trzeciego nie mógł wstać. Dziewczyna poszła do lasu, nazbierała mchu, wysłała nim gotową ścianę domu, leżącą na murawie, położyła ojca na mchach i gotowała mu leki z wódką.

- Maryś! - mrucał chłop - już śmierć idzie do mnie przez bory; zostaniesz ty sama na świecie, sieroto. Bóg mnie karze za ciężkie grzechy moje, bom cię wyprowadził za morze i zgubił. Ciężkie będzie moje konanie...

- Tatulu! - odpowiadała dziewczyna - mnie by Bóg skarał, gdybym za wami nie była poszła.

- Bym cię jeno samej nie zostawił: gdybym cię do ślubu błogosławił, lepiej by było umierać. Maryś, weź ty Czarnego Orlika za męża: on jest chłop dobry, on cię nie opuści.

Czarny Orlik, niechybny myśliwiec z Teksasu, który to słyszał, zaraz rzucił się na kolana.

- Ojcie! pobłogosławta - rzekł. - Miłuję ja tę dziewczynę jako dolę własną. Jać się z borem znam i zginać jej nie dam.

Tak mówiąc patrzył sokolimi oczyma na Marysię jako na tęczę, ale ona, pochyliwszy się ku nogom starego, rzekła:

- Nie niewólcie mnie, tatulu! Komu ślubowałam, tego będę albo niczyja.

- Komuś ślubowała, tego nie będziesz, bo ja go zabiję. Moją musisz być albo niczyją - odpowiadał Orlik. - Zmarnieją tu wszyscy, zmarniejesz i ty, jeśli cię nie poratuję.

Czarny Orlik nie mylił się: osada marniała. Upłynął znowu tydzień i drugi. Zapasy dobiegały końca. Zaczęto bić bydło przeznaczone na robotę. Febra rzucała się na coraz nowe ofiary, ludzie na puszczy zaczęli to przeklinać, to wołać wielkimi głosami do nieba o ratunek. Pewnej niedzieli starzy, parobki, kobiety i dzieci, wszyscy klękli na murawie i śpiewali suplikacje. Sto głosów powtarzało: "Święty Boże, Święty mocny, Święty a nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami!" Bór przestał kołysać się, przestał szumieć i słuchał. Dopiero gdy pieśń ucichła, zaszumiał znowu, jakby mówił groźnie: "Jam tu król, jam tu pan, jam tu najmocniejszy."

Ale Czarny Orlik, który z borem się znał, utkwiał weń czarne swe oczy, popatrzył nań dziwnie jakoś, potem rzekł głośno:

- Ano, to weźmiewa się za bary.

Ludzie popatrzyli z kolei na Orlika i otucha jakaś wstąpiła im w serce. Ci, co go znali jeszcze z Teksasu, mieli do niego ufność wielką, bo to był myśliwiec nawet w Teksasie sławny. Chłop to był istotnie w stepach zdziaczały i silny jak dąb. Na niedźwiedzia w pojedynkę chodził. W Sant-Antonio, gdzie przedtem mieszkał, wiedziano dobrze, że czasem gdy wzięwszy karabin wyszedł na pustynię, to po parę miesięcy w domu go nie bywało, a zawsze wracał zdrow, cały. Przezywano go Czarnym, bo tak był opalony od słońca. Mówiono nawet o nim, że na granicy Meksyku rozbijał, ale to nie było prawdą. Przynosił tylko skóry, a czasem i skalpy indyjskie, dopóki mu za nie proboszcz miejscowy klątwą nie zagroził. Teraz w Borowinie on tylko o nic nie dbał i o nic się nie troszczył. Bór mu dawał jeść i pić, bór go odziewał. Gdy więc zaczęli ludzie uciekać i tracić głowy, on zaczął wszystko w ręce brać i rządzić się, jak szara gęś po niebie, mając za sobą wszystkich z Teksasu. Gdy się po suplikacjach na bór zawziął, ludzie pomyśleli sobie: "Przecie on coś wymyśli."

Tymczasem zachodziło słońce. Wysoko między czarnymi gałęziami hikor świeciła jeszcze czas jakiś jasność złota, potem sczerwieniała i gasła. Wiatr pociągał ku południowi, gdy się zmroczyło. Orlik wziął karabin i poszedł do lasu.

Noc już zapadła, gdy w czarnej dali leśnej ludzie ujrzeli niby wielką gwiazdę złotą, jakoby wschodzącą zorzę lub słońce, które rosło ze straszną szybkością rozlewając krwawą i czerwoną jasność.

- Bór się pali! Bór się pali! - zaczęto wołać w taborze.

Chmury ptactwa podniosły się z łoskotem ze wszystkich stron lasu, krzycząc, kracząc, świergocąc. Bydło w obozie zaczęło ryczeć żałośnie, psy wyły, ludzie biegali przerażeni nie wiedząc, czy nie na nich idzie pożoga, ale silny wiatr południowy mógł gnać płomienie tylko od polanki. Tymczasem w dali zabłysła druga czerwona gwiazda, potem trzecia. Obie wkrótce zwały się z pierwszą i pożar huczał na coraz większych przestrzeniach. Płomienie rozlewały się jak woda, biegły po suchych wiązaniach lianów i dzikiego wina, trzęsły liśćmi. Wicher wyrывał te płonące liście, niósł je jakby ptaki ogniste dalej i dalej.

Hikory pękały z hukiem armatnim w płomieniach. Czerwone węże ognia wiły się po smolnym podszyciu puszczy. Syczenie, szum, trzask gałęzie, głuche huczenie ognia, pomieszane z wrzaskiem ptactwa i rykiem zwierząt, napełniały powietrze. Niebotyczne drzewa chwiały się niby płomienne słupy i kolumny. Poprzepalane na skrętach liany odrywały się od drzew i kołysząc się strasznie niby jakieś szatańskie ramiona podawały skry i ogień od drzewa do drzewa. Niebo zaczerwieniło się, jakby w nim drugi był pożar. Zrobiło się widno jak w dzień. Potem wszystkie płomienie zwały się w jedno morze ognia i szły przez las jakby tchnienie śmierci lub gniew Boży.

Dym, upał i woń spalenizny napełniły powietrze. Ludzie w taborze, choć im nie groziło niebezpieczeństwo, zaczęli krzyczeć i nawoływać się wzajemnie, gdy nagle od strony pożaru pokazał się w skrach i blasku Czarny Orlik.

Twarz miał okopconą dymem i groźną. Gdy go otoczono kołem, oparł się o karabin i rzekł:

- Nie będziecie karczowali. Spaliłem bór. Jutro będziecie mieli z tej strony pola, ile kto strzyma.

Potem zbliżywszy się do Marysi rzekł:

- Musisz być moją, jakom jest ten, który spalił bór. Kto tu ode mnie mocniejszy?

Dziewczyna zaczęła drżeć na całym ciele, bo luna świeciła w oczach Orlika i cały wydał jej się strasznym.

Pierwszy raz od chwili przyjazdu dziękowała Bogu, że Jaśko był daleko, w Lipińcach.

Pożoga tymczasem hucząc odchodziła dalej a dalej; dzień zrobił się chmurny i groził deszczem. Świtaniem niektórzy ludzie poszli obejrzyć zgliszcza, ale niepodobna było zbliżyć się od gorąca.

Drugiego dnia sześcioro na kształt mgły zawisła w powietrzu, tak że człowiek człowieka o kilkanaście kroków nie mógł odróżnić. W nocy zaczął padać deszcz, który wkrótce przeszedł w straszliwą ulewę. Być może, że pożar wstrząsnąwszy atmosferą, przyczynił się do spędzenia chmur, ale prócz tego była to pora wiosenna, w czasie której na dalszym biegu Missisipi tudzież w widłach rzeki Arkansas i Czerwonej padają zwykle ogromne deszcze. Przyczynia się do tego i parowanie wód, które w Arkansas pokrywając w kształcie błot, małych jezior i strumieni kraj cały zwiększają się na wiosnę z powodu topnienia śniegów w dalekich górach. Cała polanka rozmiękła i zmieniła się stopniowo w wielką sadzawkę. Ludzie, moknąc po całych dniach, zaczęli chorować. Niektórzy znów opuścili osadę pragnąc się dostać do Clarcsville, ale powrócili wkrótce, przywożąc wieść, że rzeka wezbrała i że przejazd jest niepodobny. Położenie stawało się straszne, bo od przybycia osadników kończył się już miesiąc, zapasy mogły się wyczerpać, a dostać nowych z Clarcsville było niepodobieństwem.

Wawrzonowi tylko i Marysi mniej groził głód niż innym, czuwała bowiem nad nimi potężna ręka Czarnego Orlika. Co dzień rano przynosił im zwierzynę, którą albo strzelał, albo łapał we wnyki; na ścianie domu, na której leżał Wawrzon, Orlik ustawił swój namiot, by starego i Marysię od deszczu zabezpieczyć. Trzeba było przyjąć tę jego pomoc, którą prawie narzucił, i zobowiązać się do wdzięczności, bo zapłaty wziąć nie chciał, jeno ręki Marysinej żądał.

- Czy to ja jedna w świecie? - wypraszała się dziewczyna. Idź, inszej sobie poszukaj, jako i ja miłuję innego.

Ale Orlik odpowiadał:

- Choćbym kraj świata schodził, drugiej takiej nie znajdę. Tyś mi jedna na świecie i musisz być moją. Co zrobisz, jak ci stary zemrze? Przyjdiesz do mnie, przyjdiesz sama, a ja cię wezmę jak wilk jagnię, w lasy zaniosę, aleć nie pożrę. Tyś moja! tyś jedyna! Kto mi cię zaprzeczy? Kogo ja się tu boję? Niech przyjeżdża twój Jaśko: chcę tego!

Co do Wawrzona, Orlik zdawał się mieć słusność. Stary chorzał coraz bardziej, chwilami dostawał gorączki, mówił o grzechach swoich, o Lipińcach i o tym, że mu Bóg nie pozwoli ich zobaczyć. Marysia łąy łąa i nad nim, i nad sobą. To, że jej Orlik obiecywał, iż była mu ślubowała, to wróci z nią choćby do Lipiniec, było dla niej goryczą, nie pociechą. Wrócić do Lipiniec, gdzie był Jaśko, i wrócić cudzą za nic! Lepiej tu umrzeć pod pierwszym lepszym drzewem. Myślała, że tak skończy.

Tymczasem nowy dopust miał spaść na osadę.

Deszcz lał coraz większy. Pewnej głuchej nocy, gdy Orlik poszedł jak zwykle do boru, w taborze rozległ się krzyk przeraźliwy:

- Woda! woda!

Gdy ludzie przetarli ze snu oczy, ujrzeli w ciemności, jak okiem sięgnąć, jedną białą płaszczyznę, pluskającą pod deszczem i kołysaną wiatrem. Rozpierzchłe i przyćmione światło nocy połyskiwało

stalowo na załamaniach i zmarszczkach fali. Od strony brzegu, gdzie sterczały pniaki, i od spalonego lasu słychać było szum i chlupotanie nowych fal, płynących jakoby z pędem wielkim.

Krzyk powstał w całym obozie. Kobiety i dzieci zaczęły się chronić na wozy, mężczyźni biegli co sił na zachodnią stronę polanki, gdzie drzewa nie były wycięte. Woda dochodziła im zaledwie do kolan, ale wzbierała szybko. Szum od strony lasu powiększał się i mieszał z okrzykami trwogi, z nawoływaniem imion i prośbami o ratunek. Wkrótce większe zwierzęta zaczęły się cofać przed parciem fali z miejsca na miejsce. Znać było, że gwałtowność prądu zwiększa się. Owce spłynęły i żalonym beczeniem wzywały na pomoc, póki nie znikły, niesione w stronę drzew. Deszcz lał jak z cebra i każda minuta stawała się coraz straszliwszą. Daleki szum zmienił się w ogromny gwar i huk rozwścieczonych fal. Wozy zaczęły drżeć pod ich uderzeniem. Znać było, że to nie zwykły zalew deszczowy, ale że rzeka Arkansas i wszystkie jej dopływy musiały wylać. Była to topiel, rwanie drzew z korzeniami, łamanie lasów, groza, rozpętanie się żywiołów, ciemność, śmierć.

Jeden z wozów, stojący najbliżej spalonego lasu, przewrócił się. Na rozdzierający krzyk: "Ratunku!", zamkniętych w nim kobiet, kilka ciemnych postaci męskich rzuciło się z drzew, ale fala porwała ratujących, okręciła i poniosła w las na zgubę. Na innych wozach chroniono się na płócienne dachy. Deszcz szumiał coraz większy, coraz większa ciemność padała na tę mroczną łąkę. Chwilami belka jaka z uczepioną ludzką postacią przemknęła, rzucona w górę i na dół, chwilami ciemny kształt zwierzęcia lub człowieka, czasem ręka wysunęła się z wody i zapadła w nią na zawsze.

Coraz wścieklejszy huk wód zgłuszył wszystko, i ryki tonących zwierząt, i wołania: "Jezu! Jezu! Maria!" Na łące potworzyły się wiry i koliska, wozy nikły...

A Wawrzon i Marysia? Ta ściana domu, na której stary chłop leżał pod Orlikowym namiotem, uratowała ich na razie, bo spłynęła jak tratwa. Fala okręciła ją wokoło całej polanki i poniosła w stronę lasu, tam uderzyła nią o jedno drzewo, o drugie i wepchnąwszy wreszcie w łożysko strumienia poniosła w dal i ciemność.

Dziewczyna klęcząca przy starym ojcu podnosiła ręce do nieba, wzywając je na ratunek; ale odpowiadały jej tylko uderzenia fali dżdżystej, gnanej wiatrem...

Namiot zerwało... a i sama tratwa mogła rozbić się co chwila, bo i przed nią, i za nią płynęły pnie powyrywanych drzew, które mogły ją zgnieść lub podważyć.

Na koniec wpadła między gałęzie jakiegoś drzewa, którego czub było tylko widać z wody, ale w tej samej chwili z owego czuba doszedł głos ludzki:

- Weź karabin i przejdźcie na drugą stronę, by się tratwa nie przechyliła, jak zeskoczę...

Zaledwie oboje z Wawrzonem uczynili to, co im kazano, jakaś postać skoczyła z gałęzi na tratwę.

Był to Orlik.

- Maryś! - rzekł - jakom ci powiedział, że cię nie opuszczę. Boga mi! Ja was i z tej toni wyprowadzę.

Toporkiem, który miał przy sobie, uciął prostą gałąź z drzewa, obrobił ją w mgnieniu oka, potem wypchnął tratwę z gałęzi i począł wiosłować.

Wydostawszy się na właściwe łożysko strumienia płynęli z szybkością błyskawicy. Gdzie? nie wiedzieli, ale płynęli. Orlik od czasu do czasu odpychał pnie, gałęzie lub wykręcał tratwę, by omijać

drzewo stojące. Olbrzymie siły jego zdawały się podwajać. Oko pomimo ciemności odkrywało każde niebezpieczeństwo. Upływała godzina za godziną. Każdy inny byłby padł ze zmęczenia, po nim nawet znać trudu nie było. Nad samym rankiem wydostali się z lasów, bo żadnego wierzchołka drzewa nie było widać na widnokręgu. Za to cała okolica wyglądała jak jedno morze. Potworne skręty żółtej i spienionej wody zataczały się z rykiem po pustej płaszczyźnie. Tymczasem dniało coraz więcej. Orlik widząc, że żadnego pnia w pobliżu nie ma, przestał na chwilę wiosłować i odwrócił się do Marysi:

- Mojaś ty teraz, bom cię śmierci wydarł.

Głowa jego była odkryta, a twarz mokra i zarumieniona znojem, zagrzana wałką z powodzią, miała taki wyraz siły, że Marysia po raz pierwszy nie śmiała mu odpowiedzieć, że innemu ślubowała.

- Maryś! - rzekł chłopak miękko - Maryś serdeczna!

- Dokąd płyniemy? - spytała chcąc zmienić rozmowę.

- Co mi tam! Byłe z tobą... umiłowana...

- Wiosłuj, dopóki śmierć przed nami.

Orlik począł znowu wiosłować. Tymczasem Wawrzon czuł się gorzej i gorzej. Chwilami miał gorączkę, chwilami opuszczała go, ale słabnął. Za dużo już było cierpień na jego stare, sterane ciało. Zbliżał się kres i uspokojenie wielkie, ulga wieczysta. W samo południe obudził się i rzekł :

- Maryś! Już ja jutra nie doczekam. Oj! dziewczyno, dziewczyno! Bogdajbym nie był z Lipiniec wyjeżdżał i ciebie nie wywoził. Ale Bóg miłosierny! Nacierpiałem się niemało, to mi odpuści grzechy moje. Mnie pochowajta, jeśli będzieta mogli, a ciebie niech Orlik do starego pana do Nowego Jorku odprowadzi. To dobry pan, on zlituje się nad tobą i na drogę ci da i wrócisz do Lipiniec. Ja już nie wrócę. O Boże, Boże miłosierny, pozwólże duszy mojej jakby ptakowi tam polecieć i choćby zobaczyć!

Tu gorączka go ogarnęła i począł mówić: "Pod Twoją obronę uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko!" Nagle krzyknął: "Nie wrzucajta mnie w wodę, bom nie pies"; a potem widocznie przypomniało mu się, jak chciał Marysię z nędzy topić, bo znowu wołał: "Dziecko, odpuść! odpuść! "

Ona biedaczka leżała u wezłowia ze łkaniem... Orlik wiosłował i łzy dusiły go za gardło...

Wieczorem wypogodziło się. Słońce w chwili zachodu pokazało się nad zalaną okolicą i odbiło się w wodzie długą, złocistą taśmą. Stary zaczął konać. Bóg jednak zmiłował się nad nim i dał mu śmierć pogodną. Z początku powtarzał żalonym głosem: "Odjechałem od Polski, od tamtej ziemi", ale potem w obłędzie gorączki zdało mu się, że do niej wracał. Ot, widzi mu się, że stary pan z Nowego Jorku dał na drogę i na odkupno kolonii, więc oboje z Marysią jadą z powrotem. Są na oceanie, okręt płynie dzień i noc, majtkowie śpiewają. Potem widzi ten port w Hamburgu, z którego wyjechał, miasta różne migają mu w oczach, mowa niemiecka brzmi naokoło, ale pociąg leci naprzód, więc Wawrzon czuje, że coraz bliżej jest domu, jakaś radość rozdyma mu pierś, jakieś powietrze inne, kochane zalatuje go od stron rodzinnych... Co to? Granica. Biedne chłopskie serce bije jak młotem... Jedźcie dalej! Boże, Boże! a to już i pola, i grusze Maćkowe... ich chałupy szare i kościoły. Tam chłop w baraniej czapce chodzi za pługiem. On ręce do niego z wagonu wyciąga. Gospodarzu, gospodarzu!... mówić nie może. Jadą dalej. A tam co? Miasto Przyrębłe, a za Przyrębłami Lipińce. Idą oboje z Marysią drogą i płaczą. Jest wiosna. Zboże kwitnie... chrabąszcze brzęczą w powietrzu... w Przyrębłach dzwonią na Anioł Pański... Jezu! Jezu! za co tyle szczęścia jemu grzesznemu? Jeszcze przez tę górkę, a tam już krzyż i

drogowskaz, i lipiniecka granica. Już nie idą, ale... lecą jakby na skrzydłach, już są na górze, przy krzyżu, przy drogowskaziu. Chłop rzuca się na ziemię i ryczy ze szczęścia, i ziemię całuje, i czołgając się do krzyża obejmuje go rękoma: już jest w Lipińcach. Tak jest. On już w Lipińcach, bo tylko martwe jego ciało spoczywa na zabłąkanej wśród powodzi tratwie, a dusza poleciała tam, gdzie jej szczęście i spokój.

Próżno dziewczyna zawodzi nad nim: "Tatulu, tatulu!" Biedna Marysiu, nie wróci on do ciebie! Jemu za dobrze w Lipińcach.

Nadeszła noc. Orlikowi wypadła już tyczka z ręki od wiosłowania i głód dokuczał. Marysia klęcząc nad ciałem ojca odmawiała przerywanym głosem pacierze, naokół aż do ostatnich krańców horyzontu widać było tylko topiel wodną.

Wpłynęli w łozysko jakiejś większej rzeki, bo prąd znowu szybko unosił tratwę. Niepodobna było nią kierować. Może to jednak były i wiry, kręcące się nad wklęsnięciami stepu, bo często niosło ich kołem. Orlik czuł, że go siły opuszczają, gdy nagle zerwał się na równe nogi i krzyknął:

- Na rany Chrystusa! Tam światło!

Marysia spojrzała w kierunku, w którym wyciągał rękę. Istotnie na dalekości błyskał jakoby ogieniek, z którego smuga odbijała się w wodzie.

- To łódź z Clarcsville! - mówił szybko Orlik. - Jankesy wysłali ją na ratunek. Był nas nie minęli... Maryś, uratuję cię. Hoop! hoop!

Jednocześnie wiosłował z największym wysileniem. Jakoż ogień rósł im w oczach, a w czerwonym jego świetle zarysowało się coś jakby wielka łódź. Była jeszcze bardzo daleko, ale zbliżali się. Po niej jakimś jednak czasie Orlik ujrzał, że łódź nie posuwa się naprzód.

Wpłynęli na wielki i szeroki prąd, idący w stronę przeciwną statku.

Nagle tyczka pękła z natężenia w Orlikowym ręku. Byli bez wiosła. Prąd odnosił ich coraz dalej, światło zmniejszało się. Na szczęście tratwa po kwadransie trafiła na drzewo stojące samotnie na stepie i uwięzła w jego gałęziach.

Zaczęli oboje wzywać krzykami pomocy, ale szum prądu głużył ich głosy.

- Strzele - rzekł Orlik - światło zobaczę, huk usłyszę.

Ledwie pomyślał, już podniósł w górę lufę karabinu, ale zamiast strzału dało się słyszeć głucho kłapanie kurka o panewkę. Proch zamókł.

Orlik rzucił się na tratwę jak długi. Nie było rady. Przez chwilę leżał martwy; na koniec podniósł się i mówił:

- Maryś... Inną dziewczkę dawno bym ja wolą niewolą wziął i w lasy poniósł. Myślałem i z tobą tak zrobić, ale nie śmiałem, bo cię umiłowaliśmy. Chodziłem jak wilk sam po świecie i ludziska się mnie bali, a ja się ciebie zląkłem, i ot, Maryś, tyś mi chyba zadała co... Ale nie maszże ty mnie poślubić: lepsza śmierć! Wyratuję cię albo zginę; ale jeśli zginę, ty mnie, serdeczna, pożałuj i pacierz za mnie zmów. Com ci przewinił?... Krzywdy ci nie zrobił. Ej! Maryś, Maryś! bądź zdrowa, kochanie moje, słońce moje...

I nim się zmiarkowała, co chce zrobić, rzucił się na wodę i począł płynąć. Przez chwilę widziała w ciemności jego głowę i ramiona prujące wodę mimo prądu, bo pływak był dzielny. Ale wkrótce zniknął jej z oczu. Płynął do łodzi po ratunek dla niej. Wartki pęd wody hamował jego ruchy, jakby go coś w tył ciągnęło, wydierał się i zdążał naprzód. Gdyby mógł wyminąć ten prąd, gdyby trafił na jaki inny, dopłynąłby z pewnością. Tymczasem mimo nadludzkich usiłowań z wolna tylko mógł się posuwać. Gęste, żółtawe wody rzucały mu częstokroć pianę w oczy, więc wznosił głowę, nabierał oddechu i wzrok wyteżał w ciemność, by dojrzeć, gdzie łódź ze światłem. Czasem gwałtowniejsza fala cofnęła go, czasem uniosła w górę, oddychał coraz trudniej, czuł, że kolana mu tężeją. Pomyślał: „Nie dopłynę”, ale wtem szepnęło mu coś w ucho, jakby kochany głos Marysi: "Ratuj mnie", i znowu ją rozpaczliwie rozcinać wodę rękoma. Policzki jego wydymały się, usta wyrzucały wodę, oczy wychodziły na wierzch... Gdyby wrócił, jeszcze by z prądem dopłynął do tratwy, ale on nawet o tym nie myślał, bo światło łodzi było bliżej i bliżej. Istotnie i łódź popłynęła ku niemu, niesiona tym samym prądem, z którym on walczył. Nagle uczył, że kolana i nogi zeszywniały mu zupełnie. Jeszcze kilka rozpaczliwych wysień... łódź coraz bliżej... "Pomocy! ratunku!..." Ostatni wyraz stłumiła woda, która zalała mu gardło. Zanurzył się. Fala przeszła nad jego głową, ale wypłynął znowu. Łódź tuż, tuż. Słyszysz już plusk i chrobotanie wiosł o boki statku: ostatni raz natęży głos i wzywa pomocy. Dosłyszano go, bo plusk stał się szybszy. Ale Orlik zanurzył się znowu. Porwał go potworny wir... Przez chwilę jeszcze zaczerniał na fali, potem jedna tylko jego ręka wzniosła się nad wodę, potem druga, a potem zniknął w topieli...

Tymczasem Marysia sama na tratwie, tylko z trupem ojca, patrzyła jak błędna w dalekie światło.

Ale prąd niósł je ku niej. Zarysowała się łódź o kilkunastu wiosłach, które przy blasku ognia poruszały się jak czerwone nogi jakiegoś wielkiego robaka, Marysia poczęła krzyczeć rozpaczliwie.

- Hej, Smith! - ozwał się po angielsku jakiś głos. - Niech mnie powiesz, jeśli nie słyszałem wołania o pomoc i jeśli nie słyszę znowu.

Za chwilę silne ręce przeniosły Marysię do czółna, ale Orlika w tym czólnie nie było.

W dwa miesiące potem Marysia wyszła ze szpitala w Little-Rock i za pieniądze zebrane przez dobrych ludzi pojechała do Nowego Jorku.

A pieniędzy tych nie było dość. Część drogi musiałaby robić piechotą, jednakże mówiąc już trochę po angielsku umiała wyprosić sobie u konduktorów, że ją zabierali darmo. Wielu ludzi miało litość nad tą biedną, schorowaną, szerniałą dziewczyną, o wielkich niebieskich oczach, podobniejszą do cienia niż do człowieka i zebrzącą łzami o miłosierdzie. Nie ludzie też znęcali się nad nią, ale życie i jego warunki. Co w tym amerykańskim wirze, w tym olbrzymim "businessie" miał robić ten polny kwiatek lipiniecki? Jak sobie radzić? Wóz też tamtejszy musiał przejechać przez nią i zgnieść jej wątłe ciało, jak każdy wóz przejeżdża po kwiatach, co na jego drogę padły...

Wychudła, drżąca z osłabienia ręka targała za dzwonek przy Water-Street w Nowym Jorku. To Marysia szła szukać pomocy u starego pana, rodem spod Poznania.

Otworzył jej obcy jakiś, nie znany człowiek.

- Mister Złotopolski w domu?

- Kto to jest?

- Wiekowy pan. - Tu pokazała kartę.

- Umarł.

- Umarł? A syn... Pan Wiliam?

- Wyjechał.

- A panna Joanna?

- Wyjechała.

Drzwi zamknęły się przed nią. Siadła na progu i zaczęła sobie twarz ocierać. Była znowu w Nowym Jorku, sama, bez pomocy, bez opieki, bez pieniędzy, na woli Bożej.

Czy tam zostanie? Nigdy! Pójdzie oto do portu, do niemieckich doków podejmować pod nogi kapitanów i prosić, by ją zabrali, a jeśli się zmiłują, to o zebranych chlebie przejdzie Niemcy i wróci do Lipiniec. Tam jej Jaśko. Ona prócz niego nie ma już nikogo na szerokim świecie. Jeśli on jej nie przygarnie, jeśli zapomniał, jeśli odepchnie, to chociaż umrze blisko niego.

Poszła do portu i czołgała się u nóg niemieckich kapitanów... Oni by ją zabrali; bo gdyby się tylko trochę odżywiła, byłaby z niej ładna dziewczyna. Oni by radzi, ale cóż? Prawa nie pozwalają... zresztą zgorzenie... Niech więc im da pokój.

Dziewczyna chodziła sypiać na ten sam pomost, na którym raz już spali z ojcem, owej pamiętnej nocy, gdy ją chciał topić. Żywiła się tym, co wyrzucała woda, jako się w Nowym Jorku z ojcem żywili. Szczęściem, lato było... ciepło...

Co dzień, ledwie rozedniało, już była przy niemieckich dokach żebrac łaski i co dzień na próżno. Ale miała wytrwałość chłopską. Tymczasem siły ją opuszczały. Czuła, że jeśli zaraz nie pojedzie, to niedługo umrze, jak pomarli wszyscy, z którymi ją dola wiązała.

Pewnego poranku przywlokła się z wysileniem i z tą myślą, że to chyba już ostatni raz, bo jutro sił nie starczy. Postanowiła nie prosić, jeno dostać się na pierwszy lepszy statek odchodzący do Europy i schować się gdzieś na dnie cichutko. Gdy już wypłyną i znajdą, przecież ją w wodę nie wrzucą, a wrzucą, to i cóż? Jedno jej, jak umierać, jeśli umierać trzeba. Ale przy mostku prowadzącym na okręt pilnowano dobrze wchodzących i strażnik odepchnął ją przy pierwszej próbie. Siadła tedy na palu przy wodzie i pomyślała sobie, że ją chyba gorączka chwytła. Jakoż zaczęła się uśmiechać i mruczeć:

- Jać dziedziczka, Jaśku, alem ci wiary dochowała. Cóż, ty mnie nie znasz?

Biedaczka dostała nie gorączki, ale obłąkania. Odtąd przychodziła codziennie do portu wyglądać Jaśka. Ludzie przyzwyczaili się do niej i obdarzali czasem jałmużną. Ona dziękowała pokornie, uśmiechając się jak dziecko. Trwało tak ze dwa miesiące. Pewnego jednak razu nie przysła do portu i odtąd nie widziano jej więcej. Gazeta tylko policyjna doniosła dnia następnego, że na samym krańcu portu znaleziono ciało zmarłej dziewczyny niewiadomego nazwiska i pochodzenia.